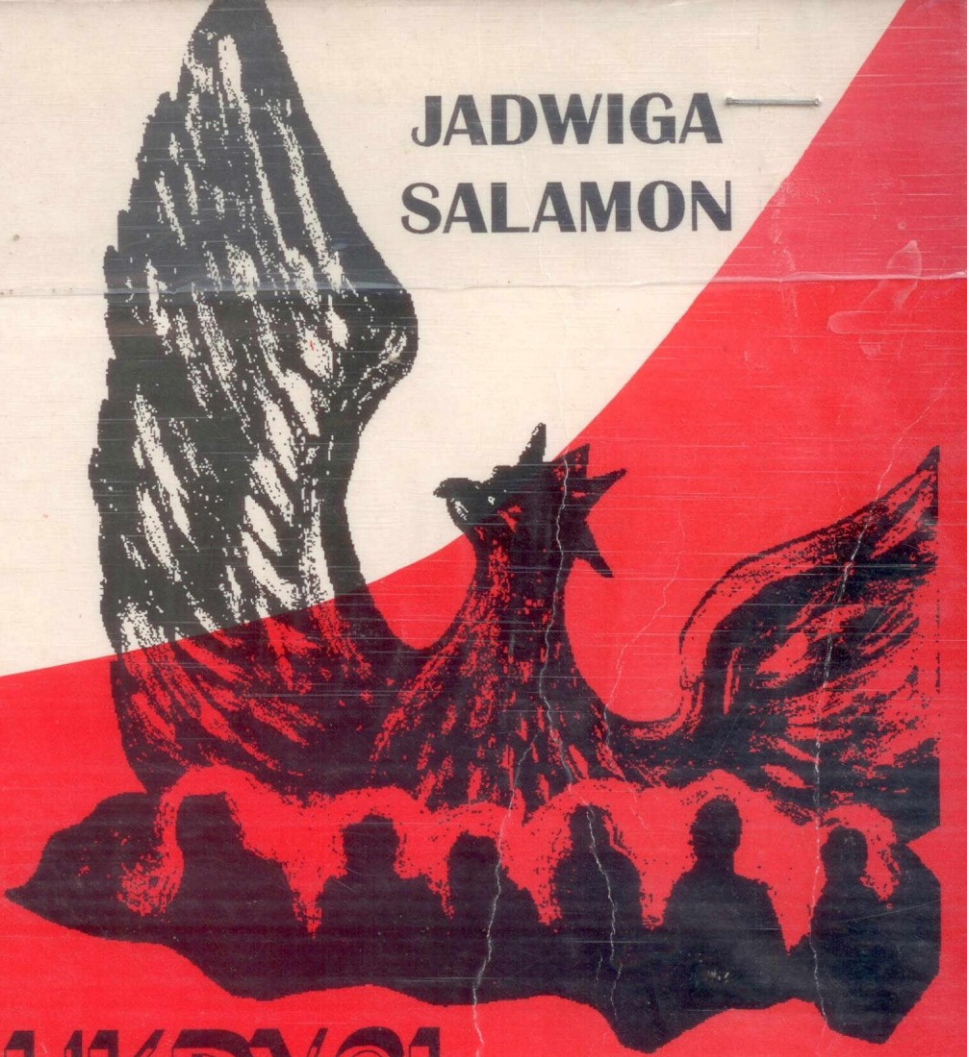
JADWIGA SALAMON



UKRYCI BOHATEROWIE

Tym, których już nie ma i Tym, co są wśród nas. Ludziom, którzy w latach niewoli hitlerowskiej wykazali patriotyczną postawę - ukrytym bohaterom z małej wioski - poświęcam

Gminna Biblioteka Publiczna w Tuchowie
943.8.08 :92 A/2
37320

Skład, druk i oprawa: Mała Poligrafia Redemptorystów w Tuchowie

8/94

Spis treści

Wstęp 4
I. Oni bronili ojczyzny 5
II. Pierwsze spotkanie z wojną 24
III. Pod okupacją niemiecką 41
A. Rozterki wojenne 43
B. Żydowska niedola 53
C. Rozstrzelanie rodziny Solarzów 56
D. Aresztowanie 61
IV. Wywiezieni do III Rzeszy 64
V. W przymusowej służbie dla okupanta 87
VI. Okopy 93
VII. Partyzanci 104
VIII. Z ziemi niewoli do wolności 131
IX. Zakończenie 146
Aneksy 147
Indeks osób, dzięki którym zostały przedstawione treści zawarte w książce 160
Bibliografia 165
Zdjęcia fotograficzne 167

WSTĘP

Karwodrza jest małą miejscowością położoną w odległości 16 km od tarnowa w kierunku południowo-wschodnim. Historia jej dnia codziennego jest historią przeciętnej wioski. Są czasem sytuacje, kiedy zwyczajni ludzie dokonują niezwykłych czynów. Podczas okupacji hitlerowskiej mieszkańcy tej wsi okazali się bahaterami. Zachowanie ich wynikało z "porządku serca". To właśnie oni są głównymi postaciami tej książki - Karwodrzanie i osoby związane z Karwodrzą, którzy w latach niewoli hitlerowskiej swoją postawą i czynami dali dowód ogromnej odwagi i patriotyzmu. Są nimi zarówno dorośli mężczyźni jak i małoletni chłopcy, matki i bardzo młode dziewczęta, żołnierze walczący na froncie i zesłani na przymusowe roboty do Niemiec i Rosji, kopiący fortyfikacje obronne oraz partyzanci. Dla współczesnego pokolenia szukającego sensu życia, mogą stanowić wzorzec moralny.

Wiele osób tworzących historię, uczestniczących w wydarzeniach tamtych lat - żyje i mieszka w Karwodrzy. Niektórzy osiedlili się w pobliskim Tuchowie i okolicy lub w Tarnowie. Inni zaś wyjechali " w Polskę": do Krakowa, Katowic, Elbląga, Wrocławia, Wieliczki, Kamiennej Góry, Sadkowa, Leska, Gorzesławia, Wabienic, Pogorzeli, Bierutowa, Czarnkowa. Kilku zbudowało swój dom w Londynie, Sydney, Chicago, Toronto, Minessota.

To od nich i najbliższych im osób uzyskano informacje, stanowiące główny materiał do książki. Zebrano je przez bezpośrednią rozmowę lub korespondencję (stąd niektóre wypowiedzi w cudzysłowach). Autorka starała się informacje te odtworzyć wiernie, ograniczając swój komentarz do minimum.

Rozmówcy i respondenci zachowali w pamięci fakty, daty, szczegóły, które potwierdzą inni, jak też podręczniki historii. Niewiele jednak zostawili pamiątek po wojnie - wyrzucili je wraz z dramatyczną przeszłością. Te, które zachowali, wykorzystano (są nimi najczęściej zdjęcia).

Książka ta jest podziękowaniem, wyrazem uznania zasług tych ludzi oraz długiem wdzięczności spłacanym przez młodsze pokolenie.

Tarnów, grudzień 1992 r.

I. ONI BRONILI OJCZYZNY

Pierwszego września 1939 r. o godzinie 4^{45} armia niemiecka zaatakowała Polskę. Siły nieprzyjaciela uderzyły na Wybrzeże, Pomorze, Mazowsze, Śląsk i Podkarpacie. Na zachodnie i południowe granice Polski, których broniła armia "Kraków" - pod dowództwem gen. brygady Antoniego Szyllinga - skierowano 16 dywizji wroga. Długość obronnej granicy zachodniej wynosiła 160 km, zaś południowej 100 km. Na tej ostatniej było aż 23 przejścia graniczne. Pozycjami obronnymi polskiej armii były: Obszar Warowny "Górny Śląsk", Mikołów, Pszczyna, Biała, Żywiec[1].

Armię "Kraków" tworzyły następujące formacje: 6 dywizja piechoty, 7 dywizja piechoty, 21 dywizja piechoty górskiej, 23 dywizja piechoty rezerwowej, Śląska grupa forteczna oraz 55 dywizja piechoty rezerwowej, I brygada górska, Krakowska Brygada Kawalerii. 10 brygada kawalerii zmotoryzowanej. Do armii wchodziły też odpowiednie jednostki pozadywizyjne i lotnictwo z Krakowskiego Okręgu Korpusu[2].

Szczególną rolę odegrała 6 dywizja piechoty i Krakowska Brygada Kawalerii. 6 dywizję piechoty tworzyły: 20 pułk piechoty (Kraków), 12 pułk piechoty (Wadowice), 16 pułk piechoty (Tarnów), 6 pułk artylerii lekkiej (Kraków). Siedzibą 6 dywizji był Kraków. Krakowską Brygadę Kawalerii stanowiły: 8 pułk ułanów (Kraków), 5 pułk strzelców konnych (Dębica), 5 dywizjon artylerii konnej (Kraków), 3 pułk strzelców konnych (Tarnowskie Góry).

W okresie działań wojennych armii "Kraków" można wymienić trzy etapy:

W I etapie - od 1 do 7 września - trwały bitwy obronne nad granicą i walki odwrotowe po Nidę i Dunajec.

W etapie II - od 8 do 13 września odbywały się walki od Nidy i Dunajca po San.

III etap - od 14 do 22 września - to bitwy pod Biłgorajem, Tomaszowem Lubelskim, Oleszycami, Narolem i "oskrzydlenie" przez wroga.

W pierwszym dniu wojny zacięte walki toczyły się w okolicy Mikołowa i Pszczyny. Wielki opór stawiała Krakowska Brygada Kawalerii (Mokre) i 6

---

1 Zob. Działania armii "Kraków" I. IX, mapa nr 1

2 Patrz: Struktura organizacyjna armii "Kraków"

dywizja piechoty (Brzeźce). Jednak 2 września obrona załamała się. 6 dywizja piechoty poniosła druzgocącą klęskę pod Ćwiklicami. Szczególnie ciężkie straty poniósł 16 pp z Tarnowa. Około 300 zabitych, wielu wziętych do niewoli - to bilans walki pod Pszczyną. Zmusiło to dowództwo armii "Kraków" do odwrotu ze Śląska. Od 3 września armia cofa się szerokim pasem wzdłuż Wisły (po lewej i prawej stronie rzeki) na wschód. Kieruje się na Baranów Sandomierski, Rozwadów, Majdan, Biłgoraj, Tomaszów Lubelski i Rawę Ruską. Tu okrążona przez Niemców toczy krwawy bój w dniach 18 - 20 września. 21 września żołnierze składają broń.

Niemcy zaatakowali również Polskę od strony Słowacji (Babia Góra), dlatego na trasę Sucha - Maków Podhalański zostały skierowane jednostki spod Zatora (nie wzięły udziału w walce o Pszczynę). Atakowane nieustannie przez wroga cofały się od Makowa i Jordanowa przez Suchą, Sułkowice, Myślenice, Dobczyce. Połączenie jednostek spod Zatora i Pszczyny nastąpiło 6 września w Puszczy Niepołomickiej. Wróg chciał okrążyć 6 dywizję w Puszczy, dlatego musiała się wycofać w kierunku lasów Radłowskich.

Armia "Kraków" współdziałała z Armią "Karpaty" uworzoną 11 lipca 1939 r.

Zadaniem tej ostatniej było dozorowanie dróg prowadzących z Węgier do Małopolski oraz osłona Centralnego Okręgu Przemysłowego i tyłów armii "Kraków".

Od 1 IX szlak armii "Karpaty" wiódł wzdłuż Popradu i Dunajca na wschód przez Limanową, Nowy Sącz, Muszynę, Grybów, Gorlice, Biecz, Jasło, Odrzykoń, Dynów, Jabłonicę Ruską, Birczę, Sądową Wisznię, Janowskie Lasy, Gródek Jagielloński, Lelechówek, Brzuchowice, Lwów. W trakcie przemarszu - w okolicy Odrzykonia - armia spotkała si: z 24 dywizją piechoty wycofującą się po walkach w okolicy Tarnowa. Odtąd ich szlak bojowy był wspólny. 20 września dotarto do Lwowa, a 22 września złożono broń przed wkraczającą Armią Czerwoną.

Według rozkazu Naczelnego Wodza między 3 - 6 września w okolicy Tarnowa miało nastąpić połączenie armii "Kraków" z armią "Karpaty" w jedną armię "Małopolską". Grupa Operacyjna "Boruta" z armii "Kraków" miała spotkać się z armią "Karpaty" i posuwała się pasem na południe od Wisły. Do rejonu Tarnowa skierowano z armii "Karpaty" 24 dywizję piechoty. Z 4/5 września dywizja ta zajęła pozycje obronne nad Dunajcem.

Placówki 24 dywizji - broniące Dunajca od Czchowa po Zakliczyn -były nieustannie atakowane przez wroga. Ponieważ dywizji groziło okrążenie przez Niemców, 6 września dowództwo (gen. Fabrycy) podjęło decyzję o wycofaniu się za Wisłokę. Osamotniona grupa operacyjna "Boruta" rozpoczęła odwrót 7 września. Cofa się na północny wschód od Tarnowa przez Radłów, Biskupice Radłowskie. Tam właśnie 7/8 września doszło do

krwawej bitwy (20 pp. oraz 3 i 4 pułk strzelców podhalańskich walczył z 5 dywizją pancerną). Wielu żołnierzy zginęło lub dostało się do niewoli, spłonęło dużo budynków w pobliskich wsiach.

Odchodząca z pozycji nad Dunajcem (w nocy z 6/7 września) i Białą 24 dywizja skierowała się na Dębicę. Wojsko szło trasą na Pilzno[3]. Do wytyczonego celu dotarło newielu żołnierzy. 7 września w godzinach rannych - pod Tuchowem - oddziały te (17 pp, 38 pp) dostały się pod ogień artylerii wroga i zostały rozbite[4]

Bohaterami tego rozdziału są żołnierze armii "Kraków", armii "Karpaty", II Korpusu Polskiego oraz żołnierze armii francuskiej i amerykańskiej. Walczyli z wrogiem pod Mikołowem. Żorami, Pszczyną, Tomaszowem Lubelskim, Dunkierką, Tobrukiem i Monte Cassino. Do wolności wiodła ich zawiła i długa droga, dłuższa niż sama wojna. Prowadziła często przez niewolę niemiecką i radziecką. Kilku udało się zbiec z tej niewoli. Przebyli setki kilometrów, zanim dotarli do upragnionego celu - nie zawsze była nim rodzinna wieś. Przeżyli wiele tragicznych chwil i nie wszyscy doczekali czasów, kiedy można mówić prawdę starannie ukrywaną przez dziesięciolecia. Ich autentyczne przeżycia wojenne ukazują ogromną odwagę, zdyscyplinowanie, odpowiedzialność i poświęcenie dla wyższych wartości. Były nimi: Bóg - Honor - Ojczyzna i przyświecały większości żołnierzy polskich września 1939 r.

Bezpośredni udział w wojnie obronnej brali następujący żołnierze z Karwodrzy:

Baran Franciszek - 16 pp z Tarnowa
Chaim Andrzej
Dudowicz Adolf - 5 pac Kraków
Filar Józef - 16 pp Tarnów
Filar Wojciech - 5 pac Kraków
Kapka Zygmunt - 10 zmotoryzowana brygada kawalerii ze Stryja
Kosiba Władysław - 16 pp Tarnów
Kowalski Józef - 16 pp Tarnów
Lipka Adam - 16 pp Tarnów
Lipka Stanisław - 6 pal Kraków
Pyrda Antoni - baon kolejowy
Paczkowski Bronisław

---

3 Zob. Działanie armii "Kraków" 7. IX, mapa nr 2

4 Zarys walk wrześniowych przedstawiono w oparciu o następującą literaturę: J. Pabich, Niezapomniane karty, Kraków 1984; A. Pietrzykowa, Region tarnowski w okresie okupacji hitlerowskiej, Kraków 1984; K. Pindel, Obrona Narodowa 1937-1939, W-wa, 1979; K. Skrzypek, Podkarpackim szlakiem września, Katowice 1986; W. Steblik, Armia Kraków, 1989; J. R. Szaflik, Historia Polski 1939-1947, W-wa; 1987; R. Zieliński, Wrzesień pod Karpatami 1939, W-wa 1969

Sadko Józef (Zalasowa) - 16 pp Tarnów
Salamon Jan - 16 pp Tarnów
Stańczyk Józej (Galia) - 16 pp Tarnów
Zając Józef - 5 dak Kraków
Szeląg Jan - piechota morska w armii amerykańskiej
Szaląg Władysław (ur. 1914 w Chicago) - 6 p strz. podh. z Sambora, później brygada strzelców konnych S. Kopańskiego i II Korpus Polski.
Szeląg Władysław (ur. 1920 w Karwodrzy) - armia francuska.

Podczas wrześniowych walk zaginął Bronisław Pączkowski. Do niewoli dostali się: Filar Józef, Filar Wojciech, Kapka Zygmunt, Kosiba Władysław, Kowalski Józef, Lipka Stanisław, Salamon Jan, Stańczyk Józef, Zając Józef. W czasie transportu do III Rzeszy uciekli: Józef i Wojciech Filar, Lipka Stanisław, Salamon Jan i Zając Józef.

Oto losy wojenne żołnierzy przekazane przez nich samych lub najbliższych świadków ich trwałych dróg.

Stanisław Lipka (1903 - 1974)

Kartę mobilizacyjną dostarczono mu w ostatnich dniach sierpnia. Pojechał do Krakowa do swojej jednostki, tj. do 6 pal-u. Kiedy dotarł na miejsce nikogo nie zastał. Towarzysze broni byli już na froncie. Udał się na ich poszukiwanie. Z inną jednostką szedł na wschód. Dotarł aż za Lwów. Tam został wzięty do niewoli rosyjskiej, ale Rosjanie "odstąpili" go Niemcom. Jechał pociągiem do Niemiec. Między Dębicą a Tarnowem udało mu się zbiec z kolegą z Mesznej Opackiej. Wrócił do domu pod koniec grudnia 1939 r. W czasie wędrówki z wojskiem na wschód nawiązał pierwsze kontakty konspiracyjne[5].

Adam Lipka (1907 - 1966)

Podobnie jak brat Stanisław kartę mobilizacyjną otrzymał pod koniec sierpnia. Wraz z kolegą - Franciszkiem Baranem zgłosił się do macierzystej jednostki, czyli do 16 pp w Tarnowie. Walczył pod Pszczyną. Po dramatycznej bitwie, w czasie odwrotu przez Sołę, utopiło się wielu żołnierzy, konie i działa. Udało się mu przepłynąć rzekę i pełzając na brzuchu między szuwarami - wydostać z matni zastawionej przez wroga.

Umęczony i wyczerpany wrócił do Karwodrzy w październiku, gdzie nie został rozpoznany przez najbliższą rodzinę (żonę)[6].

---

5 Informacje uzyskano od Karola Lipki i Adama Krzemienia
6 Relacje Bronisławy Lipka

Jan Salamon (1913 - 1989)

24 sierpnia dostał kartę mobilizacyjną i pojechał na front z 16 pp. Jako starszy strzelec walczył pod Pszczyną. Z dywizją 6 (i resztkami 16 pp) wycofał się na wschód. Żołnierze polscy otoczeni zostali przez Niemców i Rosjan, nie mieli żadnych szans - musieli się poddać. Wzięty do niewoli - uciekł w miejscowości Czarna Tarnowska. z pociągu wiozącego go do Niemiec. Wrócił do domu pod koniec września (w niedzielę)[7].

Władysław Kosiba (1915 - 1992)

28 marca 1938 r. rozpoczął zasadniczą służbę wojskową w 16 pp w Tarnowie, w kompanii strzelców. Od września 1938 r. uczestniczył w sześciomiesięcznym kursie szkoły podoficerskiej. W marcu 1939 r. awansował do stopnia starszego strzelca, a w maju został kapralem. Przydzielony do taboru pełnił funkcję instruktora.

Pozostało mu osiem dni służby, kiedy wybuchła wojna. Poszedł ze swoją kompanią pod Pszczynę. Gdy doszli do lasu w Ćwiklicach, bitwa była już przegrana, a pułk całkowicie rozbity. Widział z góry pobojowisko a na nim "porąbanych jak siekierą" żołnierzy. Odpowiadał za kasą plutonu, miał pieniądze, które nie powinny dostać się w ręce wroga. Postanowił wydostać się stamtąd.

Z małą grupą dotarł na Węgry. Tam został internowany 5 września. Wraz z nim zostali internowani koledzy z Tuchowa i okolicy: Bolesław Wantuch, Sajdak Tadeusz, Król Jan. Obóz w którym przebywali do końca lipca 1940 roku miał charakter wojskowy, codziennie odbywali ćwiczenia, jednak była tam swoboda i dobre wyżywienie.

Następnie przewieziono ich do obozu jenieckiego w Keizensteinbruck (Niemcy), stalag 17. Tutaj spotkał znajomych też z Tuchowa - Sajdaka Wojciecha i Mazurkiewicza Józefa.

Obóz w Keinzensteinbruck był zupełnie inny od węgierskiego, przede wszystkim głodowali. Jeden mały chleb na dziesięć dni i zupa z liści buraków - stanowiły podstawawo menu. Jeńcy rzucali się na obierki z ziemniaków, które gotowali w puszkach znalezionych na śmietniku. Jeśli mieli okazję coś ukraść i więcej zjeść - chorowali, gdyż żołądek nie był przyzwyczajony do obfitszego pokarmu. Po około czterech tygodniach zdrowych jeńców odesłano do obozu pracy, a chorych wypuszczono do domu. Przygotowywano miejsce dla jeńców z Francji i krajów Beneluxu. Władysławowi i kolegom z Tuchowa udała się wrócić do kraju we wrześniu 1940 r.[8].

---

[7] Informacji udzielił Salamon Władysław

[8] Informacji udzielił Kosiba Władysław i Sajdak Wojciech

Stańczyk Józef (1915 - 1992)

20 marca1993 r. poszedł do wojska do 16 pp w Tarnowie. W sierpniu wysłany na Śląsk (Stara Wieś) na ćwiczenia- uczył się budować fortyfikacje obronne. 1 września walczył z wrogiem pod Pszczyną, jako strzelec I drużyny strzeleckiej 16 pp. Walka była makabryczna, Niemcy miażdżyli czołgami wojsko polskie. Stojących w rowie i poddających się żołnierzy przejechał czołg. Józef nie chciał się poddać. Leżał koło Soły dłuższy czas, aż odnalazł go kolega z kompanii i namawiał do poddania (twierdząc, iż szef kompanii również się poddał). Niemcy byli zaskoczeni, że znalazł się ktoś, kogo nie wzięli do niewoli lub nie zabili.

Zostałem jeńcem wojennym o numerze 1600 - odtąd liczył się tylko numer. Jeńców zabrano do Oświęcimia na pięć dni, następnie przez półtora tygodnia przebywali w Pszczynie. Tam leżeli pod gołym niebem o głodzie. Młodzi niemieccy żołnierze rzucali im chleb przez druty kolczaste i robili zdjęcia, które szły w świat i stanowiły "dowód" głodu panującego w Polsce.

Po dwudniowym pobycie w Gliwicach pojechali w głąb Niemiec towarowymi wagonami. Zawieziono ich za Berlin, do Lukenwaldu. Obóz znajdował się w lesie. Spali pod plandekami na deskach lub gałej ziemi. Kiedy nastały przymrozki bardzo marzli, grzali się siedząc blisko siebie. Pół litra kawy jęczmiennej na śniadanie i tyleż samo zupy na obiad stanowiło ich wyżywienie. Byli słabi z głodu, przewracali się. Padających na ziemię Niemcy bili i kopali, dlatego koledzy podnosili ich lub podtrzymywali - chroniąc przed poniżaniem.

Bóle głodowe zmuszyły wielu do zgłaszania się do lekarza, który aplikował uśmiercające zastrzyki. "Służba medyczna" - czekała na chętnych do "wizyt lekarskich". Uśmierconych jeńców zasypywano wapnem chlorowanym i układano w stosy w dużym dole.

Młodsi, silniejsi jeńcy chcieli ratować życie, chociaż szanse mieli nikłe. Pewnego dnia Józef podszedł do drutów otaczających obóz i wzrokiem żegnał wschodnią stronę - Polskę. Spostrzegł wtedy patrolującego niemieckiego żołnierza zbliżającego się do niego. Pomyślał, że ten idzie go zastrzelić, ale żołnierz rzucił mu chleb. Podobnie było za drugim i następnym razem. Na ten chleb rzucali się koledzy-jeńcy, zmieszany z ziemią wyrywali sobie z rąk, tratując na śmierć jednego.

W połowie listopada 1939 r. trzydziestu pięciu silniejszych jeńców zabrano do pracy na 370-cio morgowe gospodarstwo. Znalazł się między nimi Józef. Na początku pracowali przy zbieraniu ziemniaków, gdyż wykopki były opóźnione przez wojnę. Przez trzy tygodnie karmiono ich tylko zupą ziemniaczaną, bo po dwumiesięcznej głodówce zjedzenie chleba powodowało silne bóle żołądka i jelit. Wieczorem jedli przypieczone na ogniu ziemniaki.

W 1942 r. kilku najsilniejszych jeńców z obozu wybrano do pracy w indywidualnych gospodarstwach, gdyż ich właściciele poszli na front wschodni. Jeńcy musieli oddać swoje mundury wojskowe, za co otrzymali robocze cywilne ubrania. Odtąd stali się cywilnymi niewolnikami.

Józef został zatrudniony w 350-cio hektarowym majątku, pracował maszynami polowymi, jeździł ciągnikiem, orał ziemię, młócił zboże kombajnem (Niemcy już wówczas mieli kombajny). W okresie żniw pracował w nocy, bo zboże było zbyt wysuszone i wysypałoby się w czasie koszenia. Dniem spał i wypoczywał. Czuł się dobrze, był mocny, miał wystarczająco jedzenia. Zyskał sobie zaufanie Niemców, lubili go za pracowitość i umiejętność obsługiwania maszyn polowych. Zapraszali go do swoich domów. Młody, przystojny blondyn i mądry Polak podobał się nie tylko gospodarzowi ale i jego córce. Proponowano mu zmianę obywatelstwa na niemieckie. Józef był patriotą, nie skusiły go ani oferty matrymonialne, ani lepsze warunki życia. Został Polakiem, chociaż chwilowo niewolnikiem niemieckim. Przetrwał ciężkie chwile dzięki ogromnej sile woli, patriotyzmowi i religii.

Pruska dyscyplina, rygorystyczne przestrzeganie przepisów przez miejscowych policjantów, spowodowało u niego uszczerbek na zdrowiu. Pewnego razu odwiedził kolegę mieszkającego u innego baora, gdyż chciał w spokoju napisać list do domu. Pisząc zapomniał o godzinie, a była już 22[10]. Policjant, który go spotkał, zbił go mocno pałką gumową tak, że uszkodził mu lewą nerkę.

W kwietniu 1945 r. w Lukenwaldzie skończyła się wojna, weszli Rosjanie. Polscy jeńcy uciekli stamtąd szybko, jak tylko mogli. Józef z kolegami jechał do najbliższej stacji 30 km wozem zaprzężonym końmi, później szli pieszo do Konotop (miejscowości położonej na granicy niemiecko-polskiej). Tu wsiedli do pociągu (dzięki pomocy polskiego kolejarza) jadącego w kierunku Poznania. Jechali w okropnych warunkach, wielu wracającym do kraju nie starczyło miejsca w waganach i jechali na dachu pociągu. Często nie dojechali do ojczyzny, gdyż przy wjeździe pociągu do tunelu zostali strąceni z dachu i ginęli.

Józef przyjechał do domu pod koniec maja 1945 r.[9]

Władysław Szeląg (1914 - 1972)

W 1935 r. odbył służbę wojskową w 6 pułku strzelców podhalańskich w Samborze. Po jej zakończeniu pozostał w jednostce jako żołnierz nadterminowy. W 1939 r. brał udział w walkach na przedpolach Lwowa pod dowództwem gen. K. Sosnkowskiego. Po okrążeniu przez Niemców i wkroczeniu armii czerwonej, żołnierze polscy podzieleni na małe grupy przed-

---

[9] Informacji udzielił Stańczyk Józef (zmarł 28 grudnia 1992 r.

ostali się na Węgry (tam nawiązał kontakt listowy z Kosibą Władysławem). Część z nich - między innymi Jan - dotarła aż do Syrii. Tam wstąpił do Brygady Strzelców Konnych gen. S. Kopańskiego. Walczył pod Tobrukiem. Kiedy powstał II Korpus Polski - pod dowództwem gen. W. Andersa - brygada weszła w jego skład. Odtąd dzielił losy II Korpusu, walczył pod Monte Cassino, wyzwalał Ravennę, Anconę i Bolonię. Zdemobilizowany w 1946 r. wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Zamieszkał w Chicago, gdzie pracował oraz pełnił liczne funkcje w Kongresie Polonii Amerykańskiej[10].

Jan Szeląg (1916 - 1980)

W styczniu 1939 r. wyjechał do swojej matki chrzestnej w Chicago. W 1942 r. został powołany przez władze wojskowe Stanów Zjednoczonych do pełnienia służby wojskowej (urodził się w Chicago i potraktowano go jako obywatela amerykańskiego). Odbywał ją od 1942 do 1945 r. na jednej z wysp Kurylskich (niedaleko Japonii). Służył w stopniu kaprala w piechocie morskiej. Bitwy na wyspie nie było, ale docierały do niej echa toczącej się niedaleko walki. Po wojnie osiadł w Minnesocie[11].

Władysław Szeląg (1920 - 1981)

Kilka lat przed II wojną światową wyjechał do Francji z rodziną. W czasie wojny został zmobilizowany do armii francuskiej. Walczył pod Dunkierką. Stamtąd został zabrany do niewoli niemieckiej. Na początku przebywał w obozie jenieckim, a następnie pracował w fabryce spirytusu. Przymierał głodem i marzł, dlatego próbował uciekać. Kiedy go złapano, tłumaczył się, że robił to z głodu. Przeniesiono go do pracy na roli u indywidualnego gospodarza pod Berlin. Tam wiodło mu się lepiej.

Gdy nastąpiła kapitulacja Niemiec, chciał wracać do Francji, do rodziny, ale Rosjanie nie pozwolili mu, twierdząc, że jest Polakiem i musi wracać do Polski. Przywieziono go do Szczecina, do obozu przejściowego. Po kilkutygodniowym pobycie w mieście Gryfa, wrócił do Karwodrzy. Nie miał domu, pracy ani pola. Wyjechał do Wrocławia, tam ożenił się. Po rocznym pobycie wrócił do Karwodrzy, otrzymał pracę w Zakładach Azotowych w Tarnowie, kupił dom i zamieszkał niedaleko własnej ojcowizny[12].

Wojciech Filar

---

[10] Informacji udzielił Szeląg Franciszek; wycinek z gazety ameryk. informujący o nabożeństwie żałobnym

[11] Informacji udzielił j. w

[12] Informacji udzieliła Szeląg Aleksandra

We wrześniu 1939 r. nastąpiła powszechna mobilizacja i poszedł na wojnę. Służył w stopniu kaprala przy konnej artylerii 5 pac w Przemyślu-Pikulicach. Walczył pod Pszczyną, gdzie polskiemu wojsku zgotowano rzeź. W czasie walki został ranny w nogę (rany postrzałowe mięśni podudzi) i dodatkowo przygnieciony przez zabite konie. Rannego zabrali polscy sanitariusze i przewieźli do Krakowa do szpitala. W Krakowie był tylko jedną dobę. Następnie skierowano go do dalszego leczenia w Tarnowie. W tym czasie Tarnów zastał zajęty przez Niemców, dlatego przetransportowano go do Rzeszowa, a później do Przemyśla. Po dwóch tygodniach i częściowym wyleczeniu skierowany został do czynnej służby, do walki z Ukraińcami. Walka rozgrywana była w nocy, w lasach, W czasie jednej z potyczek poprzez pomyłkę zabito patrol rosyjski. Doszło do walki z Rosjanami. Nikt wprawdzie nie zginął, ale wielu żołnierzy zostało rannych. Polacy musieli wycofać się, uciekali w stronę Podhajców. Głodni weszli do piekarni, gdzie wreszcie nasycili się. Tam właśnie Wojciech spotkał swojego młodszego o trzy lata brata Józefa. Józef był w wojsku , gdy wybuchła wojna. Po przegranej bitwie z Niemcami i Rosjanami, wracał bosy i obdarty. Szedł pieszo. Odtąd szli razem. W Przemyślu złapali ich Rosjanie, zamknęli w obozie i "obiecywali" Syberię. Bracia nie chcieli tam wyjeżdżać, dlatego uciekli. Następnie schwytali ich Niemcy, wsadzili do pociągu i również "obiecywali" III Rzeszę. Zaryzykowali drugi raz - wyskoczyli z jadącego pociągu w Czarnej Tarnowskiej. Stamtąd przyszli do domu. Był grudzień 1939 r. Przez dwa tygodnie Wojciech nie mógł zasnąć, ciągle słyszał strzały, odgłosy bitwy i huk bomb.

Józef Kowalski

W połowie września 1939 r. miał iść do cywila, ale 17 sierpnia nastąpiła mobilizacja. 16 pułk piechoty z Tarnowa 30 sierpnia został skierowany do Pszczyny, a pierwszego września leciały nad nim niemieckie samoloty strzelające do taboru i żołnierzy. Zabito konie i nie było jak ciągnąć dział. Wojsko polskie było przygotowane do walki na polu, takiej jaka była prowadzona podczas I wojny światowej, a nie do walki z czołgami i samolotami. Żołnierze byli przerażeni, nigdy nie widzieli czołgów i samolotów w akcji. Bronili się, ale koń i żołnierz nie mogli stawić czoła czołgom. Pułk został szybko rozbity, żołnierze ranni lub ginęli w Sole, działa utknęły, gdyż konie zabito.

Niedobitki żołnierzy ratowały się przed śmiercią i niewolą. Niektórzy chcieli dotrzeć do macierzystej jednostki do Tarnowa, by zdać relację z bitwy. Z takim zamiarem skierował się na Tarnów Józef z kolegą. 8 września byli w Sieprawiu (koło Myślenic), ponieważ było to święto udali się do koś-

cioła. Po nabożeństwie poszli do jednego gospodarza u którego zostawili broń i lornetkę. Szli dalej w kierunku Tarnowa.

W okolicy Zakliczyna złapał ich patrol niemiecki i osadził na jeden dzień w ratuszu, kilka dni więziono ich też w Brzesku. Następnie, jako jeńcy wojenni wyjechali przez Cieszyn do Austrii. W lagrze koło Wiednia przebywali około dwóch tygodni. Potem skierowano ich do Tyrolu (grupa liczyła 100 osób). Tam byli od grudnia 1939 r. do czerwca 1940 r. Pracowali przy oczyszczaniu torów ze śniegu. Po kapitulacji Francji do obozu zaczęli przybywać jeńcy francuscy.

W tym czasie Józef zachorawał na nieżyt żołądka i został skierowany do szpitala polowego. Przebywał w nim kilka tygodni. Ponieważ nie był ciężko chory, usługiwał innym, pomagał pacjentom - za co zyskał sobie uznanie chorych i personelu. Bardzo polubiły go pielęgniarki - siostry zakonne, gdyż jako gorliwy katolik uczestniczył codziennie we mszy św. Był traktowany jak "swój". Sąsiad z łóżka szpitalnego nauczył go mówić po niemiecku (co mu później ułatwiło życie). W czasie odwiedzin w szpitalu otrzymywał paczki żywnościowe od rodzin chorych Niemców i Austriaków.
Gdy opuszczał szpital od każdego chorego otrzymał upominek.

Po powrocie do obozu został przewieziony do Niemiec, do Nadrenii koło Trewiru. Obóz ten był wielonarodowościowy, przybyli do niego żołnierze z Francuskiej Legii Cudzoziemskiej, a więc byli Arabowie, Hindusi, Murzyni oraz dwóch Anglików (piloci). Po kilkudniowym pobycie w tym miejscu przydzielono ich do pracy w indywidualnych gospodarstwach rolnych. Do każdego gospodarstwa kierowano od 10 do 15 osób. Józef przebywał w wiosce Lancen-Hause. Ponieważ znał język niemiecki chętnie z nim rozmawiano i proszono go wszędzie. Po pracy sezonowej w polu trwającej około dwa miesiące - przeniesiono ich do hotelu robotniczego. Mieszkali w nim nie tylko ludzie różnych zawodów ale też różnych nacji. W 1942 r. do obozu zaczęto przywozić jeńców rosyjskich, którzy bardzo różnili się od Polaków - byli biedni, zaniedbani, nieobyci.

Polacy byli najbardziej zorganizowaną grupą, "zgrani", o wysokiej kulturze. Podobali się Niemcom, a szczególnie Niemkom. Ale oni kontaktowali się tylko z polskimi dziewczętami. Kiedy dowiedzieli się, że w sąsiedniej wsi są Polki, pojechali do nich i zaprosili je na herbatę do siebie. Gospodarze widząc dużą kulturę polskich dziewcząt i chłopców, wyróżnili ich zapraszając na kolację do siebie.

Ciekawe było spotkanie Józefa z drugim rodakiem, jeden drugiego pytał po francusku kim jest i co robi. Józef nie wiele znał języka francuskiego, ale zrozumiał o co pyta kolega, więc odpowiedział, że jest Polakiem. Ten zaskoczony odpowiedział już po polsku: "Jestem Roman Grabowski z Warszawy".

Prawa jeńców wojennych były bardzo ograniczone, jednak korzystali z nielicznych przywilejów, jak uczestnictwo we mszy św. jeden raz na miesiąc. Przywilej ten wynegocjował Episkopat Polski z Episkopatem Niemiec.

Oprócz przywilejów były kary a największą obóz karny. Taki lagier odbył nasz bohater za słuchanie radia. W lagrze tym przebywał około sześciu tygodni. Budzenie o 2-iej w nocy, głodowe porcje, pobyt w małej zimnej celi - oto cechy tej placówki. Współwięzień, który w nim siedział, mówił, że stamtąd nie wychodzi się żywym. Józef jednak został wypuszczony. Dopiero po powrocie do Karwodrzy dowiedział się, że w czasie jego odsiadywania w lagrze do posterunku policji w Tuchowie przysłano pismo od komendy obozu o wystawienie opinii o nim. Policjanci tuchowscy chcieli go zidentyfikować, ponieważ było kilka osób o tym imieniu i nazwisku. Dlatego do rodzinnego domu przyszedł jeden z nich i pokazał siostrze zdjęcie brata i pytał, czy poznaje kto to jest.

Józef nigdy nie był karany, miał bardzo dobrą opinię a więc "czystą kartotekę". To go uratowało. W innym przypadku byłby wysłany do obozu koncentracyjnego lub rozstrzelany. Po zwolnieniu z lagru przyjechał po niego syn gospodarza - z papierosami i dobrym jedzeniem.

W 1945 r. wkroczyli Amerykanie, jeńców przewieziono do ośrodka oficerskiego w Fajen koło Berlina. Józef poszedł do służby wartowniczej w wojsku amerykańskim (pilnował magazynów). Mieszkał w obozie. Tam też włączył się aktywnie do życia kulturalnego. Zorganizowano teatr, a pierwszą sztukę odtworzył on, była to inscenizacja "Żyd w beczce". Grano ją w każdym pawilonie obozowym od czerwca do sierpnia 1945 r.

Polacy zatroszczyli się też o życie religijne, zorganizowali kaplicę. Mszę św. odprawiało dwóch księży (byłych jeńców), ministrantami byli żołnierze.

W czasie jednego z koncertów życzeń realizowanego przez lokalny radiowęzeł, usłyszał pozdrowienia dla kolegów-jeńców z tarnowskiego od Zofii. Okazało się, że była to jego kuzynka - Zofia Salamon - wywieziona na przymusowe prace do III Rzeszy. Zastanawiali się razem czy wracać do Polski, bo słyszeli, że sytuacja w kraju jest gorsza niż za Hitlera. Zdecydowali się wyjechać. Specjalnym pociągiem odwieziono ich do Dziedzic. Byli bardzo zaskoczeni, gdy na jadący pociąg napadli rosyjscy żołnierze. Dzięki bohaterskiej postawie służby kolejowej - nie okradziono ich i pociąg ruszył dalej. W listopadzie 1945 r. wracających z Niemiec po 5-cio letniej niewoli witali na dworcu w Krakowie - pijani żołnierze rosyjscy.

Józef Zając

Pierwszego września 1938 r. został powołany do służby wojskowej w 5 dak-u w Krakowie. Do 15 maja 1939 r. pełnił służbę na Zakrzówku, stąd został przeniesiony do Oświęcimia (z całym dak-iem i końmi). Na ich miej-

sce do Krakowa przybył 8 pułk ułanów z Kobierzyna. W Oświęcimiu stacjonowali do rozpoczęcia wojny. W sierpniu wyjechali na poligon, ale po czterech dniach wrócili.

Był koniec sierpnia 1939 r. zbliżała się wojna. Po dwóch dniach spokojnego pobytu w jednostce, w nocy odbył się alarm i odjechali całą dywizją w kierunku Śląska. Po drodze zatrzymywali się na noclegi w stodołach przy dużych majątkach. W drugim dniu marszu otrzymali ostrą amunicję, granaty i oznajmiono im, że idą na wojnę. 1 września byli w okolicy Sosnowca, tuż przy granicy niemieckiej. Tutaj zamaskowali działa (ciągnione przez 6 koni), okopali się i czekali (Józef jeździł działem "na szpicy", czyli prowadził pierwszą parę koni, działo miało kaliber 75 mm a pocisk ważył 7 kg).

Cały dzień było cicho, nic się nie działo, dopiero o zmroku usłyszano strzały. Z punktu obserwacyjnego kapitan podał komendę (przez telefon): Dać próbny strzał! następna komenda brzmiała: Ze wszystkich dział! Strzelali całą noc. Rano polecono wycofać się na inną pozycję, bo przez linię przedarły się niemieckie czołgi. Wycofali się do Żor i stanęli w lesie. W tym czasie na miasto trwał nalot, strzelano do jadącego pociągu (w którym było prawdopodobnie polskie wojsko). Stojąc w lesie, w dolinie - obserwowali drogę położoną wyżej i jadące przez nią samochody i motocykle wroga. Skontaktowali się telefonicznie z polską jednostką czołgów. Czołgi ruszyły na trasę i zaatakowały Niemców. Dopiero teraz artyleria konna mogła wyjechać na drogę, na której jedyną przeszkodą były rozbite pojazdy najeźdzcy. Przejechali przez długi drewniany most (nie pamięta nawet rzeki), na którym co kilka metrów stały duże beczki z wodą. Zatrzymali się obok lasu, gdzie spotkali inne jednostki tworzące Krakowską Brygadę Kawalerii, to jest: 5 pułk strzelców konnych z Dębicy (gdzie odbywał służbę wojskową jego brat Aleksander), 8 pułk ułanów z Kobierzyna i 3 pułk strzelców konnych z Tarnowskich Gór. Było tam bardzo dużo koni i dział, rozciągały się one na przestrzeni około 3 km. Jechali drogą mając po jednej stronie las, a po drugiej otwarte pole. Nagle usłyszeli strzały i zobaczyli, że atakują ich niemieckie czołgi tzw. tankietki. Odstawiono szybko konie do lasu i ustawiono działa we fosie. Józef zszedł do fosy, ale był za blisko działa kiedy rozległ się huk, zaprószyło mu oczy i chwilowo też nic nie słyszał. Polscy artylerzyści poruszali się tylko fosą, a drogą turlali pociski. Atakujący czołg został rozbity. Za nim pojawiły się następne, było ich około 70. Polska artyleria zniszczyła 50, wiele uległo samozniszczeniu - najeżdżały na siebie, powodując wybuch. Za czołgami szła piechota wroga. Polacy otoczyli ich łukiem, oddzialając od czołgów i zabrali do niewoli. Jeńcy szli na tyłach - obserwowani przez żołnierzy i ludność cywilną, która obrzuciła ich ostrymi słowami.

Po tej wygranej bitwie otrzymali rozkaz pójścia do wsi położonej za lasem, na odpoczynek. Kiedy minęli las, zobaczyli w wiosce cztery duże czołgi niemieckie. Rozbuli je. Jedno polskie działo, czołg zepchnął do fosy, ale drugie wystrzeliło celnie i czołg stanął w płomieniach. To drugie działo umieszczone było za stertą słomy, celowniczy strzelał przez kopę. Za celny strzał otrzymał od dowódcy 10 zł. Wieczorem odjechali stamtąd.

Wycofywali się, bo wróg nieustannie ich atakował. Jechali (tylko nocą) na wschód. Kraków minęli od południa, a Tarnów od północy (Klikowa). W okolicy Ropczyc stawiali opór Niemcom ale już mieli mało amunicji, oszczędzali ją. Od Ropczyc skierowali się na północny-wschód, na Baranów Sandomierski. W miejscowości tej zabili niemieckiego dywersanta, który sypał truciznę do studni (studnię oznakowano). Po nocnym odpoczynku w lesie, dowiedzieli się, że są otoczeni. Obok lasu biegła droga, po której jechały niemieckie wozy pancerne. Dowódca rozkazał siedzieć cicho, nie palić ognisk i zakopać wszystkie ciężkie przedmioty w ziemi. Przesiedzieli tam dzień i noc. Niemcy usadowili się obok na łące. Na drugi dzień rano strzelcy konni zaatakowali wroga. Dzięki temu wymknęli się mimo otoczenia ich przez nieprzyjaciela. Szli dalej na wschód, Na Biłgoraj. Miasto zostało zbombardowane, paliło się, bił żar od ognia. Z daleka widać było ogromną łunę, to palił się Zamość. Nia mogli udać się do żadnego większego miasta. Nadal szli nocą, a wypoczywali w dzień, w lesie. Las był dla nich wszystkim: kuchnią, sypialnią, miejscem wypoczynku i częściowego bezpieczeństwa. Strzały w lesie nie przynosiły tyle szkody co na otwartej przestrzeni. Jeden z takich pojedynczych strzałów trafił w kuchnię polową, na szczęście nie zrobił więcej strat.

Podczas jednego postoju w lasach koło Tomaszowa Lubelskiego - Józef poszedł do stodoły leśniczego, żeby przynieść siano dla koni. Nagle na polanie obok zobaczył duże zgrupowanie wojska polskiego. Zapytał jednego z żołnierzy co to jest. Ten odpowiedział mu, że to koniec wojny, bo strzelają do Polaków z dwóch stron - Niemcy i Rosjanie. Widział porzucone obok czołgi i motocykle. Wrócił do koni i nagle rozległ się huk dział. Strzelali obok nich. Ruszyli końmi dalej. Ujechali około 1 km i zobaczyli w lesie ogromną polanę, a na niej stodołę. Na polanie była duża ilość wojska polskiego różnych formacji. Po obu stronach lasu słychać było strzały. Przed ten tłum żołnierzy wyszedł jeden z dowódców i drżącym głosem powiedział: Dziękuję wam bardzo za waleczność, za bohaterską postawę! Koniec walki! Jesteście wolni! Niech żyje Polska! Wraz z innymi oficerami odszedł w stronę Rosji. Nastała cisza. Serce ściskało i łzy pojawiły się w oczach twardych żołnierzy.

Wrócili do lasu i każdy zastanawiał się co robić. Za chwilę rozległ się okrzyk niemiecki i po przeciwległej stronie polany ukazał się - las podnie-

Biblioteka Publ... w Tuchowie

sionych rąk polskich żołnierzy. Za moment dał się słyszeć drugi okrzyk: Bić Szwaba! To 8 pułk ułanów "leciał na koniach" z podniesionymi szablami, prosto na niemieckie karabiny maszynowe. Padli wszyscy, jakby ich ktoś drutem ściął. Zrobiła się straszna rzeź. Józef z kolegami postanowił nie podnosić rąk i nie poddać się. Padli na zaoraną ziemię chowając głowy. Dookoła świstały kule i nie dało się podnieść z ziemi. Nagle poczuł na plecach coś ostrego! Był to karabin niemiecki. Niemcy zaatakowali ich z tyłu, bijąc kolbami karabinów i kopiąc, zmusili do powstania z ziemi i pójścia do przodu. W ten sposób wzięto do niewoli około 200 żołnierzy. Kiedy ruszyli z podniesionymi rękami, zobaczyli przed sobą trzy linie strzeleckie. Na pierwszej linii co drugi żołnierz miał karabin, na drugiej i trzeciej każdy, a więc karabin był przy karabinie. Mucha nie prześliznęła by się tamtędy, a nie polska artyleria konna!

Po przekroczeniu trzeciej linii odbyła się kontrola, szukano broni. Nagle, zza cholewy Józefa jeden z kontrolujących Niemców wyciągnął mały aparat fotograficzny. Józef o nim zapomniał, zabrał go od zabitego pilota niemieckiego jeszcze na Śląsku. Kontrolujący Niemiec chwycił już za broń ale odwrócił się do swojego kolegi i pokazując aparat zaczęli dyskutować. Być może myśleli, że złapali szpiega, a Józef był tylko fotografem amatorem, którego marzeniem było posiadać taki aparat, jaki znalazł przy zabitym pilocie. W tym czasie jeden z leżących z karabinem żołnierzy niemieckich - pociągnął polskiego jeńca za spodnie i wyszeptał: "Utriekaj"! Józef szybko i dyskretnie wycofał się do tyłu. Słowo tego żołnierza - prawdopodobnie Czecha - uratowało mu życie.

Szli dalej drogą koło lasu, kiedy zobaczyli porzuconą kuchnię polową, jeszcze dymiła zupa. Nie jedli kilka dni. Józef powiedział do kolegów, że przed śmiercią trzeba się najeść. Podszedł do kotła i nalał kilka porcji do menażek. Zdążył jeszcze zdjąć chlebak z wozu, gdy dostał mocno kolbą w plecy. Po kilkukilometrowym marszu zatrzymali się w polu, na noc. Było tam już dużo polskich jeńców. Okazało się, że Niemcy zamknęli ich w "kotle".

Na polu tym zgrupowano jeńców według województw. Maszerowali ósemkami całą noc, w dzień odpoczywali. Miejscem ich postoju były dwory lub inne większe zabudowania, jak tartak czy leśniczówka. Byli głodni, nie jedli kilka dni. Kiedy upomnieli się o jedzenie, pilnujący ich Niemiec oświadczył, że żołnierze niemieccy też nie mają co jeść. Radzili sobie jak mogli, wyrywali rosnące blisko drogi ziemniaki, piekli na ognisku i zjadali półsurowe.

W trakcie przemarszu przez wsie, niektórzy próbowali uciekać, kryjąc się za parkanami stojącymi przed domem, przy drodze którą szli lub odchodzili "za swoją potrzebą" do łubinu i nie wracali. W szóstym dniu wędrówki

zbliżyli się do rzeki Tanwi, tam rozbito obozowisko. Jeńcy mogli umyć się i wypocząć. Józef wszedł do rzeki, mył się, ale cały czas myślał o ucieczce. Obserwował bacznie dozorującego Niemca, który chodził tam i z powrotem i kiedy ten odwrócił się tyłem do niego - uciekł w górę rzeki.
Na chwilę zanurzył się pod wodą, a następnie szedł rzeką wystawiając tylko głowę. Oddalił się na bezpieczną odległość.

Wieczorem przyszedł do wsi, wszedł do najbliższego domu prosząc o chleb. Otrzymał ostatnią porcję jaką miała kobieta (wyjęła ją z pościeli) i garnuszek mleka. Po sześciodniowej głodówce, gwałtownie napełniony żołądek zareagował silnym bólem. Nie chciał wracać do domu, w którym go nakarmiono dlatego poszedł i położył się w szopie. Gdy bóle minęły, postanowił iść dalej. Nastała już noc i w oknach zaświeciły się lampki naftowe. Zdecydował się wejść do następnego domu, żeby ogolić się. Poprosił gospodarza o przybory i ogolił pół twarzy. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i wszedł mężczyzna z karabinem. Rozkazał wyjść na podwórze, gdzie stała już grupa uzbrojonych mężczyzn.
Skontrolowali jego dokumenty, zabrali pieniądze, zdjęli buty, ubranie i uderzyli w głowę. Upadł na ziemię.

Nie pamiętał jak długo leżał. Oprzytomniał w fosie koło lasu. Była noc. Czuł się zbity, skopany i nie mógł wstać. Wyszedł na raczkach na pastwisko i rosą zmył czoło, bo głowę rozsadzało mu z bólu. Wrócił z powrotem do rowu, w którym przesiedział do rana. Gdy zaczęło świtać, wyszedł na drogę i zobaczył szlaban z napisem "Lasy Józefowskie". Zaczął iść często odpoczywając, bo całe ciało go bolało. Szedł długo przez las, aż wreszcie z daleka zobaczył człowieka. Kiedy jednak zbliżył się do niego - ten uciekł. Czuł na sobie jego wzrok, obserwowany był przez krzaki. Wtenczas przypomniał sobie, że jest półnagi (miał na sobie podarte kalesony, bo częścią nogawek owinął zranioną głowę) i ma ogolone pół twarzy. Na pewno wyglądał odstraszająco. Za chwilę zobaczył dwóch mężczyzn. Kiedy zbliżyli się do niego również przestraszeni, zaczęli uciekać w las. Józef zaczął ich wołać. Gdy wyszli z lasu zapytał ich, gdzie można kupić coś do ubrania. Ośmieleni tym pytaniem zaczęli rozmawiać i dopytywać się, co mu się przydarzyło. Opowiedział im swoją ucieczkę i spotkanie z bandą. Po uzyskaniu informacji jak ma się wydostać z lasu, zastosował się ściśle do wskazówek rozmówców. Rzeczywiście, niedługo skończył się las i zaczynały pola. Niadaleko lasu stał dom. Wszedł do niego i poprosił mieszkającego tam mężczyznę o ubranie. Dostał podarte spodnie, do których zrobił pas z ukręconej wikliny. Poszedł dalej w stronę wsi. W jednym z domów otrzymał marynarkę, a następnie poprosił o przybory do golenia i dokończył golenia drugiej części twarzy. Na nocleg wybrał stodołę, nie

zgłaszając gospodarzowi swojej obecności. Uznał, że tak będzie bezpieczniej.

Rano wstał i szedł za słońcem, ciągle na zachód. Wyszedł na kamienistą drogę, który raniła jego bose stopy. Szedł krajem drogi lub fosą. Spotkał dwie starsze kobiety, które zapytał jak daleko do Sanu. Odpowiedziały, że około 3 km. Radziły też, by tam nie szedł, bo mogą być Niemcy. Następna spotkana kobieta poinformowała go, że rzeka jest blisko - tuż za wikliną. Również radziła nie iść tam, gdyż Niemcy rozbili tabor polski i być może pilnują go. Mimo przestróg szedł do rzeki, prosto przez wiklinę. Idąc wzdłuż Sanu zobaczył rozbity tabor, mnóstwo pozabijanych, cuchnących koni. W uszkodzonym taborze znalazł bieliznę, wojskowy płaszcz, buty, prześcieradło, koc, chlebak, a nawet papierosy. Skompletował bieliznę, wykąpał się w rzece i przebrał. Zabrał też 10 paczek papierosów (po 100 sztuk). Przechodząc dalej zauważył skrzynię rozbitą z sucharami, zabrał je, bo nie jadł dwa dni. Dziękował Bogu, że Opatrzność skierowała go w to miejsce.

Zastanawiał się, jak przeprawić się przez rzekę. Woda była głęboka i należałoby ją przepłynąć, ale szkoda było moczyć nowego ubrania. Postanowił iść dalej i szukać jakiegoś przejścia. Doszedł do jednego z zakoli rzeki i z daleka zobaczył coś, co przypominało most. Gdy zbliżył się spostrzegł, że most był podminowany i spadł do rzeki. Zaczął rozglądać się i zobaczył obok wydeptaną w trawie ścieżkę, która zaprowadziła go do mostu pontonowego. Przebiegł szybko na drugą stroną. Ścieżka prowadziła dalej i Józef szedł nią energicznym krokiem. Nagle, na drodze stanął Niemiec. Postanowił iść prosto na niego, życie było mu obojętne. Niemiec cofnął się - robiąc miejsce dla polskiego żołnierza. Myślał, że wróg będzie strzelał, ale była cisza. Doszedł do dębu stojącego nad brzegiem Sanu i ujrzał na nim tablicę z napisem - Leżajsk.

Słońce już zachodziło, w dolinie widać było miasto. Robiło się ciemno, więc nie szedł już do miasta. Zobaczył w polu samotnie stojący domek, w oknie świeciła się lampka. Zapukał do drzwi, przez firankę wyglądnęła kobieta, pytając kilkakrotnie: Kto to? Po chwili otworzyła drzwi i zaczęła rozmowę z przybyszem. Dowiedział się, że miała trzech synów, których zabrano na wojnę. Pytając kilka razy: "kto idzie", myślała, że któryś z nich wraca do domu. Długo rozmawiali o wojnie i losie żołnierzy. Zajęła się nieznanym żołnierzem jak własnym synem. Zrobiła kawę, kolację, przygotowała pościel i zapytała o miejsce do spania. Józef wybrał strych, jako najbardziej bezpieczny.

Obudził się kiedy słońce było już wysoko. Zjadł śniadanie, otrzymał na drogę prowiant i poszedł w dół, prosto na klasztor w Leżajsku. Przeszedł obok kościoła i mijając miasto szedł polami na zachód. Kiedy wydostał się na szosę, zobaczył trzech Niemców naprawiających motocykl. Przeszedł

obok nich, ci popatrzyli na niego nic nie mówiąc. Poszedł dalej na południowy-zachód.

Po lewej stronie Sanu byli ludzie inni, bardziej kulturalni, zapraszali wędrującego żołnierza do domu na posilki. Nie zatrzymywał się nigdzie dłużej - chciał jak najszybciej dotrzeć do domu. Minął Ropczyce, Wisłokę, Pilzno, Szynwałd, Zalasową, Piekło, aż znalazł się w Karwodrzy. Najbliżej mieszkała siostra Genowefa (Krzemień) - do niej skierował pierwsze kroki po tułaczce. Całą rodzinę zastał w polu: obie siostry Maria i Genowefa oraz szwagier Jan kopali ziemniaki. Był koniec września 1939 roku.

Józef Sadko

Miał się ożenić we wrześniu 1939 r. Tymczasem wybuchła wojna. Na początku września otrzymał kartę mobilizacyjną do 16 pp w Tarnowie. Pobór odbywał się w budynku Związku Strzeleckiego. Po zebraniu 150 rezerwistów, odsyłano ich pod Pszczynę. Józef dostał skierowanie do koszar przy ul. Mickiewicza. Otrzymał karabin i zadanie, by z okna koszar strzelać do samolotów wroga (strzały były nieskuteczne)

W jednym dniu wybrał się na rowerze do domu (w Zalasowej), później do Karwodrzy i wracał do Tarnowa przez Piotrkowice. Tam w lesie spotkał odpoczywających żołnierzy ze swojej jednostki. Szli na wojnę. Szybko pojechał do koszar, przebrał się i dopędził ich. Przyszli do mostu dzielącego Tuchów od Karwodrzy i zatrzymali się koło domu Żyda Joska. Tabor i artylerię trzeba było usytuować na Pająkowej Górze. Dowództwo nie chciało jechać przez miasto, obawiając się ostrzału z samolotów wroga. Szukano innej drogi. Józef zgłosił się jako przewodnik, gdyż znał dobrze tę okolicę. poprowadził tabor drogą na Piekło, a później przez las (obecnie niebieski szlak) do wyznaczonego celu.

Na Pająkowej Górze byli tylko do wieczora, następnie skierowali się na Tuchów i Siedliska. W Tuchowie poinformowano ich, że na Grabku jest szpieg. Józef pojechał tam na rowerze. Znalazł cywila piszącego coś na kartce i przyprowadził go na posterunek policji w Tuchowie. Wrócił z taborem do Siedlisk. Tam na placu dworskim przenocowali się. Rano przyjechali znów do Tuchowa, a z Tuchowa do Ryglic. W miasteczku tym spotkał żołnierza, który na rowerze wracał spod Pszczyny, płakał i mówił, że jest tam strasznie i że nigdy na wojnę nie pójdzie.

Józef pojechał na chwilę do domu, żeby się ogolić. Wracając do miejsca postoju, spotkał znajomych, którzy zabili świnie, by te nie dostały się w ręce Niemców. Otrzymał od nich dużo kiełbasy i innych przetworów mięsnych, które rozdał głodnym kolegom. Brakowało im tylko chleba. Ale w następnej wiosce, do której przyszli (Jodłowa), kobiety rozdawały chleb. Żołnierze mogli nasycić się.

Rower bardzo przydał się na wojnie. Dzięki niemu Józef nie męczył się, pomagał też słabszym kolegom, organizował jedzenie i był łącznikiem. Rower był jedynym niezawodnym pojazdem na tej dziwnej wojnie, na której wróg atakował z samolotu lub czołgu, a obrońcy mieli do pomocy tylko konie.

Droga z Jodłowej na wschód była uciążliwa. Żołnierze prowadzili ze sobą działo, a w marszu przeszkadzał im tłum uciekinierów. Co chwilę dał się słyszeć okrzyk: Niemcy tu!. Podejrzewano, że alarm ten wywoływał jakiś szpieg. Nagle nad nimi pojawiło się kilka samolotów, które zaczęły strzelać. Oddział został rozbity, zabito dużo koni.

Odtąd szli małymi grupami. Józef szedł z kolegą. Wieczorem dotarli nad Wisłokę. Przez rzekę pomogli im przeprawić się miejscowi chłopi. Szli dalej na wschód. U jednego z gospodarzy poprosili o cywilne ubranie. Józef dostał płócienne, krótkie spodenki i koszulę-rubaszkę. Gosopodarz doradzał, by nie spali po stodołach, bo mogą być zamordowani przez Ukraińców. Doszli do Sanu, dołączając do jakiegoś wojska. Na ówczesnej granicy niemiecko-rosyjskiej, Niemcy zatrzymali ich, oddzielając cywilów od wojskowych. Cywilom rozkazano wracać. W Przeworsku, zorganizowano im transport powrotny. Kto miał dowód osobisty mógł wsiadać do samochodu ciężarowego. Nasi wędrowcy nie posiadali go, ale kiedy samochód ruszył - wskoczyli do niego. Jechali bocznymi drogami w stronę Krakowa. Podjechali pod wiadukt i musieli zatrzymać się - samochód był za wysoki. Wtedy wszyscy wysiedli i zaczęli podkopywać drogę. Wreszcie ruszyli dalej na zachód. W Tarnowie (przy ul. Lwowskiej) Józef z kolegą wyskoczyli z wozu. Wracali do domu na piechotę.

Franciszek Mendera

Służbę wojskową odbył w 26 pp we Lwowie. W czasie II wojny światowej został zmobilizowany do III batalionu 16 pp w Tarnowie, z którym przebył część szlaku bojowego. Wyjazd żołnierzy na wojnę odbył się pociągiem do Krakowa-Płaszowa. Stamtąd szli pieszo trzy dni pod Pszczynę. Wielu żołnierzy zostało w drodze, bo nie mogli iść, mieli odparzone nogi.

Gdy dotarli na miejsce, poszli na pierwszy ogień do walki. Batalion został natychmiast rozbity. Nie można było nic zrobić. Mieli ze sobą tylko 7 karabinów, a wróg nacierał na nich czołgami. Zostali otoczeni ze wszystkich stron.

Ocalałą garstkę żołnierzy wyprowadził z matni mjr Ryba, który wcześniej wysłał zwiadowców, by badali teren i możliwość przejścia. Szli nocą koło Soły, przez Oświęcim, Rajsko w kierunku Zatora. Ponieważ nie było szansy dołączyć do innej jednostki bojowej, mjr zaproponował, by każdy wracał w swoje strony i nie dał się wziąć do niewoli. Sam też "ulotnił się". Nie znali

dokładnie swojego położenia. Dopiero porucznik, który został z nimi, sprawdził mapę (przy świetle latarki pod szczelnie okrytym płaszczem) i powiedział, że znajdują się 5 km od Zatora. Niedaleko były Wadowice i Kalwaria.

Franciszek znał te okolice, bo jeździł kilka razy na rowerze do Kalwarii Zebrzydowskiej. Żołnierze rozeszli się do miejscowych domów, prosząc ich właścicieli o cywilne ubranie. Franciszek "wypożyczył" podarte ubranie, a mundur wojskowy zakopał w polu niedaleko zagrody.

Już był dzień. Z góry, przez krzaki obserwował drogę prowadzącą do Wadowic. Jak okiem sięgnąć, widać było wojsko niemieckie i czołgi jadące w kierunku miasta. Kiedy czołgi przejechały, zbliżył się do szosy i spostrzegł, że droga była tak ubita przez pojazdy, że została zrównana z fosą. Postanowił przejść na drugą stronę. Wtedy zobaczył żołnierza niemieckiego stojącego przy drodze i patrzącego na niego podejrzliwie. Jego wzrok przenikał go, jakby rozpoznawał w zniszczonym chłopskim ubraniu polskiego żołnierza. Nasz bohater "spokojnie" poszedł dalej.

Dotarł do klasztoru w Kalwarii. Tam spotkał siostrę zakonną, której opowiedział swoje dzieje. Otrzymał od niej ubranie, jedzenie i nocleg. Spał długo i spokojnie. Gdy wstał poszedł do kościoła podziękować Matce Boskiej za szczęśliwy powrót. Pięć dni trwała podróż do domu. Gdy przyszedł do Tuchowa, do miasta wkroczyli już Niemcy.

II. PIERWSZE SPOTKANIE Z WOJNĄ

Echa rozpoczętej wojny dotarły do mieszkańców Karwodrzy w formie ustnych przekazów i kart mobilizacyjnych doręczonych wielu mężczyznom. spotkanie z wojną nastąpiło 7 września, kiedy to 24 dywizja piechoty armii "Karpaty" odeszła znad Dunajca, wycofując się na Wisłokę i Dębicę. Dwa bataliony tej dywizji (wspomniane w I rozdziale) szły od Zakliczyna przez Gromnik, Tuchów na Pilzno. Około gadziny 1o-tej w Tuchowie dostały się pod silny ogień artylerii wroga.
Największy ruch naszego wojska - z Tuchowa na Zalasową - odbywał się drogą na Furmaniec. Na Pająkowej Górze zaatakował ich samolot niemiecki - zginęło kilku żołnierzy i zabito kilka koni.

Wojska tych jednostek maszerowały też przez Karwodrzę 7 września od rana do popołudnia. Również na drugi dzień, to jest 8 września, ciągnęły niedobitki żołnierzy. Kierowały się one na północny-wschód, idąc wszystkimi drogami przez wieś, a więc: drogą główną wzdłuż rzeki Karwodrzanki i górę Iwańca na Szynwałd, przez Górę Chaima i Rolę na Zalasową, koło tuchowskiego lasu na Piekło, górną drogą (obecnie główną) w kierunku Trzemesnej, a nawet polnymi miedzami. Przechodząc przez wieś - wojsko znalazło się pod ostrzałem lotnictwa wroga. Na szczęście pierwsze niemieckie kule spadające na wieś nie były celne, nikt nie zginął ani nie było większych szkód materialnych.

Kilka dni wcześniej ludzie mieszkający blisko drogi słyszeli nocą turkot wozów jadących z uciekinierami w stronę Trzemesnej. Sami Karwodrzanie - kórych nie objęła mobilizacja - 7 września rano dołączyli do uciekinierów. Przyczyną opuszczenia przez nich wsi była wiadomość, że wszyscy mężczyźni będą zabierani do obozów lub wojska niemieckiego, a nawet zabijani. W większości przypadków udali się pieszo przez Zalasową, Pilzno, Przemyśl, Lwów do okolic Sokala (tam mieszkali ich krewni i znajomi ze wsi).

Po naradzie na Świnogórze około 10 z nich wróciło do domu, dlatego niewielu mężczyzn zostało we wsi. Pierwsze dni wojny zostały zapamiętane przede wszystkim przez kobiety i dzieci. Mężczyźni z wojną spotkali się na trasie swojej ucieczki na wschód.

Pierwsze patrole niemieckie przyjechały do wsi 7 września wczesnym popołudniem. 9 i 10 września wojska okupanta przybyły do Karwodrzy.

Każdy ze świadków owych wydarzeń pamiętał jakieś fragmenty. Te fragmenty dają względnie całościowy obraz pierwszych dni wojny. Obraz ten jest mniej lub więcej dokładny, ale zachował się w pamięci ludzkiej.

Salamon Władysław

"Był czwartek 24 sierpnia 1939 r. Przyjechaliśmy z pola z bratem Jankiem około godziny 10^{00}, z furą koniczyny. Przed domem stał sołtys Szeląg Franciszek i gdy brat zszedł z fury, wręczył mu kartę mobilizacyjną o natychmiastowym zgłoszeniu się do "16-tki". Janek szybko przebrał się i pożegnał ze wszystkimi. Ojcowie mu pobłogosławili. Wszyscyśmy płakali. Mamusia powiedziała: Wstąp do klasztoru! Tam księża spowiadają! Idziesz na wojnę! (Matka pamiętała dobrze I wojnę światową). Na drodze czekali już koledzy z Trzemesnej: Onak Franciszek i Budzik Stanisław. W tym dniu na wojnę poszło kilku chłopców.

Na 26 sierpnia sołtys ogłosił pobór koni (z uprzężą) dla wojska - do Koszyc Wielkich. Ponieważ ja byłem potłuczony, bo spadłem z fury koniczyny przy pawężeniu, na naszym koniu pojechał Stanisław Janura. W Koszycach zabrano trzy konie: sołtysa Szeląga, Iwańcowej Wiktorii i Iwańcowej Bronisławy.

W całej wiosce było ogromne zaniepokojenie. Jedni już poszli do wojska, inni czekali na wezwanie. Ale ludzie jeszcze żyli nadzieją. Niektórzy twierdzili, że Niemiec straszy, ale boi się wojny, bo Polska ma układ z Francją i Anglią to Niemca pobiją. Inni jednak w to wątpili. Tak czekała cała wioska, jakby zamarła. Prawie nikt w polu nic nie robił, jak w święto. Co dalej? A tu w wiosce nie ma ani radia, ani żadnych wiadomości.

Pierwszego września pamiętam doskonale, bo byłem w tym wieku, że do szkoły już nie chodziłem, radia, telewizora ani sportu u nas nie było, a dziewczęta jeszcze mnie nie interesowały. Tylko to: Co będzie dalej? Brat Janek poszedł do wojska, brat Staszek czekał na wezwanie. Ludzie we wsi stali grupkami i dyskutowali. Dzień był pochmurny, bezwietrzny, ciepły i smutny. Czekaliśmy na jakąś wiadomość. Nad Tarnowem słychać było dudnienie, odgłos strzelania, czasem jakieś lekkie wybuchy. Nikt nie wiedział co to jest. Dopiero o godzinie 9^{00} przyszła wiadomość do wioski - z posterunku w Tuchowie, że o świcie Niemcy uderzyli na Polskę, bombardując miasta. Zbombardowali Tarnów. Ci co mieli nadzieję, że wojny nie będzie - bardzo to przeżyli. Ja 15-letni chłopak, też to przeżyłem - widząc jak płakała mamusia i siostry. Tak się zaczęło.

2 września sołtys zawiadomił o poborze koni (po raz drugi) w Tuchowie, w Księżym Lesie - w niedzielę 3 września. Pojechałem tam sam. Było bar-

dzo dużo koni ukrytych w lesie, bo od czasu do czasu przelatywały samoloty niemieckie. Zabrali najlepsze konie. Po raz drugi wzięli konia Iwańcowej Wiktorii i Bronisławy oraz Zofii Kawy. W niedzielę ludzie się pocieszyli, bo przy tym poborze koni byli oficerowie polscy i mówili, że wojsko nasze weszło 100 km w Niemcy. Ale to trwało krótko.

We wtorek (5 IX) ku wieczorowi słychać było wyraźnie terkotanie karabinów maszynowych. To nasze wojcko strzelało - z Wróblowic - do Niemców, co byli już za Dunajcem. Niedługo to ucichło.

We środę sołtys wyznaczył czterech furmanów do wywozu posterunku. Pojechali: Krzemień Adam, Jeleń Michał, Piska Stanisław i Chwistek Stanisław. Chwistek pojechał naszym koniem i naszym wozem (jego koń był stary). Podobno pod Dębicą Niemcy zaatakowali uciekinierów. Chwistek zostawił konie, wóz i wrócił sam. Twierdził, że bomba spadła na wóz, konie zabito, a on się uratował. Po paru dniach wrócili Jeleń, Krzemień i inni - razem z końmi. Ojciec nic nie mówił, chociaż utrata konia i wozu w tym czasie była klęską. Mówił: Dobrze, że chociaż sam wrócił do żony i dzieci!

7 września we czwartek rano poszedłem do kościoła z kuzynem Kowalskim Ludwikiem. Spotkaliśmy kilku żołnierzy na koniach, kierowali się na drogą na Furmaniec, w kierunku Zalasowej (dziś ulica Partyzantów). Pod klasztorem spotkaliśmy już dużą grupę wojska i koni jadących z miasta. Gdy weszliśmy do kościoła było już pełno ludzi. Słychać było płacz, szum samolotu i ogólne zamieszanie. Zaraz na ambonę wszedł ksiądz Wójcik i powiedział: Niemcy idą na Tuchów, a nasze wojsko wycofuje się! Nie mamy czasu! Daję wam ogólne rozgrzeszenie! Możecie przystąpić do komunii św., a kto przeżyje, to się wyspowiada!

Po wyjściu z kościoła spotkaliśmy żołnierzy idących i jadących na koniach w kierunku Zalasowej. Gdy doszliśmy tu, gdzie obecnie jest cegielnia, nadleciał samolot i ostrzeliwał teren. A najwięcej nad Pająkową, bo tam było wojsko. Ludzie idący drogą chowali się pod rosochate wierzby, którymi obsadzona było droga (co 15 m. rosła wierzba).

Gdy wróciłem do domu, to już większość mężczyzn odeszła z wioski. Na ostatku szedł Gawryał Józef, Władysław Dunaj i jeszcze ktoś. Ja też chciałem z nimi uciekać. Wszedłem do piwnicy po plecak, ale mamusia zamknęła piwnicę i nie pozwoliła nigdzie iść. Okna w piwnicy nie było i musiałem siedzieć dopóki mnie nie wypuszczono. Było to dla mnie przykre, bo później koledzy śmiali się ze mnie. Po wyjściu około godziny 11^{00} na wsi było cicho. Jeszcze małe grupki wojska odchodziły. Drogą koło rzeki jechał samochód osobowy i stanął pod domem Józefa Salamona. Brakło mu benzyny. Był on dla nas zabawą, stał tam około miesiąca. Około godziny 18^{00} w kierunku Trzemesnej przyjechało dwa motocykle z przyczepą, jako patrol niemiecki. Mieli wystawione karabiny maszynowe, gotowe do strzału. Po

chwili przyjechało dwa samochody wojskowe. Obserwowałem to wszystko ukryty w zębie rosnącym tuż przy drodze. Tak zakończył się ten dramatyczny dzień 7 września.

Niemcy po wkroczeniu byli bardzo butni, nawet nie chcieli rozmawiać z Polakami. Nie pytali o drogę, bo mieli wspaniałe mapy zrobione w 1938 r. podczas poszukiwania rudy (który była tylko maskowaniem map wojskowych). Do końca września leciały na wschód samoloty całymi eskadrami, dość wysoko. Z powrotem leciały wolniej, bardzo nisko. Często leciały niżej niż wysokie drzewa. Czasem widać było, jak lotnicy wychylali się przez okna - oglądając zdobyte tereny.

Do końca października widać było, jak z lasu trzemeskiego, z góry Iwańca czy Chaima szli żołnierze (również cywile) - powracający z ucieczki. Pytali często o drogę, aby ominąć Tuchów, gdyż na moście w Tuchowie był silny patrol niemiecki. Kierowaliśmy ich na Łowczów lub Kielanowice.

Myśmy wyczekiwali i modlili się wspólnie w domu o szczęśliwy powrót braci. Janek wrócił w niedzielę, 1 października koło południa. Przyszedł z kolegą - Władkiem Malcem z Buchcic. Uciekli w Czarnej z transportu do Niemiec. 2 czy 3 października wrócił brat Stanisław. Przychodząc od Trzemesnej wstąpił do rodzinnego domu, później poszedł do żony i dzieci. I tak do połowy października powróciła większość mężczyzn z wojny i uciekinierki, za wyjątkiem tych, co dostali się do niewoli[13].

Kawa Stanisława

Kiedy wybuchła wojna, we wsi zapanowało panika, wszyscy płakali, słychać było wycia syren. Ktoś szedł przez wieś i krzyczał, że jest mobilizacja wszystkich mężczyzn do 42 roku życia. Nocą widać było ogromną łunę na południu i słychać huk dział. Za kilka dni ludzie uciekali na wschód, później szło wojsko polskie, a następnie pojawili się Niemcy - przyjechali na motocyklach w charakterystycznych hełmach. Dotarli wszędzie, nawet w najbardziej niedostępne miejsca (wyjechali na górę Iwańca).

Chaim Maria

Pasła krowy niadaleko domu. Nagle zobaczyła jak w jej stronę biegnie sąsiadka (Chaim Maria) i zdenerwowana mówi, że jej mąż dostał mobilizację na wojnę. Maria rozpłakała się, bo to był jej ojciec chrzestny. Poszły razem do domu. U ojca (Kusa Leona) zastały Czesława Świątka. Kiedy dowiedział się, że Chaim ma kartę, powiedział, że musi wracać do siebie, bo na niego pewnie też czeka.

---

[13] Rękopis - u autorki

Za kilka dni od tego zdarzenia, drogą prowadzącą od Tuchowa do Zalasowej (koło lasu), szli polscy żołnierze. Podeszli pod ich dom, bo nad lasem zaczął krążyć - bardzo nisko - samolot. Strzelał do wszystkiego, co się ruszało. Jeden z żołnierzy wyszedł na drzewo i chciał strzelać do tego samolotu, ale drugi zabronił mu, mówiąc, że nie wolno narażać dzieci na niebezpieczeństwo. Po odlocie pojazdu Luftwaffe - odeszli.

Józefa Wójcik

W czasie wojny "służyła" w Tuchowie u Wojtanowskich. W pierwszym dniu wejścia okupanta, wszyscy mieszkańcy opuścili centrum miasta udając się na peryferie. Wojtanowscy zamieszkali na Garbku (u Rudnickich). Józefa szła do swoich chlebodawców, wioząc na ręcznym wózku dwa worki mąki, bo chciała im upiec chleb. Od samego rynku - gdzie mieszkała- maszerowały kolumny żołnierzy. Wojsko polskie rozciągało się od Dąbrówki Tuchowskiej do rynku w Tuchowie. Gdy dochodziła do mostu kolejowego, nadleciały dwa samoloty i zaczęły strzelać. Żołnierze chowali się pod drzewa, pod dachy domów lub padali do fosy. Ona szła dalej, ale wojskowi polecili jej ukryć się przed padającymi kulami.

Pierwsi Niemcy przyjechali do Tuchowa w tym samym dniu, tylko popołudniu. Przez dwa dni był spokój. Na trzeci dzień niemieccy żołnierze zamieszkali we wszystkich domach w rynku i przylegających do niego ulicach, a nawet w Domu Katolickim. U Wojtanowskich zakwaterowano dwóch oficerów i trzech kierowców.

Stanisława Walaszek

Był piękny, słoneczny i upalny dzień. Pasła krowy blisko drogi i zobaczyła dużo wojska polskiego idącego w stronę Trzemesnej. Zmęczeni i wychudzeni żołnierze, z nogami owiniętymi onucami - szli powoli zakurzoną drogą. Za nimi jechały wozy zaprzężone w konie. W jednej chwili, nie wiadomo skąd, pojawiły się samoloty, zniżyły się i zaczęły strzelać do wojska. Przerażona Stanisława uciekała w stronę maszerujących żołnierzy. Koło domu stali jej najbliżsi krewni i wołali żeby wracała. Kiedy samoloty odleciały wróciła do domu.

Za jakiś czas, kiedy wojsko odeszło, rozległo się warczenie motorów i w stronę Karwodrzy zbliżały się dwa motocykle. To jechali Niemcy. Stanęli na skrzyżowaniu pod Gagatkiem i za chwilę zdecydowali się jechać na Piekło, w stronę Zalasowej. Za dwa dni przyjechała już duża grupa żołnierzy niemieckich z taborem. Zatrzymali się we dworze.

Najbliższa rodzina (Czechowscy, Krzemieniowie, Lipkowie i Salamonowie) zaczęła przygotowywać się do wojny. Znaleziono schron- była nim najgłębsza piwnica pod domem Salamona Stanisława. Przygotowano za-

pasy na czas pobytu w schronie: pieczono chleb, robiono masło, sery i znoszono pościel do piwnicy. Pobyt w niej nie trwał długo, gdyż naloty ustały.

Patyk Jan

Był w kościele z matką,kiedy usłyszał straszny huk i odgłos kul padających na dach kościoła N. M. P. w Tuchowie. Zrobiła się panika, ludzie zaczęli płakać i uciekać. Na ambonę wszedł ks. Wójcik Stanisław, uspokajał wiernych i dał wszystkim rozgrzeszenie, by mogli przystąpić do komunii św. Wracając z kościoła, byli już pod lasem (koło Dudowicza), kiedy przeleciał nad nimi samolot. Gdy wrócili do domu, ojciec zaczął się szybko przygotowywać do ucieczki na wschód (poszedł z Szosteckim i Jeleniem Tomkiem, ale za tydzień wrócili).

W tym samym dniu - późnym popołudniem - spotkał Niemców, jechali na motorze z przyczepą. Pojechali pod Piórkowskiego w Piekle i wrócili z powrotem. Obsrewował ich od Solarzów, gdzie poszedł odwiedzić swoich kolegów - Julka i Władka.

Michalik Franciszek

W pierwszym dniu wojny pasł krowy na gromadzkim pastwisku, koło rzeki. Zobaczył wojsko idące przez wieś, a za chwilę lecące samoloty, które strzelały na wszystkie strony. Kule odbijały się od dachówek zabudowań dlatego huk był jeszcze większy. Przerażony zostawił krowy i uciekł do domu.

Franciszek Szeląg

Był dzień wyjątkowo piękny. Rano o godzinie 6^{00}, ojciec z kuzynem matki (Kantorem) poszedł na uciekinierkę. Około godziny 8^{00} przyszło do domu kilku żołnierzy polskich - dezerterów. Byli prawdopodobnie Ukraińcami, bo głośno mówili, że za Polskę bić się nie będą. Żołnierze ci nie mieli broni. Napili się tylko mleka i poszli w kierunku lasu.

W tym czasie na drodze prowadzącej z Tuchowa do Tarnowa (na równiach), pojawiły się samochody (co było w tenczas rzadkością). Do godziny 10 był spokój, dopiero potem zaczęła się ostra strzelanina koło Tuchowa. Matka z rodzeństwem i sąsiadka (Kantorowa) z dziećmi zeszły do schronu zrobionego w piwnicy. Wyszły z niego około godziny 14^{00}, strzelaniny już nie było. Po południu Franciszek z siostrą Teresą pasł krowy na łące pod lasem i znalazł tam futerał od rewolweru i skrzynię granatów. Powiadomił o tym starszego brata Stanisława , który skrzynię tę zakopał i wykorzystał później do działalności partyzanckiej.

Chwistek Mieczysław

Polskie wojsko wycofywało się, szło od Tuchowa na Zalasową przez górę Chaima. Zatrzymali się u ojca, na placu koło rzeki. Wtem nadleciały samoloty niemieckie i zaczęły strzelać. Żołnierze chowali się do piwnicy. Mieczysław stał, nie wiedział co się dzieje, żołnierze zabrali go ze sobą do piwnicy. Po odlocie samolotów wojsko poszło dalej. Za około 4 godziny po tym wydarzeniu, do wsi przyjechało trzech żołnierzy niemieckich na motorze z przyczepą (jechali przez pola, nie drogą).

Dunaj Teodora

Brat Gustek poszedł do kościoła z Jankiem Patykiem, ojciec młócił zboże w stodole, a matka piekła chleb (z nowego ziarna). Tadzia usiadła na oknie i patrzyła na świat. Nagle rozległ się ogłuszający szum, na niebie ukazały się samoloty i zaczęły strzelać. Na ziemię spadały srebrne kulki. Zaraz do domu przyszedł ojciec, pożegnał się ze wszystkimi, powiedział: Zostańcie z Bogiem! Nie wiem kiedy wrócę! Uciekł z Salamonem Józkiem i innymi mężczyznami z Karwodrzy na wschód. Wrócił stamtąd za tydzień (zatrzymał się u rodziny mieszkającej koło Rzeszowa w Trzebiatowskich Kątach). Po odejściu ojca, matka z rodzeństwem przebywała w schroniepiwnicy u Jelenia Tomka. Wraz z nimi siedziały też dzieci od najbliższych sąsiadów - Nalepków.

Krzemień Józef

Kiedy przez wieś zaczęło iść polskie wojsko i strzelano z samolotów wroga, rodzice zostali w domu, a dzieci wysłali do stryjenki Anny Krzemień. Były tam bardziej bezpieczne, bo dom znajdował się w pewnym oddaleniu od drogi. Pamięta, jak koło domu stryjenki - polną drogą biegnącą na las i Piekło - szło powoli dwóch żołnierzy polskich i prowadzili konie, Żołnierze ci zatrzymali się przy domu i dawali rady kobietom, żeby nie zostawały w mieszkaniu, ale wykopały duży dół-schron za stodołą i tam przebywały. Za około dwie godziny po rozmowie z żołnierzami- do wsi przyjechali Niemcy.

Wilczyńska Rozalia

W grudniu 1938 r. wyszła za mąż i mieszkała chwilowo w Muszynie. Kiedy mąż poszedł na ćwiczenia wojskowe do Nowego Sącza (a później na wojnę), wróciła z małym dzieckiem do matki do Karwodrzy.

Była wigilia M. B. Siewnej - 7 września. Wraz z wieloma mieszkańcami wsi, poszła rano do kościoła NMP w Tuchowie. Wtedy nastąpił nalot- pociski uderzały o blachę dachu kościelnego, w kościele trwała panika, ludzie krzyczeli.

Po wyjściu z kościoła wracała z siostrą Ewą przez pola, bo bały się iść główną drogą. Gdy doszły do Malenika, spotkały tabory konne wojska polskiego. Do nich to właśnie strzelano z samolotów. Po przyjściu do domu, ukrywała się wraz z całą rodziną w piwnicy u Łątki Władysława.

Na drugi dzień, po pierwszym spotkaniu z wojną, do wsi przybyło kilku Niemców i polscy żandarmi. Chodzili po domach i szukali rannych polskich żołnierzy, mówili: "My sanitares"! Byli pewni, że po nalocie poprzedniego dnia jest dużo rannnych. Na szczęście, tak nie było. Jednego z rannych żołnierzy - Rozalia z matką - ukryły w ubikacji szkolnej. Po wizycie "sanitariuszy" - poleciły mu szybko uciekać.

10 lub 11 września, dowiedziała się, że do Tuchowa przywieziono jeńców, poszła tam szukać swojego męża. Nie spotkała go ale za to spotkała czołgi niemieckie jadące przez miasto. Później okazało się, że mąż był na wojnie, został ranny pod Dobromilem i wzięty do niewoli. W czasie transportu pociągiem do III Rzeszy, uciekł w Czarnej Tarnowskiej. Wrócił za około pół roku.

Pisek Teresa

Mieszkała u cioci Szelągowej. Rano, wujek - Szeląg Wojciech - ze synem Kazimierzem, wyszedł z domu na "uciekinierkę". Teresa pasła krowy koło rzeki i zobaczyła dużo żołnierzy idących olszyną, wzdłuż tej rzeki a następnie małego strumyka biegnącego koło domu wujka. Kierowali się na trzemeski las, górę Iwańca i Chaima. Nagle nad Pająkową Górą ukazał się samolot, który leciał w stronę wsi. Rozległy się strzały. Krowy rozbiegły się i ciocia pomogła zagnać je do stajni. Kiedy wyszła ze stajni zobaczyła, że żołnierze chowali się do piwnicy, uciekali też pod drzewa. Jeden z nich radził cioci, żeby przed nalotem zawsze chowała się do piwnicy.

Na drodze koło Michała Salamona widać było wozy konne (na wozach tych, okazało się później, były worki z mąką, ryżem i konserwy mięsne). Pod górą Chaima wozy te zostawiono, bo nie mogli ich wyciągnąć, zabrali tylko konie. Później ludzie pozabierali sobie z tych wozów zapasy żywnościowe.

W tym samym dniu wieczorem, w stronę Trzemesnej jechały furmanki pokryte celtą (podobne były do cygańskich wozów). Byli to uciekinierzy.

Salamon Stanisław

"Wrzesień był upalny. Siedmioletniemu smarkaczowi obiło się o uszy, że Niemcy są w Polsce, że posuwają sia na wschód, ale, że ponoć Polacy odepchnęli ich sto kilometrów do tyłu, że może do Karwodrzy nie wejdą.

Potem nagle ojca zabrakło w domu a nad rzeczką (Karwodrzanka) zjawił się sznur wojskowych furmanek i pamiętam jak koło godziny jedenastej

zaterkotał karabin maszynowy. W górze nad wsią, gdzieś nad domem Lipków przekręcił się najpierw jednym, potem drugim skrzydłem w dół samolot. Stałem na górze przed chałupą Polaków i patrzyłem na ten konwój wojskowy.. Żołnierze kryli się pod wozami, za wierzbami. Matka przybiegła ciągnąc mnie do domu, strofowała, że kule lecą i że mnie mogą zabić. Pamiętam bez koło naszego domu i jak się pod ten bez wpychałem, żeby mnie nie zabili.

Na następny czy trzeci dzień - nie pamiętam - leżeliśmy w piwnicy, rodziny: Filarowej Zośki, Wójcików, Polaków i nasza. Rano Wójcikowa i Filarowa donosiły, że wojsko ciągnie drogą na Trzemesną, że jakiś żołnierz stoi przy drzwiach Wójcikowej chałupy i żebrze o jedzenie. Dopiero gdy ona przyszła powtórnie do piwnicy, powiedziała, że dała mu chleba i jajek. Wyszedłem z piwnicy, a na drodze błotnistej zwykle jesienią, ale tym razem w kurzawie, przesuwały się wozy. Jeden z nich stanął na pochyłości drogi. Jakiś oficer rozdarł się na woźnicę, czego stoi. Ten mu odpowiedział, że się postronek urwał. Wiązali ten postronek i pojechali w stronę Trzemesnej. Daleko pewnie nie ujechali. Popołudniu odezwał się warkot motocykli i tak po jednym , po dwa pędziły drogą ku Trzemesnej, pewnie gdzieś z dziesięciu lub więcej żołnierzy, w zielonych hełmach. Byli to Niemcy. Za nimi po pół godzinie nadjechali kawalerzyści niemieccy na pięknych, spasionych koniach. Zachwycałem się tymi końmi. Wjechało ich trzech na nasz trawnik, pytając po polsku, czy gdzieś polskich żołnierzy nie ma. Nie pamiętam już, która głupia baba powiedziała, że w lesie. Kawalerzyści niemieccy zawrócili.

Potem pod wieczór jechały w stronę Trzemesnej samochody. Jechało ich dość dużo. Przypominam sobie czerwone krzyże na ich obudowie blaszanej. Jeszcze nocą słyszałem warkot samochodów. Wszystko pędziło na wschód. Jak przedostawały się do Trzemesnej (wszak góra ta jest dość duża), tego nie wiem. Potem na drugi dzień tylko od czasu do czasu przejechały jakieś samochody.

Pasłem krowy na "dziadkowem", za rzeką, pod Salamonem Józkiem. Przeganiałem krowę koło porzuconego samochodu osobowego, właśnie nad rzeką, pod dziadkiem. Mogłem do tego samochodu wchodzić. Prawdopodobnie dowództwo wojskowe zarekwirowało go, a widząc, że już dalej jechać nie można (a wozy konne pociągały jeszcze pod górę koło Iwańca w stronę Szynwałdu), pozostawiło ten samochód, jak wiele innych rzeczy na pastwę losu i Niemców. Potem, gdzieś w październiku samochód ten był już z siedzeń, a nawet mój ojciec, który wrócił z Podhajec (bo tam zawędrowały karwodrzowskie chłopy w obawie przed Niemcami), gdzieś w początkach października, uszył mi z ceraty tego samochodu teczkę do szkoły. Bo właśnie zaczynała się szkoła. Jedyna wtedy nauczycielka w cztero-

klasówce karwodrzkiej (mieliśmy nową szkołę oddaną do użytku), pani Anna Chmielewska, kazała nam powyrywać z książki kartki z wierszykiem, którego fragment brzmiał: "Bo gdy Dziadka nie ma Polska się nie boi, bo na czele wojska nasz Rydz Śmigły stoi"[14].

Krzemień Maria

Jak wybuchła wojna do Karwodrzy docierały wiadomości, że Niemcy zbliżają się, że są już w Krakowie, Tarnowie. W nocy przyszedł sąsiad Nalepka i powiedział, że Niemcy są już blisko, będą zabierać wszystkich mężczyzn i trzeba uciekać. Wcześnie rano bracia i sąsiedzi uciekli na wschód. Niedługo po ich ucieczce, przez wieś zaczęło iść polskie wojsko, część szła piechotą, niektórzy jechali na furmankach, na koniach, ciągnęli nawet armaty, jechali też samochodem. Zatrzymali się pod górą Chaima - mieli chyba stare mapy, bo na dawnych mapach była zaznaczona droga na las, ale później nikt nią nie uczęszczał. Samochód osobowy zatrzymał się pod tą górą. bo była za bystra, żeby na nią wyjechać. Również wyjść pieszo pod tę górę było ciężko, dlatego wojsko szło przez Rolę. Zatrzymali się przy ich domu, pożyczyli od ojca łańcuch i obiecali go oddać jak będą wracać z powrotem. Poszli w kierunku lasu, drogą przez Piekło i Zalasową. Wcześniej nad wsią przeleciał samolot niemiecki, który mocno strzelał na wszystkie strony. Na szczęście nie słychać było, żeby się coś komu stało.

Kilka godzin był spokój. Późnym popołudniem przyjechali Niemcy na motocyklach. Jechali w stronę Trzemesnej i Piekła. Na drugi dzień pojawiły się patrole niemieckie na koniach. Wieczorem (pierwszego dnia), do wsi wróciło dziesięciu mężczyzn, między innymi: Czechowski Władysław, Filar Karol, Krzemień Czesław, Szymczak Władysław, Świątek Antoni.

Iwaniec Edwarda

Ojca w domu nie było (później dowiedziała się, że był na wojnie). Matka została sama z trojgiem dzieci, najmłodsza siostra leżała w kołysce. Nagle nad lasem (mieszkali blisko lasu) zaczęły krążyć samoloty, a z nich spadały kule. Kule uderzały w drzewa tuż koło domu, a nawet ich odłamki przechodziły przez ścianę. Robił się coraz większy huk, więc uciekły do babci, na górkę. Małą siostrę pomógł im przenosić 10- letni kuzyn. Zawinął ją w prześcieradło i poszedł z nią i najstarszą siostrą Jasią (8 lat). Edzia szła z matką polną drogą, tuż nad nimi, bardzo nisko leciał samolot. Wyglądało, jakby pilot ich gonił. Dziewczynka bardzo się wystraszyła (często w nocy śniła się jej ta scena). Od domu babci obserwowały las, nad którym unosił się dym, jakby się palił. Cały czas był ostrzeliwany. Niemcy myśleli, że w

[14] List do autorki z dn. 9 listopada 1992 r.

lesie znajduje się wojsko polskie, na szczęście , nie było go tam. W tym czasie, gdy strzelanina nie ustawała przebywały w piwnicy. Gdy wyszły z niej, matka bardzo się martwiła, bo była pewna, że zginęły dwie krowy, które pasły się na łące. Ocalały, żadnej nic się nie stało. Najwięcej ucierpiał dom, cały był podziurawiony przez kule, a jedna wpadła przez ścianę w miejsce, gdzie stała przedtem kołyska. Suszące się - przed domem - ubranka małej siostrzyczki zostały podarte w strzępki.

Za około miesiąc od tego strzelania Edzia pasła krowy ze starszą siostrą. Zauważyły, że w ich kierunku idzie wysoki, zarośnięty mężczyzna. Zastanawiały się kto to może być. Mężczyzna ten zbliżał się do nich, bały się i zaczęły uciekać w stronę domu. Zawołał je po imieniu. Edzia zatrzymała się, bo znała ten głos. Zaczęła się dobrze przyglądać nieznajomemu. Był dziwnie ubrany, miał pasiaste świecące spodnie, białą koszulę, teczkę i w pasie uwiązany garnuszek w kwiatki. Gdy podszedł całkiem blisko - mimo dużego zarostu - rozpoznała w nim ojca. Ojciec wziął ją na ręce, ucałował i powiedział, że nie ma cukierków, ale za to ma cukier w kostkach. Wzięła tylko jedną, bo wiedziała, że matka słodzi herbatę małej siostrzyczce sacharyną. Chciała dla niej zostawić resztę. Zaczęła wołać za starszą siostrą, by wróciła, bo tata przyszedł, ale ona uciekła do domu.

Świątek Antoni

Kilka dni po wybuchu wojny (we środę) sołtys Szeląg wydelegował z Karwodrzy pięciu mężczyzn z furmankami do Tarnowa. Wśród wydelegowanych znaleźli się: Polak Władysław, Salamon Stanisław i Świątek Antoni. Zadaniem ich była pomoc w ewakuacji tarnowskiego starostwa. Kiedy dojechali pod budynek starostwa, nie zastali w nim już nikogo. Salamon Stanisław obszedł wszystkie pomieszczenia, ale były zamknięte.

Na drugi dzień rano, we czwartek (7. IX), większość karwodrzkich mężczyzn uciekła na wschód, w okolice Sokala. Wśród nich znalazł się Antoni. Jednak po naradzie na Świnogórze (w Zalasowej) wróciło do wsi około dziesięciu "uciekinierów". Wśród nich, wieczorem wrócił do domu Antoni.

W święto MB Siewnej (8. IX), na prośbę żony Kazimierza Argasińskiego, udał się wozem zaprzęgowym w parę koni do Nowego Sącza. W Tuchowie nie mógł przejechać ulicą, bo już było pełno wojska niemieckiego. Wszyscy jechali w stronę Tuchowa i Tarnowa, on zaś na południe. Kolumna piechoty ciągnęła się od Tuchowa do Chojnika i dalej. W Chojniku zatrzymali go Niemcy, odebrali wóz i konia i dali jakiś papierek. Antoni myślał, że to zaświadczenie na które otrzyma ekwiwalent za konie. Wracał z powrotem do Tuchowa. Kiedy dochodził do przystanku w Burzynie, podszedł do stojących Niemców, pokazał papierek i znów dostał następny. Z Burzyna do Tuchowa szedł torami (pociągi nie jeździły), bo droga była zatłoczona wojskiem

nieprzyjaciela. W Tuchowie też pokazał papierek, skierowano go do magistratu, ale tam nic nie dostał. Konie i wóz wziął sobie okupant. Później, po wojnie dowiedział się, że konie były do odebrania w Tarnowie (za około miesiąc od zdarzenia), a otrzymane od Niemców papierki były przepustkami.

Iwaniec Genowefa

"Pierwszy raz spotkałam się z Niemcami 8 września 1939 r. w Tuchowie. Szłam do kościoła i na równiach (jak tu u nas mówili) po jednej i po drugiej stronie szosy siedziało na motocyklach chyba ze czterdziestu żołnierzy niemieckich. Nic do mnie nie mówili, tylko ręce złożyli i pokazywali, że idę się modlić (...) Jak wracałam z Tuchowa spotkałam żołnierza Polaka, który biegł spiesznie niosąc dwa karabiny. Dał mi jeden i poprosił, żebym mu pomagła nieść, bo mu jest ciężko. oddałam mu je, jak doszliśmy do Knapika, bo on szedł w stronę Zabłędzy"[15].

Wójcik Maria

10 września 1939 r. o godzinie 9^{00} w kościele św, Jakuba w Tuchowie miała ślub. Mały orszak weselny drogą z Karwodrzy do Tuchowa przemierzał pieszo. Pannie Młodej towarzyszyło dwóch swatów i świadek - Krzemień Benedykt, Krzemień Edward i Filar Karol; Panu Młodemu najbliższe krewne - Szeląg Rozalia i Iwaniec Wiktoria.

Na moście na Białej spotkali dużo samochodów (otwartych). Jadący w nich Niemcy zasalutowali, zatrzymali się i składali gratulacje Młodej Parze. Pannie Młodej chcieli podarować czekolady, ale ona prezentu nie przyjęła.

Czechowska Maria

Wojna zastała ją w Białej Krakowskiej (obecnie Bielsko-Biała), gdzie pracowała jako pomoc domowa u miejscowego lekarza. 1 września lekarz został wezwany do pracy w Komisji Poborowej, która działała w Domu Żołnierza, znajdującego się naprzeciw ich domu. Gdy zbadano ostatnich żołnierzy, doktora zabrano na wojnę (2. IX). W nocy wyjechała również żona lekarza, nie obudziła Marii tylko zostawiła jej pensję i informację, żeby w razie potrzeby szukała pomocy u brata gospodyni, księdza. Została sama w dużej willi.

W nocy z 2/3 września żołnierze polscy wysadzili tunel prowadzący do miasta, żeby Niemcy nie wjechali. A tymczasem, nie wiadomo kiedy i jak - wróg dostał się do miasta. Całą niedzielę (3. IX) jechały samochody pancerne i motocykle niemieckie.

---

[15] List do autorki z dn. 2 października 1992 r.

Oficerowie Wermachtu chcieli zająć willę, a Marię odwieźć do rodziny, bo twierdzili, że właściciele domu uciekli. Na co ona nie zgodziła się. Powiedziała, że rodziny nie ma, z willi się nie wyprowadzi, a jej chlebodawcy nie uciekli tylko doktor został zabrany do wojska, a żona jego pojechała do chorego dziecka do Krakowa. Zostawiono ją, Zaplombowano tylko gabinet doktora, a do jednego pokoju wprowadził się oficer niemiecki. Przez dwa miesiące otrzymywała od niego zapłatę za sprzątanie pokoju. W międzyczasie wezwano ją do magistratu miasta i namawiano ją do sprzedania mebli - również nie zgodziła się, twierdząc, że nie jest ich właścicielką. Za pół roku musiała wyjechać do pracy w III Rzeszy.

Jeleń Michał

W chwili wybuchu wojny w kraju panowała ogromna panika. Ogarnęła ona przede wszystkim mężczyzn, którzy przypuszczali, że mogą być zabrani do niewoli czy wywiezieni do ciężkich prac na terenie Niemiec. Obawy te podzielali nie tylko prości chłopi, ale i osoby pełniące funkcje w administracji państwowej. Dlatego też policjanci z Tuchowa zażądali od sołtysa tak zwanej podwody (transport konny z furmanem), gdyż chcieli uciekać przed wrogiem. Sołtys wyznaczył Krzemienia Adama, Chwistka Stanisława, Piskę Stanisława i jego (dołączył do nich Starzec Wojciech z Tuchowa).

Jechali na wschód w kierunku Pilzna i Dębicy. Na drodze panował wielki tłok, nie mogli przedostać się. Po szybkiej jeździe trwającej całą dobę zmęczone konie musiały odpocząć. Znaleźli nacleg na plebani (nie pamięta nazwy miejscowości). Rano zostali odesłani do domu. Nie znali okolicy, jechali przez wyludnione miasta i wsie, nie mieli się kogo zapytać jak wracać na Tuchów (po drodze spotkali dużo zabitych koni). Byli głodni w opuszczonej karczmie znaleźli jedzenie, ale bali się je spożywać , bo mogło być zatrute. W spotkanych zagrodach nie było ani ludzi, ani zwierząt. Wreszcie koło południa następnego dnia spotkali zamieszkały dom w którym dostali trochę chleba. Jechali polnymi drogami, bo główne były zatłoczone wojskami i uciekinierami. W dzień, w opustoszałych zagrodach odpoczywały konie, wieczór wyruszali w drogę. Trzykrotnie zatrzymywał ich patrol niemiecki. Zaświadczenie na bezpieczny przejazd, które dał im komendant policji z Tuchowa - na pewnym punkcie kontrolnym- Niemcy oficjalnie rozdarli.

Wróciło ich czterech, jednego - Piskę Stanisława - Niemcy zatrzymali z końmi i z wozem. Dojechali do Zalasowej, do domu było już blisko. Stamtąd najprostszą drogą (na Sępka) dotarli do rodzinnej wsi.

Szeląg Kazimierz

Kiedy wybuchła wojna uciekał z Karwodrzy wraz z innymi mężczyznami jak: Szeląg Wojciech (ojciec), Szeląg Franciszek (wujek), Matug Wojciech, Matug Józef. Uciekali też mężczyźni z Mesznej i Tuchowa. Droga ich wiodła przez Zalasową na wschód. Na Świnogórze, ojciec doradził mu, żeby wrócił i pilnował domu. Tak też zrobił. Wrócił z trzema kolegami (między innymi z Matugiem Józefem). W czasie chwilowego pobytu w Zalasowej (u Kukliny), spotkał polskich żołnierzy, szli małymi grupkami, byli zmęczeni, bosi i głodni - uciekali na wschód.

Wieczorem był już w domu, wtedy to zobaczył pierwszych Niemców we wsi - byli pod Ślamówką - jechali na motocyklach w stronę Trzemesnej. Obserwował ich z piwnicy Jelenia Piotra. Po około dwóch tygodniach wrócił ojciec.

Salamon Michał

Kilka dni po wybuchu wojny słyszał w nocy jadące drogą furmanki. Poszedł do sąsiada zapytać, co to znaczy. Dowiedział się, że są to uciekinierzy z południowej części regionu tarnowskiego, uchodzący przed Niemcami na wschód. Niedługo potem, również on dołączył do uciekinierów. Wraz z innymi mieszkańcami wsi udał się do Karwodrzan mieszkających w Podhajcach, na północ od Lwowa. Razem z nim poszedł Franciszek Salamon, Polak Władysław i Szwed z Zalasowej. W Zalasowej, na Świnogórze spotkali innych mężczyzn z Karwodrzy. Zaczęli zastanawiać się co dalej robić. Kilku z nich wróciło. Michał i jego grupa kontynuowali podróż dalej. Na początku szli bocznymi drogami, później kiedy teren nie był im znany, dołączyli do wojska i innych uciekinierów idących drogą główną. Był okropny tłok. Co chwila nadlatywały samoloty i ostrzeliwały ten wędrujący tłum. Padali, ludzie i konie. Na odpoczynek zatrzymywali się w przydrożnych stodołach. Po tygodniu dotarli do Lwowa. Zahaczyli o jego peryferie i skierowali się na północny wschód.

W Podhajcach zamieszkali u swoich krewnych: Michał u przyrodniego brata - Gaszewskiego, Franciszek również u przyrodniego brata - Wzorka. Jednak nie było tam spokojnie, grasowały bandy ukraińskie, podpalali zagrody i mordowali Polaków. W nocy nie spali w domach tylko w stodołach, ciągle czuwając. Stwierdzili, że jest bardziej niebezpiecznie niż w Karwodrzy. Po około trzech tygodniach wrócili. Droga powrotna była mniej uciążliwa, nie było tłoku. W większości szli pieszo, niekiedy korzystając z przygodnej furmanki. Po powrocie do domu, zabrał się do pracy w polu (zaniedbanej przez trzytygodniową nieobecność).

Krzemień Aleksander

Kiedy wybuchła II wojna światowa miał 17 lat i chodził do III klasy I Gimnazjum w Tarnowie. Szkoły już nie skończył. Razem z innymi chłopcami i dorosłymi mężczyznami ze wsi uciekł na wschód. Szli piechotą drogą na Piekło (koło domu Krzemienia Jana) przez Zalasową, Pilzno, Dębicę, Jarosław - za San. Wraz z nim chcieli schronić się przed najeźdzcą: Salamon Stanisław, Jeleń Wojciech, Wójcik Jan, Gawryał Feliks, Dunaj Władysław, Kantor Józef, Solarz Kazimierz, Kowalski Franciszek, Salamon Józef, Szeląg Franciszek. Koło Rzeszowa wsiedli dopiero do pociągu jadącego w kierunku Lwowa, ale pociąg zawrócił, więc wysiedli i znów szli pieszo.

Doszli do swoich - Karwodrzan, mieszkających w Stanisławówce koło Sokala. W czasie kilkudniowego pobytu w tej miejscowości, dowiedzieli się, że tereny te zajęli Rosjanie. Zdecydowali się wracać z powrotem, woleli niewolę niemiecką niż rosyjską.

Droga powrotna była dłuższa i bardziej niebezpieczna. Wracali przez Tomaszów Lubelski. W pewnej wsi zostali zamknięci w kościele jako zakładnicy. Rozgrywająca się w pobliżu bitwa miała rozsądzić o ich losie. Przez megafony kościelne okupant informował, że jeżeli wojsko polskie nie podda się, zakładnicy zostaną rozstrzalani. Bitwa została przegrana, wojsko wzięte do niewoli. Po wyjściu z kościoła napotkali pobojowisko "usiane trupami" naszych żołnierzy. Szli nocą, w dzień ukrywali się w piwnicach lub opuszczonych szopach. Wreszcie doszli do Sanu, który był rzeką graniczną między ówczesną III Rzeszą i Związkiem Radzieckim, stąd był pilnie strzeżony. Tutaj rozdzielili się na dwie grupy, każda szła inną trasą. Przeprawdili się przez rzekę nocą, wypożyczoną łodzią. Wracającym z tułaczki Karwodrzanom, Niemcy zabrali koce.

Solarz Tadeusz

Pamięta dobrze wrzesień 1939 r. W dniu, kiedy okupant przybył do wsi, spał mocno po ciężkiej pracy. Zbudziły go przelatujące nad domem samoloty i częste strzały. Starsza siostra Maria, która wróciła z Tuchowa z bratem Kazimierzem, proponowała, by uciekali przed najeźdźcą. Również znajomi ojca, którzy przybyli z Tuchowa, namówili go, by zaprzęgnął konie i wyruszył szybko na wschód. Tak też zrobił. Wsadził na wóz młodszych synów i ruszył w kierunku Pilzna.

Uciekali wszyscy chłopcy i dorośli mężczyźni ze wsi. Tadeusz również uciekał. Z ojcem i braćmi spotkał się w Źwierniku. Za Pilznem nadleciały samoloty, które strzelały do uciekinierów. Powstał wielki zamęt, ojciec i synowie pogubili się. Jednego ich konia zabito, drugiego wzięło wojsko polskie. Ojciec (Solarz Jan) wrócił do domu piechotą, młodsi bracia poszli do

Przemyśla i wrócili stamtąd ze znajomymi, zaś Tadeusz z rówieśnikami i starszymi - doszedł do Sokala. Do Przemyśla przyszli nocą. Miasto się paliło, most na Sanie był zbombardowany. Przeszli przez rzekę jeszcze pod osłoną nocy.

Dotarli do Stanisławówki, w której mieszkali osadnicy z Karwodrzy (Guziki, Klechowie, Kowalscy, Kusowie). Zamieszkał u Kusów kilka dni, aż do chwili, gdy rozeszła się wiadomość, że idą Rosjanie.

Wcześnie rano udali się w drogą powrotną, słychać było strzały, po południu strzały ustały - widocznie bitwa była już skończona. Nie uszli daleko, gdy spotkali dwóch Niemców, którzy ich zrewidowali, ponieważ nie mieli broni - wypuszczono ich. Wtenczas przyjrzeli się okolicy. Było to miejsce bitwy polskiego wojska z okupantem: pole zjeżdżone czołgami, obok sterty karabinów i leżący twarzą do ziemi polscy żołnierze. Dla 18-sto letnich chłopców było to straszne przeżycie. Po przejściu niewielkiego odcinka drogi, Niemcy zabrali ich do kościoła. Znajdowali się tam polscy jeńcy wojenni. Rozstawiono warty przy świątyni, nie wolno było wyjść. Rano w bramie kościoła znów odbyła się rewizja, jeśli ktoś posiadał jakiś rekwizyt żołnierski zostawał w środku, jeśli nie - szedł wolno. Wypuścili ich.

Przechodzili przez spalone wsie i miasta. Te ostatnie starali się omijać - woleli iść przez las. Doszli do Jarosławia, ale przez most na Sanie nie przepuścili ich Niemcy. Zawrócili ich od rzeki w pola i zagrozili, że jeśli ktoś zbliży się do mostu dostanie kulą w głowę. Dorośli mężczyźni płakali. Kilku chłopców, między innymi Roman i Stafan Iwaniec, Aleksander i Stanisław Krzemień, Karol i Władysław Baran i on - odłączyło od starszych i postanowili przeprawić się przez rzekę. Upatrzyli sobie nawet dom na nocleg po drugiej stronie wody. San był szeroko rozlany. Zbliżając się do rzeki spotkali chłopa pasącego konie, który pokazał im w którym miejscu najlepiej przepłynąć rzekę (ale oni nie umieli pływać). Dzięki otrzymanej informacji przeszli przez San, w najgłębszym miejscu woda sięgała im do pasa. Przybyli do wsi w której stała cerkiew, weszli do niej i na kolanach dziękowali Bogu za udaną przeprawę. Po południu doszli do Łańcuta. Tam spotkali jeńców polskich, zmęczonych, głodnych, sponiewieranych przez Niemców. Było to dla młodych chłopców następne przykre przeżycie.

Wracał do domu po trzytygodniowej tułaczce. W odległości około 2 km od domu - powitał go wierny pies.

Iwaniec Stefan

Na uciekinierkę udał się z bratem Romanem, rówieśnikami (Baran Karol i Władysław, Solarz Tadeusz) oraz z innymi dorosłymi mieszkańcami Karwodrzy m. in. Krzemień Feliks i Salamon Stanisław.

Przez siedem dni szli na wschód, odpoczywając trochę, nie spali. Dopiero w siódmym dniu poprosili o nocleg. Za radą spotkanego polskiego oficera - udali się do domu znajdującego się przy drodze (oficer ten mówił, żeby nie szukali noclegów daleko od drogi, bo mogą być napadnięci przez Ukraińców). Przedstawiciel grupy - Krzemień Felek chciał zorientować się jaka jest postawa gospodarza do Polaków i zaczął rozmawiać z nim o polityce. "Przychylał się" do tego co on mówił, a nawet zaczął "nadawać" na rząd polski, że to niby przez niego doszło do wojny. W czasie tej dyskusji widać było ogromną nienawiść Ukraińca do Polski, a ściślej do polskiego rządu. Wyrażał ją ustami, oczami, gestami. Teraz przekonali się, że byłby zdolny do najgorszego czynu. Kolega - polityk rozładował emocje targające gospodarza, dzięki przychylności ku jego poglądom - otrzymali bezpieczny nocleg, a nawet dostali koszyk ziemniaków na kolację. Każdy z Karwodrzan obrał kilka, ugotowali je w dużym garnku z kawałkami słoniny (każdy miał zapas takowej). Były to najsmaczniejsze ziemniaki, jakie kiedykolwiek jedli. Po kolacji poszli spokojnie spać do stodoły Ukraińca. Na drugi dzień znów ruszyli w drogę.

Doszli do swoich, do Stanisławówki. Stafan z Karolem i Władysławem Baran zamieszkali u Guzików. We wsi nie było jeszcze Niemców, ani Rosjan, ale grasowały bandy ukraińskie. Przez pięć dni widzieli ciągle palące się w nocy zagrody. Stawało się coraz bardziej niebezpiecznie. Zdecydowali się wrócić.

Droga powrotna trwała również siedem dni, mimo, że spali nocą w stodołach. Chłopi chętnie udostępniali im noclegi (podobno władze niemieckie zaleciły udzielać noclegów uciekinierom).

Było wiele niebezpiecznych sytuacji z których udało się im wyjść szczęśliwie. Stwierdzili, że lepiej będzie, gdy podzielą się na dwie grupy. Tak zrobili. Po 19 dniach pełnych przygód wrócili do Karwodrzy.

Kus Alojzy

Gdy wybuchła wojna, uciekał przed Niemcami na wschód, do Stanisławówki, gdzie mieszkała jego ciotka Kusowa. Udawał się razem z Karwodrzanami. U swojej krewnej przebywał około dwóch tygodni. Tamtejsi ludzie obawiali się Ukraińców - nawet zaopatrzyli się w broń dzięki znajomemu policjantowi ze Sokala - tymczasem zamiast Ukraińców przyszli Rosjanie. Wracał z powrotem z Kawą Józefem z Kawodrzy - tym razem uciekając przed Rosjanami.

III. POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ

Trwająca pięć i pół roku okupacja hitlerowska była nieustannym zagrożeniem życia. Wydarzenia wstrząsały wsią i najbliższą okolicą. Aresztowano i wywożono do obozów zagłady podejrzanych o posiadanie broni czy dywersję, zabierano i dziesiątkowano zakładników, rozstrzeliwano tych, którym udowodniono działalność w ruchu oporu lub pomoc partyzantom.

Duże straty w ludziach poniosła sąsiednia Zabłędza, wielu jej mieszkańców aresztowano. Pierwsze aresztowanie miało miejsce 30 maja 1940 r. - Radwan Tadeusz został posądzony o uszkodzenie kabla telegraficznego w Tuchowie. 1 czerwca 1941 r. o godz. 4^{00} zabrano do tarnowskiego więzienia pięć osób oskarżonych o posiadanie broni. Byli to: Franciszek Aksamit, Władysław Florek, Bolesław Michałek, Franciszek Kowalski i Franciszek Kozioł (za pół roku ich zwolniono). Następnego aresztowania dokonano 20 lutego 1942 r. Kilkanaście osób zostało posądzonych o działalność sabotażową - przecięcie drutów telegraficznych. Na liście podejrzanych (zrobionej przy pomocy sołtysa Zabłędzy) znaleźli się: Stanisław Bełzowski, Stanisław Bernal, Józef Chwistek, Kazimierz Czapla, Gerard Karwat, Jan Król, Władysław Kwiatkowski, Józef Lisik, Stanisław Pyzdek, Stefan Sikora, Ludwik Słowik, Józef sysło. Z więzienia w Tarnowie zwolniono Stanisława Bernala, Józefa Lisika i Ludwika Słowika. Po wojnie i pobycie w obozach (Oświęcim, Dachau, Mathausen) wrócił Józef Chwistek, Gerard Karwat i Stefan Sikora. Pozostali zginęli[16].

Karwodrza nie poniosła takich strat jak Zabłędza, ale również tu tragicznie umierali ludzie. Dramatycznym przeżyciem dla wszystkich Karwodrzan było rozstrzelanie rodziny Solarzy. Nie obojętnym faktem stało się aresztowanie Franciszka Gagatka (posądzoneg o posiadanie broni) i jego śmierć w Oświęcimiu, Jana Kulikowskiego (podejrzanego przez dzierżawcę dworu o przywłaszczenie kluczy od spichlerza), czy wywiezienie do obozów koncentracyjnych rodzin żydowskich: Blezensteinów, Ślamów i Maksa Salomona.

Na początku wojny w Karwodrzy zamieszkali żołnierze Wermachtu a później organizacji Todt. Stacjonowali we dworze, szkole i domach wielu

---

[16] Informacji o aresztowaniu w Zabłędzy udzielili: Kapka Franciszka, Karwał Zofia i Radwan Tadeusz

mieszkańców. Żołnierze Wermachtu przebywali w szkole od połowy kwietnia 1941 do połowy czerwca 1941 r. Od maja do grudnia 1944 r.byli zakwaterowani z Todt, od października (t. r.) znów był Wermacht. W związku z tym nauka w szkole trwała z przerwami.

Postawa żołnierzy niemieckich mieszkających we wsi na ogół nie budziła zastrzeżeń. Wielu z nich odznaczało się wysoką kulturą, tolerancją, a nawet wrażliwością na cierpienia. Niejednokrotnie cicho nie zgadzali się z polityką Hitlera.

Codzienne życie mieszkańców było jednak trudne. Obawa przed nocnymi "gośćmi" - gestapo i żandarmerią - spędzała sen z oczu wielu młodym ludziom zagrożonym wyjazdem do III Rzeszy. Obowiązkowe dostawy czyli kontyngent zboża i żywca, zakaz mielenia w żarnach, odwodaż[17] i wszelkie prace dla okupanta - czyniły życie coraz bardziej uciążliwe. Szczególnie uciążliwy był - w ostatnim roku wojny - obowiązek kopania rowów i fortyfikacji obronnych.

1 marca 1943 r. odbył się powszechny spis ludności. Pomógł on okupantowi obserwować przemieszczanie się mieszkańców, służył do "regulowania" wywozem młodych ludzi do Niemiec i był pomocny przy sporządzaniu list pracowników okopów[18]

Narażając życie, wielu mieszkańców Karwodrzy należało do ruchu oporu, a prawie wszyscy organizowali pomoc dla "podziemnego wojska".

W latach 1941 - 1944 Karwodrza stała się miejscem pobytu rodzin polskich uchodzących ze wschodnich terenów przed bandami ukraińskimi, wysiedlonych przez Niemców, a nawet uchodzących z okupantem ukraińskich "volksdeutscherów". Każdy, kto posiadał dwa pomieszczenia mieszkalne, zobowiązany był przyjąć tych uchodźców. Organizowano im transport - wyjeżdżając furmankami na stację do Tuchowa i kwaterowano w poszczególnych domach. Zamieszkali oni u Szeląga Wojciecha (dwie panie z Warszawy), Filara Bronisława, Pączkowskiej Julii, Twardowskiego Karola (rodzina Moszczuków - siedem osób), Bełzowskiego Gawła (Kordkowie), Augustyna Kleofasa (Kordkowie), Michalika Franciszka (Kaczmarkowie, Gawryała Józefa (Gągolowa), Kusa Leona (Brzeszczukowie), w domu Solarza Jana (Jacynowa). Po wywiezieniu Żydów do getta, na gospodarstwo Joska otrzymał skierowanie Staroń i Przedział Jan, zaś na Ślamkówkę - Siwakowie. Również we dworze mieszkało dwie rodziny - przyjaciele i znajomi Berkich.

---

[17] "Goniec Krakowski" z 30 I 1940 r. Informuje o rozporządzeniu Franka (23 I 1940) o obowiązku dostarczania podwód. Również patrz aneks - Wskazówki dla wójtów na wypadek użycia podwód

[18] Patrz aneks - Spis powszechny ludności z 1 marca 1943 r.

Rozdział ten wprowadza w atmosferę wojny, ukazuje stresy i dylematy mieszkańców wsi oraz niektóre wydarzenia tego okresu, Inne, przedstawione będą w następnych rozdziałach. Oddajmy głos tym, którzy w tych wydarzeniach uczestniczyli.

A. Rozterki wojenne

Szostecki Augustyn

"Miałem 13 lat, kiedy wybuchła wojna z Niemcami. Dziecinne moje lata były smutne. Stale pod strachem czy nie zginiemy. Szkołę przerwałem w czwartej klasie, aż do 1945 r. czyli do zakończenia wojny[19].

Kawa Stanisława

Najstarszy brat - Władysław - był zmobilizowany, drugiego brata - Józefa schwytano w "łapance" i wywieziono do Niemiec. Starsza siostra Rozalia też była wyznaczona do III Rzeszy, ale zmarła na golopujące suchoty (1942). Zostało ich troje. W czasie obowiązkowych okopów, brała numerek i pracowała za brata Antka, który robił wszystko w polu i musiał odrabiać za konie pożyczone od sąsiadów, bo ich konie zabrano na wojnę.

Szeląg Franciszek

Ojciec został sołtysem w 1938 r. Kiedy wybuchła wojna chciał zrezygnować z tej funkcji. Za tydzień od powrotu z uciekinierki, został wezwany do gminy i burmistrz Eilmes oświadczył mu, że nadal musi pełnić to zadanie, gdyż w przeciwnym przypadku będzie ukarany zgodnie z prawem obowiązującym na wojnie (czyli kulą).

Wiosną 1940 roku przyszło dwóch Niemców w czarnych mundurach i jeden cywil. Weszli do kuchni i tłumacz (cywil) zaczął mówić, że chcą się dowiedzieć, czy w Karwodrzy nie ma ludzi niebezpiecznych. Ojciec zapytał co to znaczy niebezpieczni. Odpowiedziano mu, że chodzi tu o ludzi zaangażowanych politycznie, należących do jakiejś partii. Na co ojciec powiedział, że Karwodrza jest małą wioską i nie ma prowadzonej żadnej działalności politycznej (we wsi działało prężnie Polskie Stronnictwo Ludowe, do którego również ojciec należał, a przewodniczącym był Krzemień Feliks). Tłumacz powiedział groźnie: Żebyś nie mówił nieprawdy!

Praca sołtysa była bardzo niewdzięczna, musiał wykonywać czynności niezgodne z przekonaniami moralnymi i politycznymi. Wskazywał ludzi do przymusowych prac w Niemczech, typował bydło do obowiązkowych dostaw dla okupanta, zabierał kamienie od żaren, gdyż zabronione było mie-

[19] List do autorki z dn. 9. II. 1992 r.

lenie tym sposobem gospodarskim. Miał całe stosy tych kamieni, tylko cementowych - ludzie we wsi radzili sobie jak mogli, robili odlewy z cementu a zachowywali oryginały.
Mielenie zboża odbywało się nadal tylko potajemnie.

Do sołtysa musieli się zgłaszać codziennie mieszkańcy wsi będący pod szczególną obserwacją, tzn. karani wcześniej za jakieś przestępstwo (np. kradzież), a raz w tygodniu meldowali swoją obecność w urzędzie gminy. Sołtys godził też zwaśnione strony, nawet najbliższą rodzinę (jeśli sprawa była zgłoszona oficjalnie do administracji państwowej).

Ważne zadania i decyzje nie były podejmowane indywidualnie ale zespołowo. Doradcami sołtysa Karwodrzy byli członkowie Zarządu Koła PSL Piast: Czechowski Władysław, Krzemień Feliks, Krzemień Franciszek i Matug Wojciech. Obrady odbywały się w domu jednego z wymienionych, najczęściej u Krzemienia Franciszka. Spotkania takie u sołtysa były niebezpieczne, gdyż do niego w pierwszej kolejności przychodzili żandarmi polscy i niemieccy.

Krzemień Józef

Gdy nastała wojna Niemcy zabronili mielić w żarnach, a wszystkie kamienie musiały być złożone u sołtysa Szeląga. Ludzie jednak kombinowali, oddawali kopie zrobione z cementu. U ojca (Franciszka Krzemienia) również były żarna ukryte. Przychodził mielić w nich sekretarz nadleśnictwa Cybulski Jan. Józef stał na straży i nadsłuchiwał czy nie idą Niemcy. Aby żarna chodziły ciszej, górną część kija tzw. "papugę" - owijano kawałkiem płótna.

Kilka sytuacji zostawiło trwały ślad w pamięci 10-letniego Józefa, jak ta, kiedy brat Stanisław i Eugeniusz wykopali duży dół w podwórzu i schowali do niego pakę ze zbożem. W tym czasie, kiedy kończyli pracę weszli Niemcy. Na szczęście byli zajęci zakładaniem drutów telegraficznych i nie pytali co robią.

Starsze rodzeństwo, chcąc uniknąć wywozu do Niemiec na przymusowe roboty - nie przebywało w domu. Ukrywali się u sąsiadów, w zbożu, czy w gęsto rosnących przy domu krzakach bzu. Żeby spać bezpieczniej, w stodole pod zbożem, wykopano duży dół i w nim zrobiono miejsce do spania. Do dołu tego wchodziło się przez odsunięcie jednej z desek w stodole, umieszczonej tylko na jednym gwoździu.

Salamon Władysław

"Rozpoczęła się noc okupacyjna nad naszą Ojczyzną, a z nią bardzo ciężka zima. Już w dzień św. Katarzyny (25. XI) spadł pierwszy śnieg i padał całą zimę. Przyszły mrozy do -41 stopni Celsjusza. To niezapomnia-

ne chwile, bo prawie codziennie szedłem odgarniać śnieg. Cała wieś musiała odśnieżać od Tuchowa do granicy Łękawki. Codziennie ktoś szedł z domu (do tej pracy) - brat Janek, ja, albo siostra Bronia. Odwalanie śniegu z drogi prowadzącej przez Zabłędzę, było w tych warunkach bardzo trudne. Przez noc wiatr zasypał z powrotem śniegiem i praca z poprzedniego dnia była bezowocna. Robiło się tunele na dwa do trzech metrów szerokie, aby tylko samochód przejechał. Co 100 metrów była "mijanka" - tak odsypany śnieg, by samochody mogły się minąć. A że śniegu było dużo świadczy fakt, że w Zabłędzy (za dworem) druty telegraficzne były zasypane odrzuconym z drogi śniegiem. Tak było całą zimę. 17 marca (1940 r.), w Niedzielę Palmową strasznie dęło przez noc do 1^{00} po południu. Idąc do kościoła (przez pola, bo drogę zawiało), na dwa, trzy metry, nie widziało się człowieka przed sobą. W tym dniu całkowicie zamarł ruch na drogach. W Wielki Poniedziałek zaczęło się tajanie śniegu z całej zimy, tak, że na Wielkanoc (24. III) pozostało go niewiele. Ziemia pokazała się, ale nie zazieleniła - wszystko zboże zgniło pod śniegiem. Spowodowało to klęskę.

Po otrzymaniu rozkazu o kontyngencie zboża, nikt go nie oddawał, bo nie miał. Toteż w każdej wsi wzięto "zakładnika", za niewywiązywanie się z obowiązków. Aktyw wsi uznał, że najlepiej wziąć człowieka darzonego autorytetem, który swoim "odsiadywaniem" zmobilizuje do oddania "cesarskiej należności". Wzięto mojego ojca - Salamona Marcina. Przeżywałem to bardzo, bo Tatuś był naprawdę dobrym człowiekiem, dla całej wsi niósł pomoc weterynaryjną dla bydła. Nigdy nie zapomnę tej nocy co go zabrali i tej niewiadomej - czy wróci? Ojciec stracił wzrok w 1915 r. (przez granat) i widział tylko na jedno oko 25%, do tego jeszcze był chory na żołądek. Zamknięcie takiego człowieka było nieroztropną decyzją aktywu wiejskiego. Nawet sami Niemcy litowali się nad nim, i nie zrobili mu krzywdy, bo był to zakładnik za kontyngent, a nie polityczny. Po dwóch i pół miesiącu został zwolniony, bo zachorował. Za niego poszedł do więzienia Kras Józef. Wieś i tak nie oddała zboża, bo go nie było.

Zima 1940/41 też była ciężka i też zboża wygniły. I znowu w lutym 1942 r. za nie odstawienie zboża (z 1941) został zamknięty brat Jan. Ojciec leżał chory w domu, a brat był uwięziony w areszcie w Tuchowie (w ratuszu), bo tarnowskie więzienie było zapełnione więźniami politycznymi. Przez dwa miesiące, prawie codziennie nosiłem mu obiad i mogłem go widzieć przez kraty z pierwszego piętra (w tym czasie wyprowadzano ich na korytarz , na spacer).

Następne zimy były już łagodniejsze. Niemcy trochę zrozumieli klęskę i chcieli pomóc rolnictwu (i sobie). Chłopcy ze wsi musieli chodzić do szkoły rolniczej. Chodziłem przez dwie zimy (uczył nas pan Derechowski z Tucho-

wa, Wróblewski z Pleśnej i inni). Wiadomości zaczerpnięte z tej szkoły - wykorzystałem po wojnie przy prowadzeniu własnego gospodarstwa.

W marcu 1942 r. władze okupacyjne widząc klęskę rolnictwa w Gubernii, dostarczyły dla każdej wsi zboże na wiosenny zasiew. Karwodrza otrzymała 3 i pół tony owsa i jęczmienia. Byliśmy pięcioma furmankami w Tarnowie po to zboże. Nie wolno było go konsumować pod odpowiedzialnością karną. Kras Józef mielił ten jęczmień (w żarnach) na jedzenie. Koledzy, którzy do niego przychodzili, zgłosili to na posterunek. Przyszła policja i stwierdziła, że mielił zboże przeznaczone na zasiew. Zaaresztowano go. Siedział cały miesiąc w więzieniu w Tuchowie.

Rok 1942 był dość urodzajny, ale rozpoczął się ruch konspiracyjny. Niemcy po klęsce pod Stalingradem, obawiali się wzmożonej akcji partyzanckiej i ogłosili pobór chłopców do Baudienstu. Roczniki: 1919, 1921, 1923 były już zabrane do Rzeszy, 1924 był przygotowywany do wyjazdu zaś: 1920 i 1922 zostały w kraju[20].

Kowalski Józef

Podczas wojny zamieszkało u nich trzech Niemców. Czuli się oni gospodarzami domu, korzystali ze wszystkiego - zabili ich świnię, jedli kury i kaczki gospodarzy (pomagała im w tym K.). Właściciele domu mieli utrudnione życie, nie mogli korzystać z własnej kuchni, posiłki gotowali u sąsiadów (Zielińskich) i spali w stajni. Dla Niemców gotowała Janina Matug (trzy miesiące), dziewczyna z Zalasowej i Katarzyna Piotrowska. Po niedługim czasie "goście" przenieśli się do Łątki Władysława, a następnie do Mesznej.

Pod koniec 1944 r. drugi raz zamieszkali w ich domu żołnierze niemieccy, (jeden z nich nazywał się Kuffner i był z pochodzenia Polakiem), byli spokojni, kulturalni i nie mieli wymagań.

Wilczyńska Rozalia

Był początek kwietnia 1941 r.; sadziła ziemniaki u Kowalskiego Franciszka. Przyszedł tam sołtys Szeląg i poprosił gospodarza o przeniesienie słomy do szkoły, w której to miało stacjonować wojsko niemieckie. Żołnierze ci (około trzydziestu) zostali przywiezieni z frontu francuskiego. Ulokowano ich w szkole, w jednej dużej sali. Kuchnię wojskową mieli we dworze, skąd przynosili obiady, zaś na śniadania i kolacje otrzymywali suchy prowiant. Ponieważ dom matki Rozalii znajdował się blisko szkoły, a siostra Ewa była woźną a szkole, dlatego często przychodzili do nich przygotowywać ciepłe kolacje. Pewnego razu przynieśli grzyby, które sami zbierali i smażyli. Siostra Rozalia spróbowała ich i powiedziała, że są trujące (bo były gorzkie). Byli jej bardzo wdzięczni za ostrzeżenie.

---

[20] Rps u autorki

Żołnierze ci odznaczali się kulturą, wrażliwością i po cichu klęli na Hitlera. Jeden z nich o imieniu Hess bardzo lubiał dwuletnią Basię (córkę Rozalii), często brał ją na ręce i mówił: Meine kleine! Dziecko otrzymywało od nich codziennie ciepłą zupę z kuchni wojskowej, a kiedy dostali paczki z domu - dzielili się ich zawartością z dziewczynką. Jadła ona cukierki, pomarańcze i inne smakołyki niedostępne wiejskim dzieciom (szczególnie w czasie wojny).

Herman - gruby ale dobry chłopiec - zakochał się w Żydówce Hani Ślama, robił wszystko, aby uchronić ją od getta. Niestety, Żydów z Karwodrzy wywieziono. Herman bardzo rozpaczał.

Na początku czerwca 1941 r. żołnierze ci wyjechali na front rosyjski. Opuszczając wieś bardzo płakali.

Mieczysław Chwistek

W 1941 r. chodził do I klasy. Pewnego dnia - podczas lekcji - do sali weszło dwóch Niemców. Podeszli do nauczycielki Chmielewskiej i zapytali ją o coś. Za chwilę pani odwróciła się do dzieci i powiedziała, żeby szybko i cicho uciekły do domu, bo Niemcy mogą ich zastrzelić. Sama weszła z nimi do swojego pokoju na rozmowę (dobrze znała język niemiecki). Dzieci rozbiegły się. Za około 10 minut, kiedy były już w bezpiecznej odległości, wyszedł ze szkoły jeden żołnierz niemiecki i zaczął strzelać. Mieczysław znajdował się koło zabudowań Lipki Adama, ale słyszał, jak kule świstały niedaleko. Po tym zdarzeniu, przez jakiś czas nauki w szkole nie było.

Franciszka Salamon

Podczas wojny w szkole nie było wiele lekcji, bo stacjonowali w niej żołnierze niemieccy. Przez pewien czas, mała grupka uczniów chodziła do pani Anny Chmielewskiej do domu. Tam uczyli się. Mieszkanie nie było duże, ale mieściły się w nim dzieci z Karwodrzy. Oprócz wiedzy - nauczycielka dzieliła się z nimi chlebem.

Stanisława Walaszek

Na wiosnę 1941 r. kiedy do szkoły w Karwodrzy przyjechali żołnierze niemieccy - przerwano naukę. Niedługo wznowiono ją. Lekcje odbywały się na cmentarzu (!) na Pająkowej Górze. Nieliczna gromadka dzieci z najstarszych klas chodziła często "na wycieczki". Warunki nie przeszkadzały im w przyswajaniu wiedzy przekazywanej przez panią Annę Chmielewską. Pisały "na kolanie" - siedząc na dużym pomniku, upamiętniającym walki toczone podczas I wojny światowej.

Zakończenie roku szkolnego odbyło się już w szkole, gdyż stacjonujący w niej żołnierze wyjechali.

Wiczkowska Maria

Wojsko okupanta zamieszkało w ich dworze, w najładniejszych pokojach. Rodzinę (Berkè) ścieśniono w czterech najmniejszych pokojach. Niedługo potem ojciec (Jan Kanty Berkè) został wezwany na gestapo w Tuchowie, by podpisać volksdeutsche - kartę. Był w wielkim kłopocie, bo nie chciał wpisać się na "sprzedajną" listę, a równocześnie obawiał się represji ze strony okupanta. Wybawiła go z tego kłopotu matka, która poszła za niego do Tuchowa i wytłumaczyła Niemcom, że podpisanie listy nie przyniesie żadnego pożytku, bo zarówno mąż jak i jego brat (Zbigniew Berkè) są za starzy i nic nie mogą już zrobić dla III Rzeszy, a Zbigniew jest jeszcze niepełnosprawny. Prawdopodobnie nie podpisanie "tej" listy, było powodem wymówienia ojcu jego własnego mieszkania. Jan Berkè szukał mieszkania w Tuchowie (koło Pająkowej Góry). Na szczęście zmieniły się władze administracji niemieckiej i Berkowie zostali u siebie.

Jan Patyk

W pewne popołudnie, niespodziewanie - odwiedzili nas Niemcy. Matka gotowała obiad i akurat przygotowawała omastę z dużego kawałka słoniny, gdy ktoś zapukał. Wszyscy myśleli, że to sąsiedzi, a tymczasem weszło trzech żołnierzy niemieckich. Rodzice zdenerwowali się bardzo, bo byli przekonani, że grozi im represja z powodu tej słoniony (zabito świnię - co było zabronione). Jeden z żołnierzy widząc to zdenerwowanie, podszedł do ojca, poklepał go po ramieniu i uspokoił. Chcieli kupić coś do jedzenia. Sprzedano im kurę, jajka i masło. Za trzy dni przyszli znów i za otrzymane produkty żywnościowe przynieśli podkoszulek i buty. Na migi pokazali, żeby nikomu o tym nie mówić. Żołnierze ci byli zakwaterowani w szkole i we dworze, a pracowali jako dozorcy przy okopach.

Jan spotykał nie tylko kulturalnych i uczciwych Niemców ale też i takich, których postępowanie było odrażające, nieludzkie.

Filar Danuta

W lecie 1944 r. zamieszkał u nich stary żołnierz niemiecki, dozorujący prac przy okopach. Rodzice i pięcioro rodzeństwa ulokowynych było w kuchni, on zaś zajmował pokój (nie ogrzewany). Był to dobry i spokojny człowiek. Czasami częstował dzieci przyniesioną z kuchni polowej zupą wojskową, była smaczniejsza od domowej i ładnie pachniała, niekiedy dzielił się cukrem w kostkach przeznaczonym do słodzenia czarnej kawy. Rozmawiając z ojcem nie wyrażał zadowolenia z polityki Hitlera. Mówił, że został zmuszony do przyjazdu do Polski. Gdyby tego nie uczynił, spotkała by go kara, jaka obowiązuje w czasie wojny czyli kula w głowę. Często pokazywał zdjęcia żony, dzieci i nie mógł się doczekać końca wojny. Bardzo

bał się Rosjan. Prosił, by mu powiedzieć, kiedy będzie szedł Iwan, żeby zdążył uciec przed nim.

Janura Edward

W czasie okupacji pracował u dzierżawcy dworu - Armatysa Kazimierza. Był furmanem, jeździł końmi nie tylko dla potrzeb swojego chlebodawcy ale i okupanta. Woził do kościoła właścicieli dworu - Berków i Niemców mieszkających we dworze (najczęściej na stację kolejową w Tuchowie). Przymusowo wywoził drzewo z karwodrzkiego i łękawickiego lasu, potrzebne do budowy bunkrów pod Pająkową Górą. Przywoził też z Zabłędzy drzewo brzozowe na opał dla dozorców okopów mieszkających u Salamona Stanisława i Lipki Stanisława na Mogile. Obowiązek wobec okupanta spełniał za matkę (Janura Aniela), która była starsza i chora. Karta pracy była wystawiona na matkę, ale na zbiórkach Salamon Franciszek tłumaczył "pomyłkę" w imieniu.

Armatys jako dzierżawca dworu był dobrym gospodarzem, hodował dużo bydła i trzody chlewnej. Gdy przyszli Niemcy i zamieszkali we dworze, zrobili sobie tam kuchnię. Produkty do posiłków czerpali obficie z pola i obory dzierżawcy. Żywności starczyło nie tylko dla właściciela i okupanta, ale też dla partyzantów. Edward kilkakrotnie wystawiał w umówione wcześniej miejsce - kosz żywnościowy dla "leśnych ludzi". Z odpadków wojskowej kuchni korzystali też biedni mieszkańcy wsi. Zgromadzone w dużej ilości obierki z ziemniaków - zabierane i suszone - pomogły im przetrwać okupacyjną zimę.

Bełzowska Ewa

Ojciec zmarł przed wojną, matka w czesie okupacji. Jako 18-letnia dziewczyna wychowywała pięcioro młodszego rodzeństwa (dwie małe siostry zabrała ciocia Szelągowa). W pracy domowej pomagała jej siostra matki - Katarzyna. Młodszy brat Olek pomagał w pracy w polu. Pewnego dnia, kiedy młócili zboże w stadole (cepami), usłyszeli nadjeżdżający samochód. Zostawili cepy na boisku i uciekli do pobliskiego lasu, bo każda wykonywana czynność mogła być pretekstem do wywiezienia do Niemiec lub zabrania do karnego obozu. Z lasu obserwowali dom, widzieli biegających i strzelających Niemców. Byli pewni, że zabito ich starszą i niedosłyszącą ciotkę. Kiedy wszystko uspokoiło się, wrócili do domu i stwierdzili, że ciotka nie została poszkodowana, tylko nie było dwóch krów w oborze. Niemcy nie mogli porozumieć się z głuchą osobą, a byli przekonani, że na strychu ukrywają się partyzanci, dlatego strzelali. Krowy zaprowadzili na plac koło Łątki. Tam, Jeleń Genowefa wytłumaczyła im, że w domu są same dzieci - sieroty. Uwierzyli i oddali krowy.

Bełzowski Mieczysław

Życie w czasie okupacji było ciągłym zagrożeniem. Nieustanna ucieczka przed okupantem, sypianie po lasach, jedzenie w pośpiechu i nadsłuchiwanie czy nie nadjeżdża samochód - zwiastun złej nowiny.

W 1942 r. po odpracowaniu Baudiestu ukrywał się, żeby nie być wywiezionym do Niemiec. Nie spał w domu, tylko w stodołach sąsiadów. Pewnego rana zbudził się w sąsieku stodoły Salamona Andrzeja, spojrzał w dół i zobaczył świecące cholewy! To Niemcy przyszli kontrolować zabudowania położone blisko lasu i szukać partyzantów. Szybko wyskoczył z tyłu stodoły - przez specjalne rozsuwane deski i zaczął biec w stronę lasu. Przed lasem rosło zboże, ale miał około 25 metrów do lasu. W ostatniej chwili zobaczyli go Niemcy ale zdążył wpaść w zboże. Zaczęli strzelać, ale nie trafili.

Salamon Andrzej wytłumaczył się, że nic nie wiedział o nocnych gościach, bo stodoła była zamknięta na kłódkę (pokazywał klucz). Wcześniej uzgodnił z Mieczysławem, gdzie znajduje się deska umocowana na jednym gwoździu, którą można odchylić i wejść spokojnie bez otwierania drzwi stodoły.

Po dwóch tygodniach od tego wydarzenia był w domu, kiedy weszła policja granatowa i Niemcy. Zabrali jego i Stańczyka Edka do Tuchowa i uwięzili w ratuszu. W czasie śledztwa, gdy pytano dlaczego uciekali z domu i czy nie należą do partyzantki, odpowiedzieli, że nie należą, a uciekali, bo skierowano ich do pracy, która im nie odpowiada. Oni zaś chcieliby pracować tylko na kolei. Po tygodniu zabrano ich do Tarnowa (później dowiedzieli się, że pozostałych więźniów z ratusza w dniu ich wyjazdu rozstrzelano nad Białą). W Tarnowie siedzieli przez dwa dni w budynku granatowej żandarmerii (róg ulicy Wałowej i Krakowskiej). Na trzeci dzień skierowano ich do arbeitzamtu na kolei. Pracowali jako pomocnicy maszynisty do 1944 r.

Iwaniec Józefa

W czasie okupacji była trzy lata na "służbie" w Ciężkowicach. Kiedy wróciła do domu - chwilowo ukrywała się przed Niemcami. Później otrzymała od sołtysa zaświadczenie, że musi opiekować się chorą matką. Wspomina przykry incydent, który spotkał jej młodsze siostry. Emilia i Genowefa mieliły w domu zboże w żarnach (na chleb). W czasie tej czynności spotkali je Niemcy, zabrali żarna a dziewczęta wozili po wsi wołając, że są obibokami. Po "paradzie" zamknęli je na dwa tygodnie w przymusowym obozie pracy w Tuchowie i codziennie przywozili furmankami do pracy w okopach. Dopiero wstawiennictwo i poręczenie księdza Biłki i ks. Winiarskiego, umożliwiło im powrót do domu. Skąd w dalszym ciągu chodziły na okopy.

Szeląg Franciszek

Od jesieni 1943 r. do lutego 1944 r, zamieszkała w ich domu kuzynka matki - Maria Kantor - z zakonu ss. służebniczek w Róży koło Dębicy. Powodem jej wyjazdu z tej miejscowości była pomoc w ukrywaniu swojego kuzyna (Kawa Jakub z Trzemesnej) - działającego w ruchu oporu. Został on zatrudniony u tamtejszych sióstr jako "chłopiec do koni". Niemcy jednak dowiedzieli się o tym i partyzant ów został zastrzelony w ogrodzie domu zakonnego i tam pochowany. Siostra Maria obawiając się represji okupanta, opuściła Różę i przyjechała do Karwodrzy. O jej pobycie wiedziała tylko najbliższa rodzina i zaufani sąsiedzi. Pod koniec lutego (lub na początku marca) wyjechała do domu ss. Służebniczek w Szynwałdzie.

Szeląg Władysława

Podczas okupacji, sołtysowi Szelągowi rozkazano wysłać do Niemiec określoną ilość ludzi ze wsi. W 1943 r. przyszedł do domu i powiedział, że jedna ze sióstr (było ich trzy) musi jechać do Rzeszy, do pracy. Władysława była najstarsza, więc ona winna jechać pierwsza. Spotkana znajoma podsunęła jej myśl, żeby wyjechała do pracy do Tarnowa, nikomu nic nie mówiąc. Pojechała do miasta na "służbę". Po trzech dniach , ojciec (Czechowski Władysław) przyniósł jej dokumenty niezbędne do wyjazdu, które otrzymał od sołtysa. W tym dniu spotkała się z koleżanką Matug Marią, pracującą w rozlewni piwa. Była bardzo niezadowolona ze swojego zajęcia i powiedziała, że chętnie pojedzie za Władysławę do Niemiec. Wzięła od niej dokumenty. Niedługo potem akcja wyjazdu ustała i Maria nie musiała jechać.

Władysława krótko była w Tarnowie. Pani u której pracowała bardzo lubiła żołnierzy zza Odry i pomoc domowa otwierała drzwi na zmianę - jak wyszedł młodszy, wpuszczała starszego. "Gościnny" dom znajdował się obok willi "Wanda" w której stacjonowali Hitler-Jungen.

Lipka Bronisława

Odpowiedzialnym za prace przy okopach na terenie Karwodrzy był Niemiec Kuffner. Był to dobry człowiek, jeśli było potrzeba zwalniał z zajęć na dwa, trzy dni (za kurę, gęś, masło). Wiedział o działalności partyzanckiej we wsi - parokrotnie mówiąc o tym najbliższym sąsiadem - ale nie doniósł wyższej władzy. Dyskretnie i kulturalnie zachowywał się w czasie kontroli. Pewnego razu przyszedł - wraz z innymi Niemcami i żandarmami - do nich po krowę. W oborze nie było nic, więc zapytał tylko o gospodarza. Odpowiedziała, że nie wie, gdzie w tej chwili jest. Nie zadawał więcej pytań i odszedł z innymi. W tym czasie gospodarz ukrywał się z krowami w lesie.

Salamon Stanisław

"Pamiętam jak z Józkiem Krzemieniem zostaliśmy pewnego dnia zagadnięci przez dwóch cywilów (w Tuchowie pod sklepem mięsnym). Rozmowa przebiegała mniej więcej tak: A skąd wy jesteście? Z Karwodrzy. O pięknie, a nie chce się wam może pić? Pokręciliśmy głowami niby tak, niby nie. - No to chodźcie, napijecie się czegoś! Poszliśmy do pobliskiego "wyszynku piwa". Faceci postawili nam po jednym piwku (dziewięcioletnim gnojkom!).- A co umiecie śpiewać? - Może "Boże coś Polskę"?, a może "Jeszcze Polska nie zginęła"? Mnie coś tam korciło, ale że ani tego, ani tamtego śpiewać nie umiałem (za co chwała Bogu), to wzruszyliśmy ramionami. Widząc, że się z nami nie nagadają, faceci podali nam rękę i poszli"[21].

Chaim Roman

Była połowa września 1944 r. i piękny, ciepły dzień. Wcześnie rano Roman wyszedł (bez koszuli) przed dom i obserwował jak ojciec (Chaim Andrzej), siostra (Chaim Józefa) i sąsiadka (Krzemień Genowefa) idą do okopów do Łękawicy. Doszli jak zwykle do drogi do lasu i nagle zniknęli.

Matka również stała koło domu. Usłyszał jak wołał do niej brat (Salamon Andrzej, mieszkający niedaleko): "Maryśka przynieś mi mleka i chleba"! On również wybierał się do okopów, ale nie miał co jeść na śniadanie. Matka wzięła garnek mleka, ćwiartkę chleba, włożyła do koszyka i powiedziała, że idzie po drodze ukopać ziemniaków. Roman poszedł z nią, aby pomóc przynieść jej te ziemniaki.

Uszli od domu około 100 metrów, kiedy nagle zza kopy siana i olszyny wyskoczyło czterech Niemców krzycząc: Halt! Pod eskortą karabinów zaprowadzono ich do Kusa Krystyna. Po drodze dowiedzieli się, że są oskarżeni o udzielanie pomocy partyzantom, gdyż nieśli im jedzenie. Matka tłumaczyła, że niosła śniadanie dla brata, który wybierał się do okopów.

Gdy przyszli na miejsce, zastali tam już cały sztab wojska okupanta, działo, konie oraz "zakładników": ojca, siostrę, sąsiadkę i sąsiada (Janusia). Oni również zostali oskarżeni o niesienie pomocy partyzantom i "zagarnięci" nagle z drogi koło lasu. Zamknięto ich w domu pod strażą z ostrzeżeniem, że jeśli będą próbować ucieczki dostaną kulą w głowę.. Niedługo po sprawdzeniu arbeits - kart - wypuszczono tych, co szli do okopów. Został Roman z matką. "Obiecano" im rozstrzelanie. Tymczasem Niemcy pojechali szukać partyzantów w lesie (partyzanci byli już w Jamnej).

Siostra Krystyna - Katarzyna Kus - przygotowała Romana na śmierć. Dała mu białą koszulę brata do ubrania, mówiąc że nie wypada być pochowanym bez koszuli.

---

[21] List do autorki z dn. 18. II. 1992 r.

Romana z matką zaprowadzono pod las i postawiono pod brzegiem (twarzą do brzegu). Czekali na wyrok śmierci. Czas przedłużał się im nieskończenie. Do pilnujących ich żołnierzy przyszedł tłumacz (w cywilu) i mówił, że może zakładnicy nie kłamali i rzeczywiście nie nieśli jedzenia partyzantom. Strzegący ich Niemcy nie chcieli się dać przekonać i krzyczeli, że należy ich zaraz rozstrzelać. Tłumacz zaproponował, by zaczekali do wyniku poszukiwań w lesie i nadejścia łącznika.

Około godziny 16^{00}, przyszedł łącznik z wiadomością, że w lesie nikogo nie znaleźli. Matce i synowi pozwolono iść do domu. Szli wolno drogą koło lasu, oczekując, że w każdej chwili może paść strzał. Roman wyreżyserował potknięcie i wykorzystał na oglądnięcie się. Nikogo nie było za nimi.

Chaim Maria

W dniu w którym Niemcy wzięli zakładników (wyżej przedstawionych), zauważyła, jak drogą prowadzącą do Kusa Krystyna jadą siwe konie i wiozą armatę. Pobiegła do babki Kusowej, podeszła pod jej dom i zobaczyła na podwórzu dużo wojska i koni. Wróciła do swojego domu, bo bała się iść dalej. Za chwilę przyszło do nich dwóch żołnierzy niemieckich z karabinami. Weszli do domu - najpierw pojawiły się karabiny a później Niemcy - przeszukali obie izby, poszli na boisko, uderzyli kilka razy lufami w słomę i wyszli. Późnym popołudniem, jak wojsko odjechało od babci dowiedziała się, że szukali partyzantów i chcieli rozstrzelać zakładników.

B. Żydowska niedola

Patyk Jan

Był dwukrotnie świadkiem tragedii Żydów. Pojechał do Tarnowa i poszedł na Kapłanówkę. Widział jak ładna dziewczyna chodzi między ludźmi, ktoś szepnął, że to Żydówka. Za chwilę podszedł do niej żołnierz niemiecki, wziął ją pod rękę i poprowadził w kierunku ubikacji. Dziewczyna klęknęła przed nim (chyba błagała o życie), ale on wziął pistolet i strzelił.

Pewnego zimowego ranka (nie pamiętam roku) szedł do kościoła św. Jakuba w Tuchowie, koło "składnicy" spotkał Żyda z Żydówką prowadzonych przez dwóch Niemców. Żydzi byli nadzy. Ta dziwna czwórka szła prosta ulicą Kąpielową, w stronę Białej. Za chwilę rozległy się stamtąd strzały.

W Tarnowie na dworcu kolejowym widział jak SS-mani obcinali Żydom brody sztyletami. Był straszny krzyk. Żydzi chowali się, uciekali - a niemieckim żołnierzom sprawiało to wielką radość.

Chwistek Mieczysław

Nosił mleko żonie komendanta policji w Tuchowie. Pewnego dnia, kiedy dochodził do budynku komendy, usłyszał strzały i w miejscu, gdzie obecnie jest skwer zobaczył coś, co przypominało mu stos snopków. Wielkie zdziwienie wywołała płynąca drogą czerwona woda - myślał, że spadł krwawy deszcz. Żona komendanta widząc go (przez okno), wybiegła naprzeciw i zabrała szybko do domu. Przetrzymywała około dwóch godzin, a następnie odprowadziła przez most na Białej, ku drodze wiodącej do Karwodrzy. Był to tragiczny dzień eksterminacji Żydów w Tuchowie.

Wójcik Józefa

Latem 1942 r. wszyscy ludzie mieszkający w rynku w Tuchowie lub przylegających doń ulicach, zostali przeniesieni na inne kwatery. Józefa i jej chlebodawcy (Wojtanowscy) zamieszkali koło stacji kolejowej w szynku żydowskim, zajmując tylko jedno pomieszczenie.

Rynek został otoczony drutami kolczastymi (tylko do apteki było wolne dojście). Za nimi właśnie mieszkali Żydzi. Przebywali w okropnych warunkach, mieścili się w szopach, przybudówkach. Za około półtora miesiąca zostali odprowadzeni "czwórkami" na dworzec kolejowy i wywiezieni do obozów. W czasie ich przemarszu przez miasto okna musiały być zasłonięte, również ulice były obstawione przez Niemców, by nikt nie oglądał tego widoku. Józefa obserwowała ten smutny marsz przez szparę na strychu.

Sadko Józef

Od 1938 r. wynajmował pokój u Żyda Joska - Józefa Blezensteina - w którym założył sklep.

Josek miał żonę, trzy córki i dwóch synów. Dwie córki były zamężne - Estka Ickowicz i Hania Opoczyńska, jedna - Marysia była jeszcze panną. Jeden z synów wyjechał do Ameryki przed wojną, drugi Ślamek, mieszkał w Krakowie.

Na początku wojny starego Żyda Niemcy zabrali na gestapo (ostrzygli mu brodę). Niedługo jednak był tam trzymany, gdyż wystawili mu bardzo dobrą opinię sąsiedzi z Karwodrzy i Tuchowa (Baran z rówien, Krzemień Franciszek, Matug Wojciech i Filar Wojciech - starszy).

Z chwilą narastania prześladowań Żydów, do Joska przyjechały córki z rodzinami (mąż Ickowiczowej i Opoczyńskiej oraz Ślamek Blezenstein -

uciekli na wschód). Córki Joska zamieszkały u sąsiada ojca - Tomasza Turaja. Nie były tam długo.

Pewnej nocy Blezenstein z żoną zastukał do Sadka i poprosił o pomoc w przeprowadzce (ktoś dał mu znać, że będzie wysiedlony). Zdążyli przenieść podstawowe rzeczy do Turaja, gdy nadjechali Niemcy (z Przedziałem Janem)[22]. Powiedzieli Żydom, żeby w ciągu 10 minut wynieśli się i zgłosili do Barana. Stamtąd zabrano ich do getta w Tuchowie. Wyjechali: Józef Blezenstein z żoną, Estka Ickowicz, Perka Ickowicz, Hania Opoczyńska, Maria Blezenstein. Uratowali się: Opoczyński, Ickowicz i jego syn Marek oraz Blezenstein Ślamek i jego syn Salomon. Marek Ickowicz został zabrany do Baudienstu w Mielcu, dokąd Sadko wysyłał mu paczki żywnościowe. Po wojnie wrócił na krótko do Polski, a następnie wyjechał do Izraela. Do Stanów Zjednoczonych wyjechał Salomon Blezenstein.

Sikorska Maria

Żyd Salomon Ślama był dobrym człowiekiem i gorliwym wyznawcą swojej wiary. Często modlił się, chodził ubrany w tradycyjny strój, przestrzegał szabatu i uczęszczał do bożnicy w Tuchowie. Był dwa razy żonaty, z pierwszego małżeństwa miał pięciu synów (Karol najstarszy, ochrzcił się i został katolikiem, Heczko, Awron, Josek, Zyzman) i trzy córki (Małka, Sifra, Hajka), zaś z drugiego małżeństwa syna Gierka i córkę Hanię. Hania była piękną dziewczyną o jasnych włosach i niebieskich oczach; nie była podobna do Żydówki.

W maju 1941 r. rodzinę Ślamów - jak innych Żydów z Karwodrzy - wywieziono do Tuchowa, a stamtąd do obozów zagłady (na polecenie sołtysa odwoził ich Adam Krzemień). Ocalał tylko Zyzman, Sprzyjało mu szczęście - w czasie dziesiątkowania wypadł mu numer jedenasty. Z obozu wyswobodzili go Amerykanie. Wyjechał do Palestyny.

Salamon Stanisław

Na początku okupacji u ojca (Salamona Franciszka) zamieszkała rodzina Żyda Maksa Salomona z Łękawicy. Był to bardzo zacny człowiek, z zawodu tokarz. Miał córkę, zięcia i dwoje wnucząt (Bronkę i Icka). Rodzina ta mieściła się w jednym małym pokoju. Żydów tych wywieziono do Tuchowa jesienią 1940 r.

---

[22] Przedział Jan został wysiedlony ze wsi koło Mielca i otrzymał skierowanie na gospodarstwo Joska, dlatego przywieźli go Niemcy samochodem

C. Rozstrzelanie rodziny Solarzów

Józef Sadko

Tego popołudnia nie było go w domu. Żona (Sadko Katarzyna) leżała w łóżku, bo chorowała na stawy. Kiedy wrócił powiedziała mu, że miała nie codziennych gości. Do domu przyszedł Oskwarek z Tuchowa i dwoje obcych ludzi - kobieta i mężczyzna. Oskwarek zapytał gdzie mieszka Solarz Józef. Sadkowa odpowiedziała, że takiego nie ma w Karwodrzy, jest Solarz, ale ma na imię Jan. Wtedy nieznajoma pani zaczęła mówić, że jest kuzynką Solarzowej, dawno się nie widziały i nie wie czy ją pozna. Mężczyzna towarzyszący jej nic nie mówił. Sadkowa wytłumaczyła jak dojść do Solarzów i cała trójka udała się dalej w drogę.

Kowalska Stanisława

Pewnego wieczoru poszła do Solarzów, żeby zapłacić Staszkowi za przywiezienie drzewa z lasu. Weszła do kuchni i zobaczyła obcą kobietę siedzącą przy stole i przeglądającą popularne wówczas czasopismo "Rycerz Niepokalanej". Gospodyni przedstawiła jej tę osobę, jako kuzynkę. Zapytała też czy jest podobna do niej. Kawalska przyglądnęła się jej dokładniej i stwierdziła głośno, że nie widzi podobieństwa. Reakcją na to, było natychmiastowe wyjście "kuzynki" z kuchni do pokoju i głośne zamknięcie drzwi. Sąsiadka Solarzów poczuła się zakłopotana i żałowała tego stwierdzenia.

Szeląg Franciszek

16 marca 1944 r. o godzinie 5^{00} wszyscy obudzili się, bo ktoś mocno dobijał się do domu. Ojciec otworzył drzwi. Weszło dwóch Niemców. Kilku innych obstawiło dom. Jeden z tych, którzy weszli mówił po polsku ze śląskim akcentem. Polecił ojcu ubrać się i wyjść. Matka przestraszyła się bardzo, gdyż nie wiedziała co się z nim stanie. Za pół godziny ojciec wrócił i powiedział, że pytali gdzie jest dom Solarzów. Odprowadził ich pod Dudowicza, pokazał z daleka dom, a oni rozkazali mu wrócić. Za niedługo wrócili też Niemcy, napili się mleka i wyszli. Wychodząc z domu, ten mówiący po polsku powiedział: Sołtysie, te trzy trupy pogrzebiecie na miejscu! Ojciec odpowiedział, że chyba trzeba je zawieźć na cmentarz. Na co Niemiec odrzekł: Dobrze, ale do 9^{00} musisz zgłosić się na komendzie! Po wyjściu Niemców wszyscy oniemieli! Teraz wiedzieliśmy po co przybyli do wsi. Ojciec poszedł do najbliższych sąsiadów Solarzów - Prokopa i Piotrowskiego, by zorganizować przewóz zwłok na cmentarz.

Solarzowa była przyjaciółką matki, często spotykały się. Gdy odjechała "kuzynka", Solarzowa przyszła do niej mówiąc: "Hanuś coś strasznego się stanie, bo jak Staszek odwoził kuzynkę, to pokazała mu język. Mam straszne przeczucie".

W tym czasie co zabito Solarzów, zginęła też rodzina Siwaków z Buchcic. Była "wsypa". Kazimierz Solarz należał do organizacji podziemnej NOW w Tuchowie. Wraz z nim działali: Czesław Kapałka i Zbigniew Gąsiorek z Tuchowa oraz Stanisław Siwak z Buchcic.

Patyk Jan

Był kolegą Julka i Władka Solarza. Często do jego domu przychodził starszy o kilka lat Staszek. Starszy od Staszka - Kazimierz - uczęszczał do średniej szkoły w Tarnowie, stamtąd został zabrany do przymusowej pracy tzw. Baudienst, ale zbuntował się i uciekł. Przystąpił do konspiracji w Tuchowie i z kilkoma kolegami zaczął rozbrajać Niemców (w dzień). Odtąd był poszukiwany.

Niedługo przed tragedią, do Solarzów przyjechała "kuzynka", której nie znali. Przebywała u nich kilka dni. W tym czasie Jan odwiedzał swoich rówieśników. "Kuzynka" szczegółowo zapoznawała się z historią rodziny, która nie miała żadnych tajemnic przed "najbliższą krewną". Nie krępował się jej Kazimierz, który w tym czasie przychodził do domu z bronią. We środę "krewna" odjechała, na pożegnanie pokazała język odprowadzającej ją Marysi i Staszkowi. Od tej chwili przeczuwali coś złego. W tym dniu przyszedł do nich wieczorem Staszek mielić bób. Długo siedział w domu i mówił, że przeczuwa, że coś się stanie. Wybierał się jeszcze do Zalasowej do Galasów, ale powiedział: Nie pójdę, niech śmierć pójdzie!

Janek i Julek Solarz byli ministrantami. Codziennie o 5^{00} - Janek chodził po Julka i szli do Tuchowa do kościoła, na mszę na godzinę 6^{00}. W tym dniu tj. we czwartek 16 marca 1944 r. Janek zaspał, obudził się o 5^{30}. Szybko więc zbiegł w dół, do sąsiadów. Była już "szarówka". Gdy dochodził do stodoły zobaczył coś, co przypominało mu psa, krzyknął: Do budy! To "coś" schowało się. Kiedy zbliżał się do stajni, spostrzegł, że ktoś tam stoi, pomyślał, że to Staszek. Zapytał głośno: Staszek, chłopcy poszli do kościoła? Nagle, ta osoba odwróciła się i usłyszał niemieckie słowa. Zrozumiał kto to jest! Ile miał sił w nogach biegł pod żerdziami ogrodzenia, w pola, na Kusa. Uciekał na wykręty (przypomniał sobie, że tak mu ktoś radził uciekać, gdyby do niego strzelano), przewrócił się dwa razy. Padło za nim pięć strzałów, jeden przeleciał tuż koło ucha. Dobiegł do Kusów i powiedział co dzieje się u Solarzów. Do domu wrócił okrężną drogą

Gdy wszedł do kuchni matka leżała zemdlona, cucił ją ojciec. Słyszeli strzały, byli pewni, że syna zabito. Za chwilę podeszli do okna i obserwowali dom Solarzów. Robiło się coraz widniej.

Widzieli jak Staszek wyszedł na podwórze i skierował się w stronę stajni, ale zaraz Niemiec zawrócił go. Szli wszyscy na łąkę koło lasu. Na przodzie szedł Solarz, za nim Solarzowa z Marysią trzymając się za rące, następnie Julek z Władkiem i Staszek. W jednym momencie wszyscy padli i rozległ się strzał. Staszek idący na końcu - nie padł ale strzelono do niego po raz drugi, oparł się jeszcze na rękach, padł trzeci strzał.

Za jakiś czas po odejściu Niemców zeszli na łąkę, schodzili się też inni ludzie. Widok był okropny. Julek i Władek mieli mózg na wierzchu. W ciągu godziny zorganizowano przewóz zwłok na cmentarz. Pomagali w tej czynności najbliżsi sąsiedzi: Jeleń Tomasz, Piotrowski Józef, Szymczak Władysław i ojciec (Patyk Józef). Kiedy konie ruszyły, krew sączyła się na drogę.

Za 15 minut po tragedii wyszedł z domu Solarzów Gąsiorek Zbigniew z Tuchowa, spał na strychu. Wziął psa i skierował się w stronę wsi. Za około półtorej godziny przyszedł do domu Kazimierz, spał na Grabku. Ukrywał się jeszcze do maja. Został zastrzelony w lesie trzemeskim. Wydał go Niemcom sołtys Trzemesnej.

Chaim Maria

Matka Marii odwiedzała często Solarzów. Widziała też ich "kuzynkę". W czasie jednych odwiedzin u sąsiadów zwróciła uwagę, że "kuzynka" długo przegląda stos gazet (prenumerowano "Rycerz Niepokalanej") i spod nich bacznie obserwuje wszystko co dookoła się dzieje. Gospodyni domu nie miała nic do ukrycia przed "bliską krewną" i przy niej dzieliła się produktami żywnościowymi z partyzantami do których należał syn Kazimierz (należał do grupy tuchowskiej). Na przykład , gdy piekła chleb, to połowę wypieku zostawiała sobie, a połowę dla "leśnych braci" Kazia. Gospodarz domu bardziej był ostrożny i mówił: Uważaj matka, żeby nie było kłopotu.

"Kuzynka" była u Solarzów kilka dni. Po jej odjeździe, wcześnie rano przybiegł do nich Jan Patyk i przerażony mówił, że u Solarzów są Niemcy i do niego strzelali. Jadwiga i Maria uciekły do Pawłowicza (mieszkającego na Podlesiu w Zalasowej), bo myślały, że Niemcy przyjechali zabierać na przymusowe prace do Rzeszy. Pawłowicz poszedł do pracy do Tuchowa, ale zaraz wrócił zdenerwowany, mówiąc, że widział na łące Solarzów zabitych ludzi. Wtedy wszyscy domyśleli się, że Niemcy przyjechali zamordować tę rodzinę.

Salamon Jadwiga

Jadwiga bardzo przeżyła rozstrzelanie swej przyjaciółki Marii Solarz i jej rodziny. Niedługo przed tragedią Maria mówiła, że przyjechała do nich kuzynka z Rozenbarku, której nie znały. Przebywała u nich kilka dni. Maria z matką opowiadały jej wszystko o rodzinie, o tym, że brat należy do konspiracji. W tragiczny czwartek 16 marca 1944 r. około godziny 6^{00} usłyszała strzały, ale myślała, że są to odgłosy walk toczących się gdzieś za lasem. Dopiero Janek Patyk poinformował o obecności Niemców u sąsiadów, a później poszła zobaczyć już rozstrzelanych. Jako bliska sąsiadka Solarzów pełniła dyżur (na polecenie sołtysa) w ich domu, zajmowała się krowami i ptactwem domowym. Konie hodował drugi sąsiad - Patyk.

Truszkowska Michalina

Mieszkała chwilowo u Piórkowskiej w Piekle, gdyż ta była chora i Michalina pomagała jej w pracach domowych. 16 marca 1944 r. około godziny 6^{00} usłyszała strzały w lesie, była pewna, że to echo niesie odgłosy dalekiej walki. Około godziny 7^{00} niosła mleko do zlewni do Barana Karola. Przechodząc koło Solarzów zobaczyła na łące zabitych ludzi. Nie wiedziała kto to jest. Pobiegła szybko z mlekiem, a następnie do wujka Gawryała, gdzie mieszkała matka. Opowiedziała im co widziała. Wracała z wujkiem i innymi ludźmi - drogą okrężną koło sołtysa Szeląga. Wtedy dopiero dowiedziała się, że Solarze zostali zamordowani.

Zając Józef

Wcześnie rano, gdy szedł z mlekiem do Karola Barana usłyszał strzały koło tuchowskiego lasu. Po zaniesieniu mleka pobiegł przez pola w stronę lasu, przed nim biegła już Maria Baran. Gdy dobiegał do drogi koło Solarzów, Maria Baran upadła koło fosy i zaczęła głośno lamentować: O Boże! Jezus, Maria! Popatrzył przed siebie i zobaczył na łące coś, co przypominało mu kłody drzewa. Podszedł bliżej i dopiero wtenczas spostrzegł, że są to zabici ludzie, rozpoznał Solarzów. Tuż przy rzece leżał Solarz Jan, był odwrócony twarzą do ziemi. Obok leżała czapka, a w niej łuska od kuli. Za nim była Solarzowa Tekla z Marysią, trzymały się za ręce. W ręce Solarzowej był różaniec. Oglądnął się za siebie, od pól zbliżali się ludzie.. Niedługo potem przyszedł sołtys z Piotrowskim, który jechał końmi z wozem (półkoszki). Karwodrzanie oddawali ostatnią przysługę Solarzom - kładli ostrożnie na wóz ich ciała.

Fortecka Łucja

Była sąsiadką i koleżanką Marii Solarz, stąd dobrze przyglądnęła się "kuzynce" składającej im wizytę. Bardzo przeżyła rozstrzelanie tej rodziny,

które nastąpiło niedługo po wyjeździe tej "kuzynki". Spotkała ją kilka lat po wojnie w Raciborzu. Popatrzyły na siebie i rozpoznały się. Fortecka zaczęła ją śledzić, ale sprytna konfidentka zniknęła w zaułkach miasta.

Po rozstrzelaniu Solarzów, sołtys zobowiązał ją i jej męża do prowadzenia gospodarstwa po nich. Przez jeden rok mieszkali tam. Odwiedzała ich granatowa policja i partyzanci. Policjanci szukali partyzantów a partyzanci - chleba. Składali im też wizyty Niemcy, również szukający partyzantów. Na szczęście nie doszło do wspólnego spotkania.

Kasperczyk Emilia

Chodziła do szóstej klasy do Tuchowa. Dzień przed tragedią w Karwodrzy - 15 marca we środę - wracała ze szkoły z Frankiem Szelągiem, Franią Czechowską i Julkiem Solarzem. Idąc przez równie beztrosko bawili się, śpiewali, tańczyli. Na drugi dzień rano słychać było strzały w Piekle. Byli ciekawi co się stało. Koło godziny 9-tej przyszedł Krzemień Felek i powiedział, że całą rodzinę Solarzy zamordowali. Nie chciała w to uwierzyć, długo płakała. Do dziś ze łzami w oczach wspomina to dramatyczne wydarzenie.

Chwistek Mieczysław

Chodził do klasy III-ej z Władkiem Solarzem. W przededniu ich zamordowania bawił się długo z nim. Jeździli na lodzie, na drewniakach. Władzio ociągał się z pójściem do domu, poszedł dopiero około 19-tej. Na drugi dzień rano ojciec obudził go wcześnie, żeby odrąbał lód na rzece i przyniósł wody. Właśnie jak rąbał ten lód, usłyszał strzały za górą. Niedługo potem zaczęli iść ludzie i mówić co się stało. Bardzo przeżył śmierć rówieśnika.

D. Aresztowanie

Szeląg Władysława

Była niedziela i wybierała się na sumę, czesała swoje długie włosy przed oknem. Patrząc w okno, spostrzegła jak z domu Gagatków wybiegł Franek i uciekł w stronę rzeki. Nie wracał stamtąd. Zastanawiała się co to miało znaczyć. Idąc z kościoła dowiedziała się od ludzi, że ktoś z rodziny doniósł ówczesnym władzom, że Franciszek posiada broń. Broni tej nikt nie znalazł. Pod namową najbliższych krewnych zgłosił się do żandarmerii. Zamknięto go w tarnowskim więzieniu, a następnie wywieziono do Oświęcimia, gdzie zmarł.

Sadko Józef

Gagatek z Frankiem nie lubili się, Franek nie chciał słuchać ojca, schował mu pistolet, który przywiózł sobie ze Stanów Zjednoczonych. Ten pistolet stał się powodem oskarżenia i aresztowania.

Salamon Władysław

Franciszek Gagatek był bardzo dobrym kolegą Władysława i Jana Szeląga, często odwiedzali się. Pewnego dnia - w czasie gry w karty- pokłócił się z ojcem i wyprowadził z domu do Zielińskich. Za niedługo po tej kłótni, przyszedł do Anny Szelągowej i poprosił o radę w rozwiązaniu tego konfliktu. Szelągowa zaproponowała przeproszenie ojca i postanowiła wesprzeć go psychicznie - przychodząc z nim do Gagatków. Tam jednak, najbliższa rodzina odradziła mu tego przeproszenia. Konflikt trwał nadal. Wkrótce został oskarżony o posiadanie broni i zaaresztowany.

Kowalska Stanisława

Franek Gagatek był dobrym kulturalnym chłopcem. Był lubiany przez ludzi we wsi. Nie żył jednak w zgodzie z ojcem (Gagatek Wojciech). Przyczyną tego konfliktu była służąca, którą ojciec darzył sympatią, a syn tego nie aprobował. Franek został oskarżony o posiadanie broni i zabrany do więzienia w Tarnowie. Przywieziono go do domu i polecono szukać tej broni zakopanej w brzegu rzeki. Ponieważ była zima i rzeka zamarzła, rozkazano mu rozbić lód. Broni nie znalazł. Zabrano go z powrotem do więzienia w Tarnowie , a następnie wywieziono do Oświęcimia, gdzie zginął.

Zielińska Stanisława

Od dłuższego czasu u rodziców służyła córka siostry matki - Zofia. Zofia miała narzeczonego z Wołowej. Zastanawiano się dlaczego on nie przychodzi do domu, tylko siedzi w stajni i rozmawia z dziewczyną. Pewnego dnia, mąż (Jan Zieliński) poszedł do stajni i podsłuchał rozmowę. Zofia

zwierzała się narzeczonemu, że dostałaby pole od Gagatka tylko jest zapisane na córkę (Stanisławę) i syna (Franciszka), dlatego Stanisławę trzeba otruć a Franka jakoś usunąć. Zieliński co usłyszał, powtórzył w domu.

Matka postanowiła podziękować Zofii za służbę. Zapytała co chce dostać na wiano (ta zaproponowała jedną krowę, pierzynę i kilka rzeczy przydatnych do gospodarstwa) i kiedy będzie wesele. Zaraz po otrzymaniu posagu, wyjechała z narzeczonym do Okocimia i tam wzięła ślub.

To ona oskarżyła Franka o posiadanie broni. Przyjechali po niego Niemcy i zabrali do tarnowskiego więzienia. W tym czasie policjant Hołyst pilnował domu i nie pozwolił nikomu skontaktować się z bratem, ani nic mu podać.

Wcześniej zbierano o nim opinię, pytano sąsiadów. Brat był bardzo spokojny, lubiany przez ludzi, miał bardzo dobrą opinię. Kiedy zabrano go do więzienia, siostra odwiedzała go, zawoziła jedzenie - podawane przez zaufanego strażnika. Po kilku miesiącach od aresztowania, strażnik ten przyjechał do domu i powiedział, że brat został wywieziony do Oświęcimia. Napisał stamtąd krótki list, że jest zdrowy. Niedługo potem przyszedł telegram, że Franciszek nie żyje[23].

Radwan Tadeusz

Przez pewien czas dzielił losy wiezienne i obozowe z Franciszkiem Gagatkiem. Przebieg ich był nastąpujący. 30 maja 1940 r. został posądzony o przecięcie drutów telegraficznych (kabla sztabowego) koło kapliczki św. Jana przy klasztorze oo Redemptorystów w Tuchowie i zaaresztowany. Umieszczono go w piwnicy budynku gestapo w Tarnowie przy ulicy Urszulańskiej. Przez pierwsze 4 dni pobytu nie otrzymał nic do picia ani do jedzenia. Dopiero po przesłuchaniu, które odbyło się w piątym dniu, dostał posiłek. Przesłuchania odbywały się regularnie, co pięć dni. W czasie ich trwanie był bity, a później (!) otrzymywał jedzenie. Był słaby z głodu i pragnienia.

Po 29 dniach przewieziono go do tarnowskiego więzienia. Przez pięć miesięcy przebywał w pojedynczej celi (zrobionej z dyżurki), nastąpnie umieszczono z nim więźniów żydowskach, a po ich wywiezieniu - Polaków. Pobyt w więzieniu trwał do 15 kwietnia 1942 r. W tym czasie więziony był również Franciszek Gagatek z Karwodrzy oraz Prorok Antoni i ksiądz Kazimierz Smoroński z Tuchowa. Kontaktował się tylko z ks. Smorońskim, którego spotkał kilka razy w drodze do łaźni.

W więzieniu dokuczał mu nie tylko ostry rygor, ale samotność i oczekiwanie na śmierć. Został pozbawiony wszelkiego kontaktu z rodziną (lis-

[23] Zob. aneks z kopią telegramu informującego o śmierci Franciszka w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu

tów, paczek, odwiedzin). Jedynym odwiedzającym go, był ptaszek siadający czasem na parapecie okna. Dozorca Franciszek Bujak - okazał się życzliwym człowiekiem. Widząc samotnego chłopca (miał 16 lat), przyniósł mu kartkę i zaproponował, by napisał do domu. Doręczył również list. Od tej pory istniał nieoficjalny kontakt z rodziną.

Więźniowie głodowali - otrzymywane porcje żywnościowe były niewystarczające. Pod koniec 1940 r. i na początku 1941, z pomocą głodującym pospieszyła "Caritas" - organizując dożywianie (zupy). Bardzo zaangażowana w tej akcji była pani Czaplińska z Tuchowa.

Bezczynność i brak ruchu stały się bardzo męczące. Jedynym spacerem było chodzenie po celi, po przekątnej (najdłuższy odcinek). Dwa razy w miesiącu odbywało się wyjście do łaźni. Wtenczas spotykał innych więźniów z sąsiednich cel i mogli zamienić ze sobą kilka zdań. Starał się wypełnić czas różnymi pracami np. rzeźbił główki Chrystusa cierpiącego, robił różańce z włosia wyciągniętego z ubrania czy ze sznurków z więziennego koca, drapał na ścianie napisy - zostawiając po sobie pamiątkę.

Pewnej nocy przyszli do niego strażnicy, polecili szybko ubrać się, założyli kajdanki na ręce i wsadzili do samochodu. Jechali najpierw w stronę Marcinki (myślał, że jedzie na rozstrzelanie), później skręcili na Tuchowską. Przyjechali do Zabłędzy na górę i zatrzymali się. Tam Niemcy wyciągnęli listę i odczytali nazwiska Zabłędzkich gospodarzy, pytając gdzie mieszkają. Tadeusz odpowiedział, że nie wie, bo mieszka w innej części wsi (pokazał skutymi rękami na Tuchów). Za negatywną odpowiedź dostał od Niemca po twarzy. Zaczęło już świtać i w pole wyszła kobieta (Karwatowa). Zapytali ję o tych ludzi i ona poinformowała gdzie mieszkają. Rozjechali się do nich. Byli to: Władysław Florek, Franciszek Kowalski, Bolesław Michałek, Franciszek Kozioł i Franciszek Aksamit. Podjechali z nim do Kowalskiego. Zapukali do domu. Za chwilę wyprowadzili Kowalskiego i jego syna pytając: Gdzie są karabiny? Bili ich przy tym kołkami, które stały koło płotu. Gospodarz poszedł z nimi na strych szukać broni, ale nie znaleźli. Pytali dalej, gdzie broń. Szukali koło potoku, kopali ziemię, ale broni dalej nie było. Zabrali oskarżonych do więzienia w Tarnowie.

Tadeusz bardzo to przeżywał, bo wszystko wskazywało na to, że on "sypnął". Dopiero po kilku miesiącach, gdy doszło do konfrontacji aresztowanych z Józefem Antosem, okazało się, że Antos doniósł na sąsiadów, iż posiadają broń. Zabłędzanie nie przyznali się i po pół roku wypuszczono ich na wolność[24].

15 kwietnia 1942 r. wywieziono go (wraz z 60 więźniami) do Oświęcimia.

---

[24] Zob. aneks zaświadczenia o pobycie w więzieniu w Tarnowie - Florka Władysława

IV. WYWIEZIENI DO III RZESZY

Generalne Gubernatorstwo stało się zapleczem siły roboczej dla III Rzeszy. Na początku był to dobrowolny wyjazd, do którego agitowano za pomocą specjalnej propagandy (afisze, ulotki). Organizacją wywozu zajęły się urzędy pracy tzw. Arbeitsamty znajdujące się w większych miastach. 26 I 1940 r. "Goniec Krakowski" donosił: "We wszystkich miejscowościach dawnego państwa polskiego ustanowione zostały urzędy pracy, wzorowane na analogicznych instytucjach niemieckich (...) W listopadzie i grudniu odeszły z Krakowa do Marchii Wschodniej (dawna Austria). transporty wykwalifikowanych robotników (...) Generalny Gubernator ziem polskich minister Rzeszy dr Frank zwrócił się z apelem do polskiej ludności, wzywając ją do zgłoszenia się do pracy w gospodarstwach rolnych "Rzeszy"[25]. W apelu podkreślono łączność z dawną tradycją, możność właściwego zatrudnienia, pełne zadowolenie, zupełnie wystarczające wyżywienie oraz jedynie i wyłącznie zgłoszenie dobrowolne mężczyzn i kobiet od 16 - 50 lat.

Niedługo potem, pod pozorem dobrowolności zaczęto stosować przymus w rekrutacji. Sołtysi wsi zostali zobowiązani do sporządzanie list wyjeżdżających. Wyznaczeni, pod eskortą żandarmerii polskiej i niemieckiej doprowadzani byli na dworzec kolejowy. W wychwytaniu siły roboczej w Polsce pomogły bardzo specjalne zarządzenia władz Generalnej Guberni o przymusowym posiadaniu karty pracy tzw. Arbeits-karty (20. XII. 1940 r.). i (wspomniany wcześniej) spis powszechny ludności. Zwiększony przypływ siły roboczej uzyskiwano przez "łapanki". Nasilona akcja werbunkowa trwała do 1943 r.

Przymusowy wywóz - do pracy w Niemczech - dziewcząt i chłopców z Karwodrzy trwał od marca 1940 r. do maja 1943 r. (dobrowolnie zgłosiła się Kardek Stefania i Czechowska Maria). W tym czasie deportowano następujące osoby:

Augustyn Zygmunt s. Kleofasa
Boroń Jan s. Władysława
Czechowska Maria c. Wojciecha (wyjechała z Białej Krakowskiej)
Filar Józef s. Józefa
Fortecka Anna c Jana

---

[25] Zob. "Goniec Krakowski", Kraków 21 I 1940 r. Apel Generalnego Gubernatora

Iwaniec Genowefa c. Jakuba
Iwaniec Jan s. Franciszka
Janura Stanisław s. Władysława
Janura Andrzej s. Władysława
Kawa Józef s. Jakuba
Kowalski Władysław s. Jana (wyjechał z okolic Sokala)
Kordek Stefania c. Pawła
Kus Jan s. Leona
Lipka Bronisława c. Wojciecha
Lipka Władysław s. Wojciecha
Matug Józef s. Wojciecha
Matug Genowefa c. Wojciecha
Piątek Alfreda c. Onufrego
Piska Janina c. Józefa
Piska Stanisław s. Józefa
Salamon Józef s. Jana
Salamon Józef s. Franciszka
Salamon Zofia c. Jana
Solarz Tadeusz s. Jana
Szeląg Józef s. Wojciecha
Szeląg Stanisław s. Franciszka
Szostecka Maria c. Franciszka

Po wyznaczonego "ochotnika" przychodziła najczęściej policja w towarzystwie Niemców. Wizytę składano w różnych porach dnia, odrywając od wykonywanych czynności, nie pozwalając przebrać się. Czasem ubraniem była nocna bielizna. Niekiedy typowany otrzymywał zgłoszenie o obowiązkowym stawieniu się do gminy lub starostwa na komisję poborową z dodatkową informacją, że w razie nie zgłoszenia się rodzina będzie wysiedlona. Jeśli nie zastano w domu poszukiwanego syna czy córki, zabierano jedno z rodziców. W ten sposób zmuszano do zgłoszenia się właściwej osoby.

Pobyt w III Rzeszy trwał do końca wojny. Po klęsce Hitlera nie wszyscy wrócili do Polski, do rodzinnej wsi. Fortecki Józef zmarł w niemieckim lagrze. Kawa Józef i Kordek Stefania wyjechali do Stanów Zjednoczonych, Matug Genowefa do Australii. Kilka osób osiedliło się na Ziemiach Odzyskanych: Genowefa Iwaniec, Boroń Jan, Iwaniec Jan, Janura Stanisław, Filar Józef, Kus Jan, Matug Józef, Lipka Bronisława, Szostecka Maria. W Krakowie zamieszkała Czechowska Maria i Lipka Władysław. Z przymusowego pobytu uciekł Stanisław Szeląg.

Oto jak oceniają po latach swój pobyt w kraju okupanta i atmosferę towarzyszącą wyjazdowi do Niemiec.

Boroń Jan (1922 - 1969)

W marcu 1940 r. przyszło do domu wezwanie, aby Jan zgłosił się na komisję w określonym dniu i godzinie. Wiadomo było, że celem tej komisji jest wysłanie do Niemiec młodych chłopców, żeby pracowali dla okupanta. Rodzina nie chciała, by Janek wyjechał, miał dopiero 18 lat. Wysłano go na służbę do Zalasowej, do Szarada. Ponieważ nie zgłosił się na komisję do Tuchowa, przyjechali po niego pewnego marcowego ranka - żandarmi tuchowscy i Niemcy. Nie zastali syna, więc zabrali ojca (Władysława Boronia). Wtenczas młodsze siostry - Maria i Teresa - poszły po brata do Zalasowej, by wymienił ojca. Początkowo przebywał w lagrze koło Łątki, później, gdy zebrano wszystkich, odtransportowano ich do Niemiec.

Przez pół roku nic nie pisał, dopiero później przysyłał bardzo krótkie listy. Nie mógł wszystkiego napisać, tylko używał odpowiednich znaków. Czerwone plamy w liście oznaczały, że był bity i torturowany. Gdy wrócił, to powierdził domysły rodziny. Dobrze odczytywali jego symbole. Miał często zmienianych baorów. Aby spotkać się z Polakami, musiał iść do innej wsi, tam chwytała go policja i torturowała. Wrócił do domu wychudzony, zarośnięty. Najbliżsi nie mogli go poznać[26].

Salamon Józef (1919 - 1972)

Został wyznaczony przez sołtysa do przymusowej pracy w Rzeszy. Jechał pociągiem do Niemiec z Kulikowskim Janem, ale w Krakowie Kulikowskiego zostawiono i skierowano do Oświęcimia. Józef był w Niemczech od 1942 do 1945 r. Pracował u baora na peryferiach Kolonii. W czasie ostatniego nalotu alianckiego zbombardowano całe miasto. Przebywał wtedy w schronie z rodziną gospodarza, ponieważ było ciasno, jemu i koledze Rosjaninowi wyznaczono miejsce tuż przy drzwiach. Wszyscy zginęli, tylko on i Rosjanin ocaleli. Został ciężko ranny w głowę, stracił przytomność, obudził się w amerykańskim szpitalu. Po miesiącu powrócił do kraju z wielkim uszczerbkiem na zdrowiu[27].

Kosiba Alfreda

W marcu 1940 r. do domu przyszli Niemcy z sołtysem i policjantem Hołystem. Polecili Alfredzie ubrać się szybko i zabrali ze sobą do Tuchowa. Z Tuchowa wraz z innymi dziewczętami i chłopcami jechała przez Tarnów, Kraków, Dziedzice, Zebrzydowice i Czechosłowację do Niemiec. Podróż w bydlęcych wagonach trwała około tygodnia. Gdy dotarła do celu podróży nie wiedziała jaka to miejscowość i nie mogła porozumieć się z Niemcami.

---

[26] Informacje uzyskane od - Gdowskiej Teresy i Sikorskiej Marii

[27] Informacji udzieliła - Salamon Jadwiga i Filar Wojciech. Brat Wojciecha - Józef kontaktował się z Józefem Salamonem w Niemczech

Postanowiła uczyć się tego języka. Kupiła mini-słowniczek i po tygodniu już była tłumaczem dla swoich koleżanek.

Pracowała u bogatego gospodarza we wsi Bruhausen nr 8 koło Heidelberga, na stanowisku podkuchennej. Jednak na 17 ha gospodarstwie nie mogli sobie dać rady i Alfreda pomagała również w pracach polowych. Doiła trzy razy dziennie pięć lub sześć krów, woziła kilka bań mleka na wózku do mleczarni, na tymże wózku zawoziła mąkę do piekarni i przywoziła wypieczony chleb (dwa razy w tygodniu), sprzątała kuchnię, myła naczynia. Była "robotem" do wszystkiego.

Właściciele gospodarstwa - u których była zatrudniona - byli bardzo surowi i skąpi: nic nie płacili jej za ciężką pracę. Pieniądze otrzymywała tylko za dodatkowe czynności wykonywane w niedzielę, np. robienie przetworów, szycie, cerowanie. Wypracowane w ten sposób pieniądze wysyłała matce lub robiła zakupy i przesyłała w paczce gotowe produkty (które nigdy nie dotarły do adresata). Tylko w niedzielne popołudnie mogła usiąść i napisać list, czy porozmawiać z koleżankami. Mimo ciągłego braku czasu - utrzymywała kontakty z innymi Polkami (było ich siedemnaście w tej wsi), a szczególnie z Janiną Piska z Karwodrzy. Pomagała też sąsiadce - kalece (za co dostała grudkę złota).

Gospodarze jej byli nietolerancyjni, sami praktykujący protestanci, zabronili jej chodzić do katolickiego kościoła, mimo że ten znajdował się niedaleko w Saunthausen. Gospodarz był SS-manem, nosił trupią czaszkę na czapce. Miał radiostację w zamkniętym pokoju, z której ciągle korzystał. Po każdym nalocie był wzywany przez tą radiostację, brał szybko taxi i wyjeżdżał. Wracał późno w skrwawionym ubraniu, które szybko kładł do pralki. Prawdopodobnie wychwytywał i zabijał katapultujących się pilotów alianckich.

Naloty zaczęły się w 1943 r. i trwały cały 1944 r. W momencie, kiedy zaczynał się alarm przeciwlotniczy, schodzono szybko do schronu. Alfreda nie zawsze miała ochotę iść, bo spała rano po ciężkich pracach polowych wykonywanych w nocy, ale gospodarze zmuszali ją. Nie kierowała nimi żadna litość, po prostu bali się stracić tanią siłę roboczą. Mimo dużego gospodarstwa i wielorakich zajęć - sama wykonywała wszystkie czynności, dopiero w 1945 r. przyjęto do pomocy Ukrainkę.

Kiedy wkroczyły wojska alianckie, była zdenerwowana i nie wiedziała co robić. Niemcy celowo dezinformowali Polaków, straszyli wywozem na Syberię, odradzali opuszczać ich kraj. Trwała to kilka tygodni. Dopiero chłopcy z Karwodrzy - Janura Stanisław i Boroń Jan - przyszli po nią i inne dziewczęta i zmobilizowali do powrotu. Udali się do obozu przejściowego w Kierheim, a następnie w Hokenheim. Przed wyjazdem do Polski otrzymali prowiant na drogę, który szybko się skończył. Na pierwszym postoju w kraju

znów dostali posiłek i picie. Jechali szybciej niż do Niemiec. Do Karwodrzy przybyli w listopadzie 1945 r.

Piórkowska Janina

Wiosną 1940 r. przyszedł sołtys (Szeląg Franciszek) z policjantem i Niemcami. Polecił spakować się w ciągu 15 minut i poinformował, że wyjeżdża do pracy do Niemiec. Pojechali furmanką do Tuchowa, następnie do Tarnowa pociągiem. W Tarnowie był postój na kąpiel i dezynfekcję. Podobnie było w Krakowie. Co kilka godzin jazdy mieli taki postój. Zajechali do Niemiec w okolice Heidelberga. Tam niemieccy baorzy wybierali sobie dziewczęta do pracy w gospodarstwie. Janina z koleżanką (Alfreda Piątek) dostała się do jednej wsi. Mieszkały obok siebie, przez co łatwiej było znieść rozłąkę z krajem, wsią i rodziną.

Pracowała w gospodarstwie - w domu, polu i oborze. Gospodarze byli wymagający. Wolną miała tylko niedzielę po południu. Wtedy to spotykała się z polskimi dziewczętami mieszkającymi w tej samej wiosce i polskimi chłopcami przychodzącymi do nich z innych miejscowości.

Odwiedzali ich też chłopcy z Karwodrzy - Boroń Jan i Janura Stanisław. W niedzielę jeździła na rowerze do katolickiego kościoła znajdującego się kilka kilometrów od miejsca jej zamieszkania. Bardzo tęskniła za najbliższą rodziną, myślała o ucieczce, ale widziała wracających z takiej ucieczki - powracali do tego samego miejsca skąd uciekli i byli traktowani rygorystycznie.

Przyszła wreszcie wiosna 1945 r. a z nią wyzwolenie. Wojsko amerykańskie otworzyło obozy przejściowe dla przymusowych robotników w Rzeszy. Długo myślała gdzie jechać. W listopadzie wróciła do kraju do Karwodrzy.

Janura Stanisław

Na wiosnę 1940 r. został wyznaczony na przymusowe roboty do Niemiec, ale nie zgłosił się. Pewnej nocy policja tuchowska w towarzystwie żandarmerii niemieckiej otoczyła dom "opornego". Stanisław z bratem Andrzejem spał na strychu, kiedy usłyszał odgłosy "gości" schował się głęboko w wysuszoną koniczynę. Poczuł jednak coś ostrego na plecach, to policjant Osysko ukłół go bagnetem w plecy - krzyknął i został zdemaskowany. Udawał przerażonego i patrzył w otwarty facyjat, żeby umknąć. Kiedy poszli dalej szukać brata Andrzeja, skorzystał z momentu ich nieuwagi i skoczył przez upatrzony wcześniej otwór. Pobiegł do swojego dziadka Filara Wojciecha i przespał całą noc spokojnie pod pierzyną. Nad ranem przyszedł ojciec z ubraniem i powiedział, że zabrano Andrzeja i wysyłają go do Niemiec. Wtenczas zdecydował, że on pojedzie. Zgłosił się do szkoły na zbiórkę, został zakuty w kajdanki i wprowadzony na wóz pod

strażą czterech policjantów (odwoził ich Czechowski Władysław). Prosił, by go rozkuli, bo zgłosił się dobrowolnie, ale zamiast uwolnienia - dostał kolbą karabinu policjanta Osysko. Gdy przyjechali do Tuchowa cały czas myślał o ucieczce. W Tarnowie zrezygnował z tego planu, bo obiecywano im powrót za pół roku i jechały z nimi ładne dziewczęta z Pleśnej..

Przyjechał do Niemiec do miejscowości Oberhoff, w której przebywał dziewięć miesięcy, później do Epenhauss koło Heidelberga. Pracował u baora, który posiadał duże gospodarstwo. Wykonywał wszystkie prace w polu i oborze. Pracowity, schludnie ubrany i grzeczny Polak zyskał uznanie u niemieckiego rolnika. Posiłki w wystarczającej ilości spożywał razem ze swoimi gospodarzami (co było wyjątkiem). Pracował cały dzień, zwykle do godziny 8^{00} wieczór. Czasem gospodarz pozwalał mu kończyć zajęcia wcześniej (o co mieli pretensje inni gospodarze). Ten dodatkowy wolny czas wykorzystywał na spotkanie z Polakami mieszkającymi w pobliżu. Spotykali się w restauracji, w której jedna sala była przeznaczona dla Polaków. W zwykły dzień sala była otwarta od 20^{00} do 20^{30}, w niedzielę całe popołudnie. Czasem Stanisław przychodził tam wcześniej lub zostawał dłużej. W razie kontroli policji, pracownicy gasili światło umożliwiając ucieczkę Polakom. Spotkań tych nie było za dużo, najczęściej w niedzielę we wspomnianej restauracji lub odwiedzanie znajomych dziewcząt (między innymi z Karwodrzy) w najbliższej okolicy. Nawet nie było możliwości kontaktowania się w kościele, mimo że we wsi był zarówno kościół protestancki jak i katolicki. Polakom nie było wolno tam wchodzić.

Kiedy zbliżał się front aliancki, baor nie chciał rozstać się ze Stanisławem, chciał go zostawić a nawet oddać za niego Ukrainkę (która tam pracowała). 9 maja 1945 r. Stanisław zgłosił się do obozu przejściowego organizowanego przez Amerykanów. Był szczęśliwy, przebywał wśród swoich, mógł się bawić (zabawy były codziennie oprócz piątków). Wreszcie żył normalnie - miał 24 lata i pięć lat przymusowej ciążkiej pracy w obcym państwie. Wracał do kraju z innymi Polakami specjalnym transportem. Odwieziono ich do stacji Dziedzice - Czechowice, gdzie dostali po 100 zł i odtąd jechali na własną rękę. Karwodrzanie wracali razem. Do Tarnowa dojechali pociągiem towarowym (siedzieli na węglu), w Tarnowie wynajęli ciężarowy samochód i fiakier. Samochodem jechali oni, a fiakrem ich bagaże. Za własny transpotr zapłacili paczkani z UNRY, za fiakier pieniędzmi, które pożyczyli od sąsiadów z Karwodrzy.

Stanisław utrzymuje kontakty listowe ze swoim byłym przymusowym pracodawcą (a po jego śmierci z jego dziećmi), był też dwa razy w miejscu dawnego zesłania. Czuł się o wiele lepiej jako odwiedzający.

Maria Lorek

"W maju 1940 roku otrzymałam od sołtysa wezwanie do wstawienia się na pierwszy punkt zbiórki w Tuchowie, w celu wyjazdu na roboty do Niemiec. Dokładnie nie pamiętam, była to połowa maja. Z Tuchowa przewieziono nas pociągiem do Tarnowa. W Tarnowie utworzono transport i przewieźli nas do Krakowa. Tam w szkole przebywaliśmy całą dobę, wykąpaliśmy się, odzież oddano do odwszawienia i przespałyśmy się. Rano była zbiórka i wypytawano nas kto chce iść do pracy do fabryki. Ja zgłosiłam się. Podszedł do mnie Niemiec i kazał pokazać ręce. Gdy zobaczył moje odciski i zniszczone ręce od pracy, powiedział, że pójdę do fabryki. W Krakowie dali nam suchy prowiant na drogę (chleb, marmoladę i margarynę).

Jechaliśmy cały dzień pociągiem osobowym (twarde drewniane siedzenia), na noc zajechaliśmy do Berlina. Po wyjściu z pociągu był nalot samolotów. Sprowadzono nas na dół, pod dworzec, tam były restauracje, poczekalnie i przeczekaliśmy noc do rana. Rano zrobili zbiórkę i powiedzieli, że zmieniono nam kierunek i jedziemy do Dessau, zamoast do miejscowości pod francuską granicą (nie pamiętam nazwy). W Dessau byliśmy koło południa, dano nam obiad - kaszę mannę na mleku i chleb. Z Dessau pojechaliśmy do Ragunu, około 15 km (pociągiem). Nikogo z Karwodrzy ze mną tam nie było. W Ragunie przyprowadzili nas - około 100 osób - (ja miałem nr 76) do lagru. Była to duża dwupiętrowa kamienica po starej kaflarni. Były tam pokoje 12-to i 40-to osobowe.

W pierwszym transporcie były same Polki i Polacy. Za dwa miesiące przyjechał jeszcze jeden transport Polaków, a później Ukraińcy. Kobiety ukraińskie były tam do końca wojny, mężczyzn wywieziono. W Ragunie, w innych lagrach, na innych ulicach mieszkali Czesi (mężczyźni i kobiety), francuskie wojsko, rosyjskie kobiety żydowskie. Wszyscy pracowaliśmy w fabryce samolotów w Ragunie.

Do 18-go roku życia moja pensja po opłaceniu wyżywienia, była przesyłana do rodziców do Karwodrzy. Było to około 20 - 30 marek miesięcznie. Ja tych pieniędzy nie widziałam. Kiedy skończyłam 18 lat, otrzymywałam pensję do 40 marek miesięcznie.

Otrzymywaliśmy trzy posiłki dziennie, a jak pracowaliśmy powyżej 10-ciu godzin, to cztery posiłki. Na śniadanie był chleb z marmoladą, margaryną lub pasztet, czarny salceson. Inną żywność można było dokupić w sklepie w Ragunie. Na początku Niemka wydzielała nam porcje, okradała nas. Później dostaliśmy porcje żywnościowe dwa razy w tygodniu (po jednym chlebie, salceson, marmoladę, margarynę). Śniadanie jedliśmy na miejscu w lagrze, a obiad w kantynie w fabryce (dwa dania, czasem kompot). Na obiad otrzymywaliśmy potrawy, których wcześniej w Karwodrzy nie znałam, tj. szpinak, gulasz, sosy, ryby, pulpety w niedzielę. W kantynie

można było dokupić żywność, oranżadę, piwo jasne i ciemne. Inne zakupy, takie jak odzież robił nam w Dassau Niemiec, którego matka była Polką.

Pracowaliśmy od 8 do 10 godzin dziennie, ja nitowałam części samolotu (były to części obudowy silników). Do osiemnastego roku życia sprzątałam. Byłam w tej grupie najmłodsza.

Na początku w lagrze odbywała się msza. Czasami w sobotę wieczorem robiliśmy zabawę. Ragun był małym miasteczkiem, mogliśmy po nim chodzić i oddalać się do 3 km (od miasta). Wolno nam było przebywać poza lagrem do godziny 21^{00}, później był apel, odliczanie ludzi. Jeśli ktoś uciekł, był poszukiwany i szedł do innego obozu karnego. Pracowaliśmy od poniedziałku do soboty, czasami w niedzielę. w wolne niedziele spacerowaliśmy, rozmawiali z ludźmi pracującymi u baorów, oglądaliśmy mecze piłki nożnej, gdzie grali Czesi i Francuzi (Polacy nie chcieli grać). W Święta Bożego Narodzenia ubieraliśmy choinkę i dzielili opłatkiem przysłanym z domu.

Na przełomie roku 1943/1944 przywieziono grupę kobiet Żydówek różnej narodowości (z Polski, Niemiec, Francji, Halandii). Były słabe, często były tam zgony, żywiono je źle. Żydówki mieszkały w oddzielnym miejscu, nie wolno było nam tam chodzić i z nimi rozmawiać. Potajemnie podawałam im jedzenie jak wracałem ze stołówki, umówiłam się wcześniej z Żydówką (która była z matką), gdzie schowam im jedzenie. Niemcy nas ostrzegali, że za pomoc Żydom grozi kara śmierci. W maju 1945 r. przed samym zakończeniem wojny, Żydzi zostali wywiezieni, nie wiem gdzie.

W czasie wojny, podczas nalotów pozwolono nam uciekać na łąkę i tam się chować do odwołania alarmów. Czasami było to dwa razy w nocy. O zakończeniu wojny dowiedzieliśmy się od Amerykanów na początku maja 1945 r., a po 15 maja myśleliśmy już o powrocie do Polski. W radio nawoływali wszystkich Polaków do powrotu do kraju, gdzie czekać nas miała praca, mieszkanie - obiecywano dużo dobrego. 24 maja byłam już w Polsce i zostałam okradziona ze wszystkiego przez radzieckich żołnierzy. Zostałam w tym co spałam. Wylali nam nawet kawę, którą wiozłam do picia na drogę. Również dokumenty zostały zabrane przez nich, razem ze wszystkim. W Polsce byłam zawiedziona, nie było mieszkań, nie było pracy[28].

Wylegała Genowefa

Wiosną 1940 r. wojsko niemieckie urządziło łapankę na młodych ludzi w Karwodrzy. Łapanka trwała około tygodnia. Do pomocy Niemcom w tej czynności był zmuszony ówczesny sołtys - Franciszek Szeląg. Okupantowi udało się schwytać w tym czasie pięć osób (między innymi Janurę

[28] List do autorki 8. XI. 92 r.

Stanisława). Schwytanych - często w nocnej bieliźnie - wieziono do Tuchowa. Tam dołączyli do nich chłopcy i dziewczęta z okolicznych wsi, zwerbowani w podobny sposób. W Tarnowie było ich już bardzo dużo. Wsadzono ich do wagonów i ruszyli w podróż do III Rzeszy. Podróż odbywała się tylko nocą i trwała około tygodnia. Postawa Niemców do przymusowych podróżnych była różna: do połowy trasy jechali w bydlęcych wagonach - traktowani jak bydło, później w wagonach osobowych - lepiej traktowani, z lepszym posiłkiem. Każdy podróżny miał swój numer i znaczek "P".

Część z nich przyjechała do Neckarbischofsheim - małego miasteczka w okręgu Baden, niedaleko granicy francuskiej. Na dworcu na polską młodzież czekali niemieccy właściciele zakładów lub dużych obszarów ziemskich.

Genowefa (wraz z Józefem - studentam Politechniki Krakowskiej) została przydzielona do rolnika Filipa Shafera. Pracowała jako pomoc domowa i pomagała w robotach polowych np. przy zbieraniu tytoniu czy winogron. Praca trwała od 5^{00} do 24^{00}. Jedzenie mieli dobre i w wystarczającej ilości. Wszyscy spożywali posiłki przy wspólnym stole z gospodarzami, traktowani jak członkowie rodziny. Rodzina gospodarza składała się z pięciu osób: Filip Shafer (50), żona Frida, córka Lizabet (25), syn Fryc (22) i Wolfgang (10).

Zarówno gospodarze jak i mieszkańcy Neckarbischofsheim byli bardzo dobrzy dla obcokrajowców. Nie zgadzali się też z polityką Hitlera. Panowała tam swoboda poruszania się i korespondencji. W wolne dni od pracy, (niedziela) można było się spotkać z Polakami mieszkającymi w tej miejscowości. Mieszkańcy Neckarbischofaheim byli katolikami. Do kościoła chodzili wszyscy razem, rodzina właściciela i pracujący u niego Polacy. Głównym problemem była nieznajomość języka niemieckiego.

Po 2 latach pobytu u gospodarza Shafera, Karwodrzanka - Genowefa otrzymała urlop za dobre sprawowanie i zezwolenie na wyjazd do rodziny (grudzień 1942). Po powrocie nadal pracowała u swoich chlebodawców.

2 kwietnia 1945 r. wojsko angielskie wyzwoliło miasteczko Neckarbischofsheim (walk nie było). 22 maja 1945 r. wywieziono wszystkich przymusowych pracowników i jeńców do obozu przejściowego w Mosbach. Tam, Genowefa wyszła za mąż za Polaka Wiktora Wylegałę. Ślub odbył się 9 czerwca 1945 r. w kościele parafialnym w Neckareltz. Na początku lipca wyjechała z mężem do innego obozu przejściowego w Wertheim, gdzie przebywało około 5 tys. osób czekających na wyjazd do Polski. Na początku października przyjechali do Czarnkowa w województwie poznańskim, rodzinnych stron męża. Transportem do Polski i pobytem w obozach przejściowych - opiekowali się Amerykanie.

Kus Jan

"10 VII 1942 r. o godzinie 8^{00} stawiliśmy się w Tuchowie na posterunku. Było 5 par, to znaczy byli to nasi zakładnicy, którzy mieli nas doprowadzić do Tuchowa. Moim zakładnikiem był mojego szwagra Józka brat Andrzej i pamiętam, że ze mną jechał pan Mierzwa i pani, której nazwiska nie pamiętam, ale wiem, że była to siostra Szostaka. Przed południem zajechaliśmy do Tarnowa, gdzie były badania lekarskie i obiad, po czym poszliśmy na stację, bo mieliśmy odjechać do Krakowa. Na stacji zauważyłem, że dużo ludzi uciekło, tak jakby specjalnie dali możliwość ucieczki. Ludzi było dużo bo byli z całej gminy Tuchów. Wieczorem odjechaliśmy do Krakowa, a w Krakowie odbyło się strzyżenie, kąpiel, parowanie i szereg badań lekarskich, później zbiórki, odliczania i szeregowanie do czego kto się nadaje. Tak było przez pięć dni.

W końcu przyjechał po nas konwojent z Żagania i wziął 50 osób. Wśród nich byłem i ja. W Żaganiu na Arbajtsamcie pozabierali wszystkich do gospodarzy, czyli bauerów. Ja trafiłem do człowieka bardzo ponurego i małomównego. Naprawdę bałem się iść z nim, ale nie było wyboru. W tym przypadku pomyliłem się. Byłem na małej wiosce, która liczyła 8 numerów. U tego gospodarza był już Polak z miejscowości Kęty koło Bielska Białej. No i zaczęła się praca. Jak się później okazało to mój szef i moja szefowa byli dla mnie ojcami, a nie jakimiś łotrami, jak było gdzie indziej. Ciężkiej pracy mi nie dawał, bo nie miałem 18 lat. Jedzenie było dobre i pod dostatkiem. Jedliśmy przy jednym stole i z jednego garnka każdy sam sobie nakładał. Dzielono tylko mięso z chlebem, ale nie było go tak mało. Jadłem pięć razy dziennie. Pokój mieliśmy osobny, w którym spaliśmy i spędzali wolne chwile. W zimie spaliśmy na pierzynie i pod pierzyną. Pokój nie był ogrzewany. Od czasu do czasu przychodziła dziewczyna zmienić pościel. Była też służąca, tylko Niemka. Praca w polu i na gospodarstwie nie przeciągała się zbył długo do wieczora. Wstawaliśmy o 6^{00} rano. W niedzielę i święta, jakie wtedy tam obowiązywały nie pracowaliśmy, nawet jeśli były sianokosy i żniwa. Gospodarz był ewangelikiem. Płacono mi 25 marek miesięcznie, a koledze - Edkowi - 30 marek, a czasem jeszcze na piwo dorzucił.

Jeszcze wspomnę o jego rodzinie. Miał dwoje dzieci. Córka może miała rok, gdy tam przyjechałem, a syn urodził się w 1943 r. w lipcu. Oboje szefowie mieli około 40 lat.

Pyta Pani o kontakty z Polakami? Wszystkim obcokrajowcom nie wolno było się kontaktować, ani też gdzieś iść razem, np. wesołe miasteczko, restauracja lub gdziekolwiek. Nas Polaków i Ukraińców zaraz rozpoznali, bo nosiliśmy oznaki. Polacy - białą literę "P", Ukraińcy - litery "OST". To trzeba

było nosić na wszystkich ubraniach. Spotykaliśmy się na swojej wsi, a rzadko na drugiej wsi z obawy przed karą lub "łaniem" przez patrol policji.

Jeszcze Pani napiszę przebieg mojego pobytu w okopach na czas zimowy, który miał trwać 3 miesiące. Od Bauera wyjechałem początkiem grudnia i w tych okopach dopiero spróbowałem niewolniczego życia. Zima była prawie bez śniegu, tylko wiatry i mrozy zamroziły ziemię na ponad pół metra. Mieszkaliśmy w baraku, w którym wiatr hulał, a palić nie było czym. Nie było też 5 razy dziennie jedzenia, tylko 3 razy tj. 2 kg chleba na 5 dni i obiad, a rano i wieczór czarna, gorzka kawa. Godzina policyjna obowiązywała od 22^{00} i można było oddalić się od baraku tylko na 100 m. Ale na szczęście tego "dobrego" było tylko 2 miesiące (...).

W 1944 r. było 3 dni świąt Bożego Narodzenia, jak teraz. Ja w tym czasie byłem w obozie przy okopach. Nie byłem tylko ja, było nas setki. Nasi przełożeni zarządzili, żeby w niedzielę pracować, bo 3 dni świąt to za dużo. W Boże Narodzenie potrzeba było 10 chłopów na ochotnika do rozładowania z samochodów drewna, kołków. Za to, że poszliśmy w ten dzień otrzymaliśmy nagrodę: 10 sztuk papierosów, dubeltowy obiad, placek okrągły wielkości 2 litrowego garnka. Poszedłam do pracy za to jedzenie. Na stanowisku pracy przesiedzieliśmy 8 godzin przy ognisku i żadnych samochodów nie było. Po obiedzie samochody dotarły. Kto był pod ręką to zabrany został do rozładunku, a nam się udało. Człowiek ratował się jak mógł.

Do ostatniego dnia rządów Hitlera byliśmy w pracy, a pod koniec tych dwóch miesięcy w brudzie, głodzie i wielkiej nędzy, zalęgły się u nas wszy, pomimo iż baraki były nowo zbudowane i wszystko świeże. Pamiętam, jak pewnego dnia Niemcy pędzili bydło i 2 krowy wpadły do rowu i tam zostały. Po robocie chłopy i ja z nimi poszliśmy i dobiliśmy te krowy. Kto chciał to otrzymał mięso. Tylko był kłopot z gotowaniem, ale jakoś sobie poradziliśmy. Było to koło samego Głogowa, jak się wjeżdża do Bytomia Odrzańskiego - 1944/1945 roku około grudnia, stycznia.

Do domu wróciłem po 15 czerwca 1945 r. i mieszkałem tu 4 i pół roku. W 1950 r. wyjechałem do zachodniej Polski, gdzie jestem do dziś"[29].

Salamon Józef (s. Jana)

W październiku 1942 r. pięciu chłopców z Karwodrzy w wieku poborowym dostało zawiadomienie,by zgłosić się do starostwa w Tarnowie. Byli nimi: Augustyn Zygmunt, Matug Józef, Salamon Józef, Pista Stanisław i Szeląg Stanisław. Po krótkiej rozmowie przeprowadzono ich pod strażą policji do pociągu, nie mówiąc gdzie jadą. Dopiero siedząc w wagonie domyślili się, że jadą do jakiegoś zakładu w Rzeszy. Pociąg załadowany młodymi

[29] List do autorki 16. IX. 1992 r. i 3. I. 1993 r.

mężczyznami miał dwa postaje w Krakowie i (jeden dzień) w Szczękowej. Po Szczękowej postoju nie było, jechali do Blachowni koło Kędzierzyna. Blachownia była wielkim obozem roboczym, pracowało tam około 42 tysiące ludzi różnych nacji, a więc oprócz Polaków, Niemcy, Francuzi, Anglicy, Włosi, Rosjanie, Żydzi. Robotnicy każdej narodowości mieszkali w osobnych barakach. Karwodrzanie otrzymali miejsce w polskim bloku (około 100 osób), ubranie robocze, 40 dkg chleba na cały dzień i zupę na wieczór. Wyżywienie nie zmieniło się do końca, dla młodych ciężko pracujących mężczyzn - było niewystarczające, tym bardziej, że praca trwała 12 godzin.

Byli zatrudnieni na różnych stanowiskach, Józef pracował przy izolacji rur służących do przewozu benzyny. Po roku, doszedł do dużej wprawy w wykonywanej czynności i został kierownikiem 20 osobowej grupy, w której byli Anglicy, Francuzi i Rosjanie. Ten wielonarodowy zespół był różnie traktowany przez okupanta. Najlepiej było Anglikom, mieli najwięcej praw, swobodę zachowania, dużo dobrego jedzenia dostarczanego przez Czerwony Krzyż i nie byli karani (nawet za uderzenie Niemca nic im nie groziło). Co tydzień każdy z nich otrzymywał 5 kg paczkę żywnościową. Najwięcej mieli czekolady i dobrych papierosów. Papierosy były długie, więc z rzuconych niedopałków Józef obcinał końce i handlował z Niemcami. Wymieniał je na chleb. Gdy koledzy z Albionu wykryli co robi z niedopałkami - dali mu 10 paczek tych papierosów, za co miał chleb na dwa tygodnie obozowego życia.

Karwodrzanie trzymali się razem, mieszkali na jednej sali, nie utrzymywali kontaktów z innymi, bo nie było warunków i czasu. Po 12 godzinach ciężkiej pracy wracali zmęczeni i tylko chwilę relaksowali się przy grze w karty mimo, że ta była zabroniona (kara wynosiła 5 marek). Teren zakładu był pilnie strzeżony, wyjście zabronione, stąd nie wiedzieli co dzieje się na zewnątrz.

Jedną z atrakcji przymusowej izolacji w Blachowni była Wigilia i Święta Bożego Narodzenia 1942 r. - wtedy to uciekło czterech robotników (między innymi kolega z Karwodrzy, Szeląg Stanisław). Ucieczka była dobrze zaplanowana, bo wybrano porę, kiedy Niemcy najwięcej upijali się. Z późniejszych relacji Szeląga dowiedział się, że mieli wcześniej umówionego przewodnika, Ślązaka, który wsadzi ich do pociągu jadącego bezpośrednio do Tarnowa.

Kiedy niemieccy strażnicy zorientowali się, że czterech brakuje - ci już byli w bezpiecznej odległości. Szeląg Stanisław wrócił do domu, ale ukrywał się, nikt poza ojcem i matką nie wiedział, że jest we wsi. Mimo częstych wizyt żandarmerii i gestapo w domu sołtysa, nie został wykryty.

Dozorcą każdego baraku był lagier-führer. Lagier-führer polskiego baraku był Ślązak, człowiek o humanitarnej postawie, wyrozumiały, względnie

tolerancyjny, często ostrzegał przed kontrolą. Najgorszy był dozorca Rosjan, z pochodzenia Polak.

21 stycznia 1945 r. rozpoczęła się ofensywa wojsk rosyjskich. Kilka dni wcześniej, Niemcy wyprowadzili wszystkich robotników i jeńców wojennych - przede wszystkin Anglików, Francuzów i Rosjan - do lasu. Kiedy front zbliżał się do Kędzierzyna, wyruszyli w zachodnim kierunku, na Berlin. Polakom doradzili, by udali się do siebie. Józef, Piska Stanisław i Matug Józef - poszli na wschód, na Tarnów. Dwanaście dni trwał ich marsz. Do Karwodrzy dotarli 1 lutego 1945 r. Zygmunt Augustyn nie zdążył zawrócić i poszedł z 40-sto tysięczną grupą na zachód. Wrócił za około pół roku z uszkodzoną nogą.

Matug Józef

"Miałem 18 lat i zabrano mnie do Niemiec - 24. XI. 1942 r. Razem ze mną pojechali Staszek Szeląg i Zygmunt Augustyn (z Mogiły), Józek Salamon (syn Jana), Józef Szeląg (syn Wojciecha), Staszek Piska i Alojzy Kruczek z Galii. W Szczakowej w punkcie zbornym oddzielali tych mniejszych i słabszych do baorów - zabrali Józka Szeląga i Kruczka, a nas zawieźli do Blechhamer O. S. Kreis Casel Dorflager 16 (obecnie Zakłady Koksowo-Chemiczne Blachownia Śląska). Tam byliśmy jako przymusowi ochotnicy, niby na wolności. Z początku, przez 3 miesiące miałem pracę ciężką - przy dowozie różnych części żelaza do budowy fabryki, później pracowałem jako ślusarz-monter i pomocnik spawacza. Ogólnie na robotę nie narzekałem, tylko wyżywienie (było) bardzo kiepskie i te naloty z bombardowaniami. Po miesiącu, we wigilię Bożego Narodzenia Staszek Szeląg uciekł.

Tam pracowało około 45 tysięcy ludzi, jakimi Hitler dysponował. Byli też więźniowie wojenni niemieccy, najgorzej traktowani jako buntownicy Hitlera, więźniowie Anglicy, Francuzi, z Belgii, Ruscy, Żydzi i polscy cywile. Polaków tam było najwięcej. Każda norodowość była w oddzielnym lagrze. W 1945 r. po wyzwoleniu w styczniu, wróciliśmy z Niemiec pieszo, bo nie było żadnego środka lokomocji, szliśmy pieszo 10 dni. Gdy wróciłem do domu, powitano mnie przykrą wiadomością - mina rozszarpała mojego brata Stasia (15 lat), zginęli z Jękotem (sąsiadem) przy moście na Białe. Ojciec zaraz powiedział: "Jeden syn zginął ale drugi wrócił zdrowy"[30].

Szeląg Józef

Kiedy skończył 18 lat zabrano go na przymusową pracę do Niemiec. Otrzymał kartę poborową, stanął przed komisją w Tarnowie i usłyszał "gut". Za kilka dni otrzymał kartę zobowiązującą do wyjazdu. W Tuchowie rozka-

[30] List do autorki 9. X. 1992 r.

zano wsiąść do towarowego wagonu i pociąg ruszył w stronę Tarnowa, a następnie Krakowa. Nie czuł się osamotniony, bo jechali z nim starsi koledzy: Iwaniec Jan, Szeląg Stanisław, Matug Józef, Kruczek Alojzy, Salamon Józef, Piska Stanisław, Augustyn Zygmunt. W Krakowie postój trwał kilka dni, byli jeszcze raz badani przez lekarzy niemieckich i prześwietlani. Był listopad 1942 r., rozebrani do pasa, zmarznięci - cieszyli się, że zimno może im zaszkodzić i wynik będzie korzystny dla nich. Niestety, tylko jeden otrzymał kartę czerwoną - Jan Iwaniec.

Kiedy wracali do pociągu czwórkami, przechodnie robili im miejsce, by mogli skorzystać z ucieczki i zniknąć w tłumie. Kilku spróbowało, ale skatowani przez Niemców uciekinierzy, zniechęcili innych.

Następny postój był w Szczakowej, zaprowadzono ich do baraków, gdzie dokonano następnej selekcji, część została, pozostali na drugi dzień pojechali dalej. Zastał on i Alojzy Kruczek. W czasie pierwszego dnia pobytu w Szczakowej, chłopcom chciało się pić i poprosili o zezwolenie pójścia do rzeki. Dziesięciu nie wróciło. Cały tydzień trwał postój (tych, których zostawiono). Józefowi przyzwyczajonemu do codziennej pracy w gospodarstwie - bezczynność dawała się we znaki. Na trzeci dzień rano zaczął chodzić w kierunku lagru niemieckiego. Obserwujący go strażnik myślał, że chce uciekać, kiedy zapytał o co chodzi, ten odpowiedział, że nudzi się. Niemiecki dozorca dał mu taczki i polecił wozić węgiel. Otrzymał za to śniadanie i obiad. Podstawowym pokarmem (w baraku) - na wszystkich posiłkach - była kapusta, karpiele i ziemniaki i to wszystko w małej ilości. Dlatego był zadowolony z dodatkowej pracy i posiłku. Na drugi dzień strażnik zaproponował, by przyszedł do pracy z kolegą. Tak zrobił, zwerbował kolegę z Zabłędzy. Wracał wieczór do baraku syty i z dużą ilością chleba, którym podzielił się z kolegami.

Po tygodniu zabrano ich do baorów. Szli do małej stacyjki na piechotę, przez pola. Wsiedli do pociągu i zatrzymali się w Nysie, tam też nocowali. Rano odbył się "arbajcamt" - Niemcy przyszli wybierać do pracy. Jeden starszy zapytał, kto umie pracować końmi. Józef zgłosił się (ojciec miał parę koni), pokazując przy tym zaświadczenie ze szkoły rolniczej. Drugi młodszy zapytał, kto umie doić krowy - też zgłosił się. Niemieccy rolnicy zaczęli sprzeczać się o niego. Ale młodszy miał pierwszeństwo, bo gospodarstwa hodowlane były preferowane przez władze III Rzeszy. Zabrał go ze sobą na stację, wyciągnął z plecaka chleb z masłem i poczęstował, następna porcja była już z kiełbasą.

Przyjechali do Greizau. Tam oświadczył mu, że dopiero jutro po południu będzie dojenie krów i obrządek. O wyznaczonej porze przyszedł do obory, dał Józefowi "miękkie" krowy. Ten wydoił osiem. Gospodarz sprawdził i wyraźnie był zadowolony. Do maja 1943 r. był na tym gospodarstwie. Po-

nieważ właściciel musiał iść na front na Ukrainę, czynności za niego wykonywał zarządca Stachowski. Został jednak zwolniony (bez zgody gospodarza sprzedał sąsiadowi cztery zacielone krowy) i znalazł pracę w innym ładnym dworze. Tam też zaprosił Józefa do oglądnięcia gospodarstwa. Karwodrzanin był zaskoczony, że tamtejsza ludność mówi po polsku, myślał, że wszędzie są Niemcy. Stachowski załatwił mu pracę w swoim gospodarstwie, a kiedy trzeci raz przeprowadził się, również zabrał ze sobą Józefa - do Sztolcmic koło Opola.

Przymusowy pobyt u niemieckich rolników nie był ciężki, traktowano go dobrze, nie chodził głodny i miał kontakty z rodakami pracującymi w tych gospodarstwach. Najwięcej radości sprawiało wyjście do kościoła. Jeden raz w miesiącu odprawiano mszę w języku polskim, wtedy to spotykali się Polacy z całej okolicy. Bardzo ciekawie wyglądały kazania. Nie były głoszone z tradycyjnej ambony, ale ksiądz wchodził do ławek, gdzie siedzieli młodzi Polacy i rozmawiał z nimi. Również po zakończeniu nabożeństwa wychodził z kościoła i rozmawiał z nimi.

Pod koniec wojny wojsko zabrało krowy i nie było pracy. Zbliżał się front, rolnicy chcieli uciekać do Niemiec. Gospodarz, u którego Józef pracował ostatnio, miał teściową w Sudetach i tam wyjechali razem. W maju 1945 r. oswobodzili ich Rosjanie. Wracali stamtąd na piechotę, trzy dni szli do Nysy. Józef niósł ze sobą 5 litrów spirytusu (teściowa gospodarza prowadziła gorzelnię). Przed Nysą pytali polskich żołnierzy jak dostać się do Tarnowa. Za spirytus zgodzili się odwieźć ich "foszpankami" - niemieckimi furmankami do Opola. W drugim dniu jazdy, przy moście na Odrze zatrzymali ich Rosjanie i kazali złożyć broń. Nikt broni nie złożył, wszystkich zabrano na komendę. Spędzili tam całą noc. Rano niemieckim furmanom polecono iść do domu, a Polaków ustawiono czwórkami na podwórzu, pojedynczo wzywano do środka i sprawdzano dokumenty. Józef nie miał dokumentów, podał swoje dane personalne i wyszedł. Był zaskoczony, bo inni zostali w środku. Pojechał końmi (pozostawionymi przez niemieckich woźniców) do Opola. Nie dojechał do miasta, gdyż na rogatkach stali Rosjanie i zabrali konie.

Do stacji doszedł pieszo. Wszedł - wraz z innymi - do pociągu towarowego do którego był doczepiony wagon osobowy. Jednak Rosjanie wyrzucili ich stamtąd, gdyż wagon ten był przeznaczony na części maszyn wywożonych z Niemiec. Z Opola do Krakowa jechał na węglu, podobnie z Krakowa do Tarnowa. Do Karwodrzy wrócił piechotą przez Górę Marcina.

Solarz Tadeusz

Od września 1939 r. ciężko pracował na roli, gdyż był najstarszy z braci (a posiadali 17 morgów pola). Poza tym obowiązkowo jeździł po drzewo do lasu, czy po cukier do Tarnowa dla Niemców mieszkających a Karwodrzy.

Przewoził Żydów do getta w Tuchowie. Podobnie jak jego rówieśnicy (Salamon Józef i Szeląg Józef), dostał wezwanie do gminy na komisję poborową, z dodatkową informacją, że w razie nie zgłoszenia się rodzina będzie wysiedlona. Nie zgłosił się w wyznaczonym terminie. Siedząc na poczekalni, skorzystał z pomocy brata Kazimierza i przez otwarte okno uciekł. Tego samego dnia wieczorem złapała go policja tuchowska i odstawiła do Tarnowa. Tam został skierowany do pracy w Niemczech.

Jechali przepełnionym pociągiem do Krakowa. W grodzie Kraka byli dwa dni, mieszkali w zatłoczonych barakach. Nie podobało mu się to lokum, było brudno i ciasno, dlatego spacerował po korytarzu. Został jednak zmuszony do wejścia do środka przez uderzenie pałką w głowę. Po kąpieli oraz dezynfekcji ubrania i butów przygotowano ich do dalszego transportu: dostali suchy prowiant (15 dkg kiełbasy i 1/4 chleba) i ustawiono ich czwórkami. Za każdą trzecią czwórką szli policjanci i tak maszerowali przez miasto w stronę dworca. W wagonie mieli siedzące miejsca, ale czuli się skrępowani, bo na początku i końcu wagonu stał policjant. Pilnujący ich - wyszli dopiero na Śląsku. Odtąd jechali sami. Pod wieczór maszynista zwolnił bieg pociągu, dużo dziewcząt i chłopców wyskoczyło. Tadeusz też chciał uciec. Kiedy pomyślał o prześladowaniu rodziny i zobaczył, że skaczące dwie dziewczyny zostały schwytane przez okolicznych mieszkańców - zrezygnował. Dojechali do miasta (nie pamięta nazwy), gdzie znów była kąpiel i dezynfekcja, tym razem ostatnia. Na następnych postojach na terenie Niemiec wysiadało po kilka osób i zostawało zatrudnionych.

Tadeusz dojechał do Bawarii do miasta Lichtenfels. Do wagonu wszedł Niemiec, wybrał 10 chłopców - między innymi jego - zaprowadził do "arbajcamtu", gdzie spisano dane personalne. Zabrano ich do pracy na kolei i ulokowano w nowych barakach, do których wniesiono sienniki wypchane wiórkami z drzewa. To były ich tapczany. Na drugi dzień poszli do pracy - zrzucać węgiel z wagonów na plac. Trzy dni pracowali przy tym węglu. W czwartym dniu pobytu złapał go za kołnierz jakiś Niemiec i pytał (przez tłumacza) dlaczego mu się nie kłania. Tadeusz odpowiedział, że go nie zna. Po wyjaśnieniu, że jest to zarządca, przeprosił go i pozdrowił. Ta postawa Polaka spodobała się Niemcowi i był wobec niego miły (innych bił po twarzy). Zarządca skierował go do pracy przy czyszczeniu pieców w lokomotywach. Było mu bardzo ciężko, bo nie znał niemieckiego. Przez trzy dni pracowali z nim inni, w czwartym dniu został sam. Praca była odpowiedzialna, polegała nie tylko na czyszczeniu przewodów parowozu, ale też na

skierowaniu lokomotywy na odpowiednią zwrotnicę. Pracował tam sześć miesięcy, później wrócił do ładowania węgla na parowozy. Przy tej czynności był również zatrudniony pół roku. Następnie został palaczem parowozu (palaczami byli Polacy a maszynistami Niemcy). Na parowozie jeździł do końca wojny.

W Lichtenfels było około siedemdziesięciu Polaków. W wolnym czasie spotykali się, grali na akordeonie, zapraszali polskie dziewczęta. Tam właśnie Tadeusz poznał swoją żonę.

Wyżywienie miali dostateczne, chociaż czasem zjedliby więcej. Dostawali bony żywnościowe, za które otrzymywali produkty spożywcze. Czasem właścicielka sklepu dawała im więcej niż było na kartce.

Pod koniec wojny praca stała się uciążliwa, wojska alianckie nieustannie bombardowały miasto, a ściślej obiekty wojskowe. W Meiningen zastał ich nalot, uciekli z parowozu nad rzekę, na tory rzucono bombę i ich parowóz dostał 67 strzałów. Wrócili na piechotę okrężna drogą. Ostatni wyjazd lokomotywą odbył - do Witeburk. Po 5 godzinach czekania na bocznicy zasnął. Obudził go huk, wyskoczył z lokomotywy i schował się do stojącego obok warsztatu. Pamięta, że przykucnął pod ścianą, później nie wie, co się stało. Wieczór odzyskał przytomność - obudzili go sanitariusze w schronie wojskowym. Czuł ogromny ból, był cały obolały, miał złamane żebra i wysoką temperaturę. Okazało się, że było to największe bombardowanie miasta, o godzinie 12^{13} zatrzymały się wszystkie zegary. Wniesiono go do sanitarki i znów stracił przytomność, nie wie jak długo to trwało. Ocknął się w nocy w szpitalu wojskowym. Poczuł silny głód, ale nie otrzymał jedzenia, tylko trochę kompotu i zastrzyk nasenny. Rano lekarz polecił wykąpać go i zmienić pościel. W lazarecie był trzy dni. W czasie nalotów, rannych na łóżkach przenoszono do schronu szpitalnego, który znajdował się w podziemiach (około 10 pięter niżej). Pamięta kilka takich przenosin. Dalsze leczenie odbywał w szpitalach dla obcokrajowców, który mieścił się w barakach, w gorszych warunkach niż poprzedni. W czasie nalotu wyleciały wszystkie szyby.

Po dwóch tygodniach pobytu w tym szpitalu wrócił do Lichtenfels. Koledzy byli przerażeni jego wejściem, myśleli, że zginął i że duch jego ukazał się (pokazywali mu później zdjęcia podpisane "świętej pamięci").

Po powrocie ze szpitala jeździł jeszcze dwa tygodnie, ale ciągłe naloty uniemożliwiały jazdę, bombardowano parowozy. Po ostatnim nalocie wrócił pieszo, z wojskiem. Był kwiecień 1945 r. zbliżał się koniec wojny. Wojsko niemieckie uciekło z miasta, wysadzając po drodze tory i mosty. Do Lichtenfels wjechały czołgi alianckie. Po pięciu dniach alianci zaczęli grupować przymusowych robotników - w tym samym biurze, w którym ich rejestrowano przed rozpoczęciem pracy. Każda narodowość miała inny obóz. Ponie-

waż było ciasno, przeniesiono ich do większej placówki w byłych koszarach wojskowych w Koburgu, a następnie na poligon. W ostatnim miejscu pobytu oprócz Polaków byli Węgrzy. Po dwóch miesiącach przekwaterowano ich do Asenfurburgu nad Menem. Tam obowiązywała kwarantanna, ale kto chciał wyjechać szybciej, mógł to zrobić.

Przeżywał rozterkę, zastanawiał się co zrobić, gdyż 22 marca 1944 roku otrzymał od brata Kazimierza list informujący o wymordowaniu rodziny. Został w obozie przejściowym jeszcze rok. Tam, ożenił się i urodził mu się syn. Zdecydował się wrócić do rodzinnego domu. Przyjechał do Karwodrzy 20 października 1946 r.

Salamon Zofia

W marcu 1943 r. władze okupacyjne poleciły sołtysowi Karwodrzy dostarczyć określoną ilość ludzi do pomocy w prowadzeniu gospodarstw w Niemczech. Mieli być młodzi, zdrowi i silni. Sytuacja była kłopotliwa, kogo wyznaczyć na ten wyjazd? Zdecydowano, że z domu w którym jest kilka osób. Los padł na Zofię. Była jedną z sześciorga rodzeństwa, dobrze zbudowana i wyglądała na więcej niż 16 lat. Ponieważ informacja szybko dotarła do rodziny, matka (Stefania Salamon) chciała córkę uchronić przed wywozem. Postanowiła ją ukryć w Piotrkowicach u bogatego gospodarza (pomagała mu w prowadzeniu gospodarstwa). Po tygodniu, kiedy uważała, że niebezpieczeństwo minęło, wzięła córkę z powrotem.

W ostatnią marcową niedzielę - jak wspomina Zofia - w nocy, oświetlono nagle dom i weszła do niego granatowa policja z Tuchowa. Rozkazano Zofii iść ze sobą. W Tuchowie załadowano ją do pociągu i z kilkadziesięcioma dziewczętami i chłopcami - odjechała do Krakowa. Tam przez trzy dni gromadzono ich w barakach (około 40 tasięcy). Wszystko to przerażało młodą dziewczynę, która nigdy nie opuszczała rodzinnej wioski, jak również nigdy nie jechała pociągiem.

W drugim dniu pobytu w Krakowie dotarła do niej matka ze znajomym gospodarzem z Piotrkowic. Rozmawiano na osobności i zaplanowano ucieczkę Zofii. Miało się to odbyć następująco: kiedy mieli być prowadzeni przez rynek krakowski (4 osoby w szeregu a po bokach policja), w pewnym momencie miał podejść do Zofii żołnierz niemiecki i położyć jej rękę na ramieniu. Na ten znak miała odłączyć się od szeregu i wejść między krakowskie kwiaciarki. Wszystko odbyło się zgodnie z planem, ale Zofia nie uciekła. W ostatniej chwili pomyślała o represjach, jakie mogłyby (za to) spaść na rodzinę lub na całą wioskę. Gdy wchodziła do pociągu (towarowego) zobaczyła jeszcze raz matkę, jednak nie chciała kontaktować się z nią, by nie pogłębiać żalu rozstania. Pociąg jechał w kierunku niemieckiej granicy, kiedy zatrzymał się w lesie, wiele dziewcząt i chłopców uciekło. Mi-

mo namowy koleżanek, drugi raz nie skorzystała z okazji ucieczki, znów pomyślała o cierpieniu innych za ten czyn.

Jechali tydzień przez Niemcy w kierunku granicy francuskiej. W każdym większym mieście pociąg zatrzymywał się, młodzież polską wyprowadzano z wagonów do restauracji, robiono zdjęcia (!) i wsadzano z powrotem do pociągu. Postoje te wykorzystywano na zabiegi higieniczne - dezynfekcje odzieży, strzyżenie włosów i kąpiel. Odbywało się to w następujący sposób: nagie dziewczyny prowadzono szeregiem między nagimi chłopcami, którzy w tym momencie odwracali głowy.

Część młodzieży zostawiono w tych miastach do pracy. Zofia i jej koleżanki dojechały do Pucbach koło Trewiru. Pod eskortą policji zaprowadzono je do ratusza miejskiego. Tam podeszła do niej Niemka, której polska dziewczyna spodobała się, gdyż wyglądała na przydatną do pracy w gospodarstwie i powiedziała, żeby z nią poszła. Przyprowadziła ją do dużego dwupiętrowego domu znajdującego się przy głównej ulicy.

Rodzina do której przyszła, składała się z poznanej w ratuszu Niemki - gospodyni, kulawego gospodarza - pełniącego funkcję w zarządzie miejskim i trojga dzieci: dziewczynki w wieku 13 lat oraz dwóch chłopców mających 15 i 17 lat. Rodzina ta była kulturalna, grzeczna wobec siebie i Zofii. Wszyscy byli zatrudnieni w prowadzeniu 30 ha gospodarstwa. Dom stał przy głównej ulicy miasta, ale z tyłu znajdowało się wejście do zabudowań gospodarskich i na pole. Hodowano 20 krów - które doili ręcznie (gospodyni, Zofia i dwóch synów), i cztery konie araby (którym uprząż ubierała córka gospodarzy).

Mimo, że chlebodawcy byli wyznania ewangelickiego, Zofię na drugi dzień zaprowadzono do katolickiego księdza. Ten niemiecki ksiądz zaraz przeczytał po polsku dekret Piusa XII, w którym była informacja o tym, że jeśli ktoś przebywa w innym środowisku, w innym narodzie, jest katolikiem a nie ma możliwości odbyć spowiedzi, może po wzbudzeniu żalu za grzechy przystąpić do komunii św. Przez cały czas pobytu w Niemczech korzystała z tego dekretu. Ksiądz pracujący u siebie w ogrodzie, kiedy tylko zobaczył ją przechodzącą obok kościoła, kiwnął głową, zostawiał zajęcie, wchodził do kościoła i udzielał jej komunii.

Polska pomoc domowa była lubiana i szanowana przez niemieckich gospodarzy, świadczą o tym następujące fakty: kiedyś poszła do miasta bez znaczka "P" na ubraniu, zauważył to miejscowy policjant, biegł za nią aż do domu i chciał ją bić, ale gospodyni obroniła ją, karcąc go. Niedaleko miejsca jej zamieszkania znajdowała się fabryka broni, w której pracowało wielu Polaków. Zofia zapoznała się bliżej z jedną rodziną, gdzie pracował tylko mąż, a miał żonę i troje dzieci. Nie zawsze wystarczyło im na jedzenie, dlatego za zgodą gospodyni przynosiła im jedzenie.

W wigilię Bożego Narodzenia 1943 r. wszyscy Polacy przebywający w tym mieście spotkali się na uroczystości łamania opłatka. Było wśród nich wielu żołnierzy, Polaków będących w wojsku niemieckim (z poznańskiego).

W październiku 1944 r. nad miastem zaczęły przelatywać samoloty alianckie lecące na Berlin. Bombardowano też najbliższą okolicę, ciągle było słychać detonację. Pierwsze bomby na Pucbach spadły 8 grudnia. W nocy z 7/8 grudnia miała sen, że przyszła jej matka i powiedziała, że jak będzie ostatni alarm musi uciekać do schronu. Około południa, kiedy przygotowywała obiad z córką gospodarzy - a oni przebywali w salonie - usłyszała alarm i przypomniała sobie sen. Zbiegła szybko z dziewczynką do piwnicy (służącej za schron). Bomba uderzyła w pobliżu domu, który został uszkodzony, a właścicielka bardzo pokaleczona od rozbitych szyb. Zofię podejrzewano, że wiedziała o nalocie, uratowało ją to, że zabrała ze sobą córkę gospodarzy. Całe gospodarstwo zostało zniszczone. Odtąd naloty trwały nieustannie do kwietnia 1945 r.

W Wielki Piątek 1945 r. ludzi siedzących w schronie zaskoczyła cisza w mieście, spojrzano na fabrykę broni i zauważono na niej białą flagę. Właściciel polecił przynieść białe prześcieradła i powiesić je w oknach. Zofia wyszła na ulicę na której spotkała amerykański patrol wojskowy i czołgi z amerykańska flagą. Usłyszała, że dwóch żołnierzy mówi po polsku i podeszła przywitać się z nimi. Wybawicieli witała z umiarkowaną radością. Niedługo potem zauważyła na ulicy ogłoszenie (w różnych językach) informujące o punktach zbornych poszczególnych narodowości. Kiedy wróciła do domu oświadczyła, że wyjeżdża. Właścicielka zaczęła płakać, zatrzymywała ją, mówiła, że w Polsce są bolszewicy. Ona jednak postanowiła jechać do Polski: do matki i najbliższych.

Zgromadzonych Polaków przewieziono samochodem do lasu, gdzie niedawno jeszcze mieli obóz Hitler-Jungen. Przebywali tam około miesiąca. W maju przewieziono ich do koszar wojskowych. Pobyt w koszarach trwał od maja do listopada . Tu spotkała swojego kuzyna - jeńca wojennego - Józefa Kowalskiego. Spostrzegła go od razu, ale nie była pewna czy to on, gdyż nie widziała go 6 lat. Nie odważyła się sama podejść do niego, bo zawsze był w towarzystwie innych. Po miesiącu wysłała list do domu, a kiedy adresat i nadawca byli odczytywani przez megafon, wtedy Józef usłyszał jej imię i nazwisko i skontaktował się z nią (wypytał też znajomych jak się sprawowoła). Odtąd spotykali się codziennie, czuła, że ma rodzinę. Józef pracował, za co otrzymywał dobre jedzenie i słodycze - Zofia mogła wreszcie zjeść czekoladę (amerykańską).

W obozie oprócz bloków mieszkalnych (osobno kobiety, mężczyźni i rodziny) była też kaplica, biblioteka, kuchnia, administracja. Każdy z mieszkańców pełnił dyżury w poszczególnych jego częściach. Organizacja życia

kulturalnego w koszarach - obozie była bardzo dobra (o czym relacjonował J. Kowalski w I rozdziale).

W listopadzie 1945 r. Polacy otrzymali karty zgłoszeń, na których mogli wpisać kraj w którym chcieliby zamieszkać. Były podane trzy:Stany Zjednoczone, Niemcy i Polska. Zofia wybrała Polskę mimo, że straszono bolszewizmem.

Malicka Genowefa

"26 maja 1943 r. pasłam bydło, kiedy przyjechała samochodem policja. Kazali mi bydło zaprowadzić do stajni, a mnie w tym co byłam zawieźli do Tuchowa i zamknęli w więzieniu. Rodzice przyszli do Tuchowa i przynieśli mi ubranie. Na drugi dzień zaprowadzono nas do pociągu i zawieziono do Tarnowa. Tam znów byłyśmy więzione. Było nas 23, same młode dziewczyny. Zorganizowano nam kąpiel i badania lekarskie, a po obiedzie otrzymałyśmy trochę żywności i zaprowadzono nas do pociągu. Jechałyśmy pośpiesznym pociągiem całą noc. Przed południem, na drugi dzień, już byliśmy w Berlinie. Tam czekali na nas farmerzy dworu w Witenberge nad Elbą. We dworze tym było już 80 Polek - razem z nami 103 osoby. Mieszkałyśmy w barakach i spały na piętrowych łóżkach. Każda miała małą szafkę koło łóżka. Kuchnia była wspólna, gotowali dla nas zupy w kotle - co nie daj Boże, ale jak głód dokuczy, to wszystko się zje. Mnie z domu rodzice przysyłali dużo żywności. Po tę zupę stawaliśmy w kolejce, rozdzielano ją do miseczek. Posiłki spożywałyśmy we wspólnej jadalni.

Pracowałyśmy sześć dni w tygodniu po dziesięć godzin dziennie. Do pracy rano zawozili nas otwartymi polowymi wozami, a na obiad przywozili z powrotem. Jak robota była bliżej to szłyśmy na nogach. Jak przyjechałyśmy to sadziłyśmy całymi dniami kapustę, kalafiory a później przerywały buraki. Następnie były żniwa, w jesieni kopanie ziemniaków i buraków. W zimie jechałyśmy ścinać drzewo na opał i trzcinę na plecienie koszy. Naprawiałyśmy też drogi. Tak przerobiłam dwa lata. W tym czasie zapoznałam mojego męża.

Jak wojna się skończyła nikt nie chciał wracać do Polski, do komunistycznego rządu. Zabrali nas ze dworu do wojskowych koszar i tam czekaliśmy na emigrację. Ja byłam w koszarach w Branszajgu. Wyszłam za mąż w 1945 r., a w 1946 r. miałam syna. Później nas wysiedlili do Minster. Tam zapisywano na wyjazd za granicę. Mój ś. p. Tatuś pisał, żebyśmy przyjechali do Karwodrzy, bo oni wyjeżdżają na Zachód. Ale mój mąż (z Białej Podlaskiej) nie chciał jechać do Polski. Wyjechaliśmy do Australii"[31].

[31] List do autorki 8. X. 1992 r.

Czechowska Maria

Mieszkała w Bielsku-Białej. Została sama w dużej willi (pracodawcy opuścili dom 2 września 1939 r.). Musiała iść do pracy, bo nie miała z czego żyć. Początkowo zatrudniła ją Czeszka (właścicielka sklepu) do bawienia dzieci. Niedługo była u niej, gdyż wyszło zarządzenie, że wszystkie osoby dorosłe muszą pracować w tych gałęziach gospodarki, które są potrzebne dla III Rzeszy. Czeszka doradziła jej, by nie szła do pracy do okolicznych baorów (bo są bardzo niedobrzy), ale by pojechała do Niemiec.

W kwietniu 1940 r. wyjechała pociągiem do Büchenhoff. Jechała długo (później okazało się, że pociąg robił specjalne koło, żeby robić wrażenie, że jedzie w głąb Rzeszy), a znalazła się w okolicy Gogolina. Büchenhoff było wioską w której znajdował się duży dwór i gospodarstwo. Właściciel jego - hrabia - nie zgadzał się z polityką Hitlera i musiał uciekać do Afryki. We dworze rezydował inspektor rządowy. W gospodarstwie tym było zatrudnionych około 20 kobiet polskich. Pracowały ciążko wykonując wszystkie czynności. Późną jesienią i zimą chodziły na dworzec kolejowy, by wyładowywać węgiel z wagonów. Wracały zmęczone i mocno zabrudzone. Niedzielę i święta miały wolne tylko w zimie, w lecie zaś pracowały 4 godziny. Do pracy w polu chodziły w gumowych butach (w lecie i w zimie). Dopiero po kontroli zabrano im gumowce, a otrzymały obuwie dostosowane do pory roku. Spały w dwóch pomieszczeniach (10-cio osobowych) na pryczach. Każda z nich otrzymała po dwa koce, jeden do przykrycia, drugi służył za prześcieradło.

W 1943 r. pani Maria przywiozła do siebie 10 - letnią córkę - Zosię. Z początku spały razem we wspólnej izbie, później otrzymały oddzielny pokój na strychu. Zosia pomagała matce, kiedy ta była w pracy, sprzątała i przygotowywała posiłki. W niedługim czasie sama zaczęła pracować (pasła cielęta).

Najgorsze było jedzenie, gdyby pani Maria nie widziała produktów, po których biegały szczury i koty, może by jadła. Podstawowym daniem jednogarnkowym była zupa składająca się zwykle z kaszy jęczmiennej, grochu i nie obieranych ziemniaków, lub ziemniaki na pół z wodą, zalane cuchnącą margaryną. Nie mogła tego jeść, chodziła głodna lub zwracała pożywienie. Schudła 10 kg i wypadły jej zęby. Latem i jesienią było lepiej, podczas prac polowych przy ziemniakach - kradła je, chowając do rękawów lub butów. Dopiero po powrocie z pola, przygotowywała z nich posiłek (najczęściej placki). Wystarała się o kartę żywnościową dla dziecka, Na którą można było dostać więcej niż dla dorosłego. Odtąd przestały głodować.

W wolną niedzielę szły do kościoła na górze św. Anny. Miejscowość nazywała się Dyszowice (Odertal po niemiecku), obecnie Strzelce Opol-

skie. Szły pieszo przez las około pół godziny. Msza odbywała się w języku niemieckim.

Od maja 1944 r. zaczęły się naloty, trwały codziennie od 10^{00} do 14^{00} i nocą. W nocy uciekały do schronów razem z Niemcami. Ale w grudniu 1944 r. zabroniono Polaków budzić, chowali się tylko Niemcy. Gdy nalot odbywał się w dzień uciekały do lasu. Dwunastoletnia Zofia wspomina jeden taki nalot. Pasła cielęta i barany z 10-letnim chłopcem (synem polskiej pracownicy), gdy nastąpił alarm. Zaczęli uciekać w las, biegła z nimi też Niemka, która nagle zniknęła. Znaleźli się sami w lesie, ziemia pod nimi drżała, paliła się ściółka leśna i łamały drzewa, a oni wciskali się mocno pod nie. Spadające pociski wydawały pomruk miaucących kotów. Prosiła chłopca, żeby poszli poszukać tej Niemki, lecz on odmówił. Z samolotu spadały palące się wiązki stanioli (na święta Bożego Narodzenia z ich resztek ubrała choinkę). Naloty ustały w lutym 1945r. Zbliżał się front.

Wracały do Polski. Szły pieszo cały miesiąc. Najpierw udały się do Częstochowy, później do Uniszowej - gdzie mieszkała siostra pani Marii. Tam rozchorowała się na czerwonkę i leżała dwa miesiące. Za jakiś czas wyjechała do Katowic, a następnie do Krakowa, gdzie mieszka do dziś.

V. W PRZYMUSOWEJ SŁUŻBIE DLA OKUPANTA

Przymusowe prace dla okupanta - na terenie Polski - były realizowane przez tzw. Służbą Budowlaną czyli Baudienst. Utworzona w 1940 r., obejmowała te dziedziny gospodarki, które były najbardziej przydatne okupantowi. Do Baudienstu rekrutowano młodzież męską w wieku poborowym, według ustalonych roczników. Początkowo praca trwała 3 miesiące później 6 i więcej. Uczestników obozów pracy - junaków - obowiązywał wojskowy tryb życia i najczęściej zamieszkanie w miejscu zatrudnienia. Aby zachęcić młodych Polaków do odbywania Służby Budowlanej stosowano jej reklamę w prasie. 10 października 1940 r. "Goniec Krakowski" informował: "W szkole rolniczej w Trzyciążu, pow. miechowskiego powstał wzorowy obóz pracy Polskiej Służby Budowlanej na wzór niemiecki. W obozie przebywa obecnie około 120 osób w wieku od 16-25 lat rekrutujących się ze wszystkich sfer społeczeństwa. Praca każdego junaka trwa trzy miesiące przy wynagrodzeniu 1 zł dla kawalera i 2 zł dla żonatego dziennie. Oprócz tego junak otrzymuje umundurowanie i całodzienne wyżywienie".

Również Karwodrzanie byli uczestnikami obozów pracy w latach 1940 - 1944. Pracowali w Warsztatach Kolejowych w Tarnowie (dzisiejsze Zakłady Mechaniczne), cegielni "Konstancja" i "Rudy", zakładzie krawieckim. Miejscami ich pracy był Tarnów, Czarna Tarnowska, Wałki, Pustków, okolica Nowego i Starego Korczyna. Byli zatrudnieni w parowozowni, myjni, przy budowie wałów ochronnych, naprawiali tory kolejowe, budowali baraki dla siebie i Żydów. Pracowali jako pomocnicy ślusarzy, maszynistów, krawców i rymarzy.

Obowiązkową służbę odbywali:

1. Bełzowski Mieczysław syn Gawła
2. Janura Jan syn Władysława
3. Łątka Eugeniusz syn Władysława
4. Krzemień Aleksander syn Andrzeja
5. Krzemień Edward syn Andrzeja
6. Salamon Władysław syn Marcina
7. Salamon Józef syn Franciszka

8. Stańczyk Edward syn Izydora
9. Szeląg Kazimierz syn Wojciecha
10. Świątek Antoni syn Władysława[32].

Szeląg Kazimierz

W 1940 r. dostał kartę informującą o zgłoszeniu się do obowiązkowej pracy w Tarnowie tzw. Baudiestu. Wezwania takie otrzymali też jego rówieśnicy: Stańczyk Edward i Bełzowski Mieczysław. Na drugi dzień wyruszyli do Tarnowa, piechotą przez Górę Marcina.

Skierowano go na Warsztaty Kolejowe. Wykonywał tam różne czynności: przerzucał cegłę z wagonów, składał deski, kopcował ziemniaki, zdejmował blachę, którą przywozili do próby do Warsztatów. W czasie zdejmowania tej blachy (bardzo grubej), doszło do wypadku - potłukło nogę koledze. Od tej pory nie wykonywano tej czynności.

Mieszkał w barakach koło warsztatów (kręgielnia), gdyż miał bardzo niewygodny dojazd. Jednym z dozorców baraku był Staszek Zięba ze Szynwałdu, bardzo dobry kolega (późniejszy partyzant). W miejscu pracy otrzymywał dwa razy dziennie posiłek. Śniadanie składało się z dwóch kromeczek chleba posmarowanych margaryną lub marmoladą i gorzkiej herbaty. Często z tych kromek - dyżurujący przy posiłkach - zbierali margarynę i marmoladę. Podstawowe danie na obiad stanowiła zupa z łubinu i cienka kromka chleba. Kolacji nie było. Robili ją sami z produktów przyniesionych z domu (w sobotę uciekał do domu). Jednak ciągle był głodny, nawet wybierał z koszów odpadki jedzenia po Niemcach.

Ubranie robocze otrzymywał tylko ten, kto miał bardzo zniszczone własne. Dostał je Stańczyk Edward, bo chodził w papierowym garniturze.

Zgodnie z wcześniejszą obietnicą opuścił barak po 9 miesiącach i wrócił do domu. Za niedługo zaczęły przychodzić wezwania o zgłoszenie się do biura pracy (przyszło ich sześć). Do pracy się nie zgłosił, tylko ukrywał się w bunkrze u Bełzowskiego Gawła. Skontaktował się ze znanym Ziębą Stanisławem, który zaproponował, by poszedł do tarnowskiego arbeitsamtu z dobrym jedzeniem i piciem, to wówczas załatwi zwolnienie z pracy.

Udała się z nim matka, zabrała miód i gorzałkę. Niemiec bardzo krzyczał, ale sprawę załatwiono pozytywnie. Do obowiązkowej pracy już nie poszedł, musiał pomagać w gospodarstwie, bo młodszego brata zabrano do Niemiec.

---

[32] W książce ewidencyjnej Warsztatów Kolejowych w Tarnowie w latach okupacji niemieckiej znajduje się tylko nazwisko Łątka Eugeniusz zatrudniony od 20 kwietnia 1943 r. do 4 lipca 1944 r. Jest to jedyna książka jaka ocalała z zawieruchy wojennej, pozostałą dokumentację wywieźli Niemcy

Bełzowski Mieczysław

W 1940 r. sołtys Szeląg powiadomił go, by stawił się do Baudienstu do Tarnowa. Była to jakby zastępcza służba wojskowa dla okupanta. Pracował przez 9 miesięcy w Warsztatach Kolejowych wraz ze Stańczykiem Edkiem. Mieszkali w baraku obok warsztatów. Spali na piętrowych łóżkach w sali, gdzie było około 70 osób. Jedzenie dostawali bardzo skromne: rano czarna gorzka kawa i kromka chleba posmarowana margaryną lub marmoladą, w południe zupa bez chleba, wieczorem znów kawa i chleb. Ponieważ byli ciągle głodni, urządzali "wycieczki" do domu. Nie wolno było opuszczać miejsca zamieszkania, dlatego "wypady" robili między apelami, tj. po godzinie 16^{00} a przed 5^{00} rano. Przeskakując parkan obozu szli piechotą do Karwodrzy, w domu pojedli sobie i zabrawszy podstawowe produkty żywnościowe wracali z powrotem. Noc była nieprzespana, ale przez kilka dni mieli więcej jedzenia.

Praca była ciężka, trwała od 7^{00} do 15^{00}, czasem dłużej. Najczęściej pracowali przy rowach koło torów, układali też tory, budowali bunkry i hale na terenie zakładu (ostatnie budynki Zakładów Mechanicznych - koło Białej - zbudowali oni). W obozie obowiązywał wojskowy regulamin, apel, zakaz opuszczania baraku oraz odpowiedni strój - drelichowe ubranie i drewniaki.

Od 1942 r. po zakończeniu obowiązkowej służby, ukrywał się, aby nie być wywiezionym do III Rzeszy.

Stańczyk Edward

W 1941 r. został skierowany do przymusowej pracy w Warsztatach Kolejowych w Tarnowie. Pracował 9 miesięcy. Po skończonej pracy wrócił do domu. Po około dwóch tygodniach od zakończenia obowiązkowego Baudienstu - przyszła po niego policja i zabrała do Tuchowa do więzienia znajdującego się w ratuszu. Siedział tam tydzień, a później w Tarnowie. Chcieli, żeby wyjechać do Niemiec, ale on zgłosił się do pracy w parowozowni. Był pomocnikiem maszynisty. Dojeżdżał do pracy z Tuchowa. Praca była męcząca - każda zmiana trwała od 8 do 12 godzin. Czasem zostawał nocować na kolei, bo nie zdążyłby pojechać do domu i wrócić. Wyżywienie było marne. Otrzymywali jeden raz zupę i gorzką herbatę w dowolnej ilości. Jeździł na parowozie do lipca 1944 r. Ostatnia jego jazda była tragiczna w skutkach dla maszynisty. Prowadzili pociąg z Tarnowa do Rzeszowa, ale w Czarnej Tarnowskiej maszynista został ranny (akcja partyzancka), zwolnili bieg pociągu i z pierwszej budki kolejowej zadzwonili do Tarnowa. Pociąg prowadził kierownik pociągu. Jechali wolniej niż normalnie, dojechali do stacji docelowej. Była to ostatnia jego jazda na parowozie. Wrócił do Tarnowa jako pasażer. Do pracy już nie poszedł.

Świątek Antoni

Chłopcy z roczników poborowych musieli odbyć obowiązkową pracę na rzecz III Rzeszy. W 1941 r. wraz z 40 - Polakami otrzymał wezwanie do takiej pracy. Skierowano go w okolice Nowego i Starego Korczyna - umacniał wały ochronne Nidy i Wisły. W obozie była wojskowa dyscyplina, ale raz w tygodniu można było jechać do domu w dniu wolnym od pracy tzn. w niedzielę. Pracował od rana do 5-tej popołudniu. Jedzenia było dostatecznie dużo chociaż monotonne, dlatego wyjazdy do domu urozmaicały obozowe menu.

Po siedmiu miesiącach nastąpiła likwidacja obozu, ale jego uczestnicy byli nadal zarejestrowani w arbeitsamcie, obowiązywała ich dalsza praca. Antoniego skierowano do Tarnowa na Warsztaty Kolejowe do lokomotywowni. Praca trwała długo od 7^{00} do 17^{00}, również codzienne dojazdy były męczące. Wstawał o 4^{00} rano, szedł 6 km. do Tuchowa do pociągu. Powrót był jeszcze gorszy, pociągi osobowe często "wypadały" z trasy, gdyż musiały jechać towarowe i wojskowe. Wracał do domu koło północy. Wytrzymał jeden miesiąc i zdezerterował, nie poszedł już do lokomotywowni. Po dwóch miesiącach przyszła po niego policja. Ukrył się ale zabrano jego matkę. Syn ujawnił się. Po "wielkich krzykach" wrócił na dawne miejsce pracy. Wytrwał na nim do lipca 1944 r. W sierpniu poszedł "do lasu".

Janura Jan

W roku 1942 jako 18-letniego chłopca wezwano do obowiązkowej pracy na Warsztatach Kolejowych w Tarnowie. Pracował od godziny 7^{00} do 17^{00} - 18^{00}, jako pomocnik ślusarza. Dojeżdżał codziennie pociągiem z Tuchowa o godzinie 5^{00} a wracał często koło północy. W Warsztatach pracowali z nim Łątka Eugeniusz i Świątek Antoni. Za pracę otrzymywał symboliczne "grosze", a raz na 10 dni bochenek chleba i pół kg marmolady. W czasie pracy dostawał dwa lekkie posiłki składające się z czarnej kawy, zupy z bobu i 10 dkg chleba.

Był posądzony o dywersję, gdyż na stanowisku jego pracy zginął zegar od butli tlenowej (kolega odpowiedzialny za butlę tlenową dzielił z nim szafkę na ubranie). Otrzymał kilka "gum", kolegę zbito mocniej.

Po kontuzji nogi otrzymał III grupę inwalidzką. Mógł się swobodnie poruszać, gdyż miał kartę pracy, specjalną przepustkę i mundur kolejowy. Często ten mundur i przepustkę wykorzystywał do działań partyzanckich.

Salamon Władysław

Od 3 kwietnia 1943 r. do 5 kwietnia 1944 r. był w obozie zamkniętym dla poborowych, na przymusowych robotach. Pracował w parowozowni na kolei, myjni, w hali wagonowej oraz w cegielni "Konstancja" i "Rudy".

Mieszkał na terenie obecnego Domu Kultury "Gwiazda". W pracy i miejscu zamieszkania panował ogromny rygor, jak też niehigieniczne warunki. O godzinie 4^{00} odbywała się pobudka i mycie na dworze - niezależnie od pory roku; o 4^{30} śniadanie - na które składało się kawa z żołędzi i 20 dkg chleba; w południe przywożono do pracy zupę z buraków, a wieczorem dostawali kaszę jęczmienną.

Pracowali ciężko od 6^{00} do 18^{00}. W pracy chodzili wszyscy w czerwonych spodenkach bez koszuli (oszczędzano na ubiorze). Spali na siennikach wypchanych drewnianymi wiórami (nie zmienianymi ani raz). Roztarte wióra były dobrym siedliskiem pcheł, których ilość była niemożliwa do zliczenia. Wchodząc do sypialni zgarnywali je rękami z nóg. Chodzili głodni więc radzili sobie jak mogli - kradli z niemieckich wagonów cukier i słodycze.

Jeden raz w tygodniu szli obowiązkowo do kina, by oglądnąć dziennik i podziwiać zdobycze Hitlera. Między kwietniem 1943 a 1944 r. oglądali film o Katyniu. Już wtenczas znali prawdę o zbrodniach Stalina. Również jeden raz w tygodniu (tylko w niedzielę) mogli dostać przepustkę na kilka godzin. Nie otrzymał ich za dużo, więc uciekał w sobotę wieczorem. Szedł pieszo przez Górę Marcina do Karwodrzy, w domu niewiele spał ale zjadł więcej niż w Tarnowie i wracał w niedzielę rano.

Za nieposłuszeństwo lub spóźnianie się do obozu odbierano przepustki lub bito. Często korzystał z tej pierwszej możliwości, był "niepokorny", należał już do konspiracji i czekał na wezwanie. Myślał o ucieczce, jednak trwał do końca, by nie narażać rodziny na przykrość.

Widział dużo zbrodni, kilkakrotnie uniknął śmierci, był świadkiem pierwszego transportu Żydów do Oświęcimia. Wrócił 5 kwietnia 1944 r., właśnie rozpoczęła się akcja "Burza".

Krzemień Edward

W latach 1942 - 1944 był przymusowym pracownikiem zakładu krawieckiego w Tarnowie, szyjącego ubrania dla robotników obozów pracy. Zakład znajdował się przy ulicy Kaczkowskiego (nie pamięta numeru). Pracował od 7^{00} do 15^{00} dojeżdżając pociągiem z Tuchowa. Praca była ciężka, gdyż szyto nie tylko ubrania, ale łatano też stare, brudne koce. Maszyny często się psuły, w hali było ogromne zapylenie. Nad szyjącymi czuwał dozorca, Ślązak, który za zwolnienie obrotów maszyny groził rewolwerem. Kiedy zaczynała się ofensywa rosyjska - zaryzykował i nie stawił się do pracy. Poszedł do "okopów".

Krzemień Aleksander

18 września 1943 r. skierowano go do przymusowego obozu pracy w Tarnowie. Początkowo mieszkał przy ulicy Narutowicza (tu, gdzie obecnie znajduje się sklep "Zdrowa Żywność"). Pracował przy budowie baraków przeznaczonych dla uczestników obozów pracy. Baraki te były zlokalizo-

wane niedaleko dworca kolejowego, za torami i Wątokiem, na terenie ówczesnego boiska sportowego. Prace wykończeniowe przy budowie tych baraków polegały na umacnianiu dachu i pokrywaniu go terem (był pokryty papą). Gdy tylko barak wykończono przeprowadzili się do niego.

Mieszkali w 40 osobowych salach, sale nie były duże, ale umieszczono dużo prycz, ustawiając je w trzy piętra. Do przykrycia otrzymali jeden koc, dlatego w zimie, całą noc "dyżurny" pilnował, by paliło się w żelaznym piecyku. Jedzenie było marne, rano otrzymywali czarną kawę słodzoną sacharyną, na obiad zwykle danie jednogarnkowe.

Pracowali od 6^{00} rano do późnych godzin popołudniowych. Przed pracą, na placu przy dworcu kolejowym (dziś znajdują się tam toalety) odbywali zbiórki. Tam otrzymywali narzędzia pracy: łopaty, kilofy, oskardy i udawali się na wyznaczony odcinek. Najczęściej były nimi tory kolejowe na trasie Tarnów - Dębica. Przykręcali szyny do podkładów lub sypali kamienie na te podkłady. W zimie pracowali w parowozowni, ładując węgiel na lokomotywy. Byli też zatrudnieni w magazynie ubrań i rękawic, który znajdował się na Rzędzinie w niewykończonym kościele Najświętszego Serca Jezusa.

W obozie panował wojskowy rygor. Komendantem obozu był Niemiec a zastępcą Polak, dozorcami byli też Polacy (Wójtowicz, Smoła).

W lipcu 1944 r., kiedy usłyszeli o zbliżającym się froncie - wszyscy uciekli. Aleksander ukrywał się w Karwodrzy.

Salamon Józef

Za uchylenie się od Baudienstu został skierowany do obozu karnego w Pustkowie koło Dębicy. Praca polegała na budowaniu baraków dla Żydów. Panowały tam okropne warunki mieszkaniowe, marne jedzenie i rygor więzienny. Dodatkowym czynnikiem, stresującym - był codzienny widok zabijania Żydów. Po 6 miesiącach został zwolniony z obozu. Niedługo przebywał w Karwodrzy, gdyż został wyznaczony na przymusowe prace do Niemiec[33].

Łątka Eugeniusz

W 1942 r. skończył szkołę zawodową w Tarnowie i otrzymał nakaz pracy w Mielcu. Ponieważ był za daleko od domu, poprosił o przeniesienie do Tarnowa. Skierowano go na Warsztaty Kolejowe. Pierwszym miejsce jego pracy była hala wagonowa, później parowozownia. Dojeżdżał codziennie z Tuchowa, wstawał o 4^{30} a wracał o 19^{00} lub 24^{00} . Ciężka praca trwała osiem godzin. W lipcu 1944 r. nie zgłosił się już do Warsztatów, ale musiał się ukrywać. W sierpniu zabrano go do okopów.

---

[33] Informacji o pobycie w Pustkowie udzielił Salamon Władysław i Filar Wojciech, który odwiedzał Józefa. Widział go kopiącego rów przy 30^{0} mrozie, spoconego, bez czapki na głowie

VI. OKOPY

"Na początku 1944 r. cofająca się armia niemiecka przed armią bolszewicką zaczęła na Sanie budować "Wał wschodni" na linii Tarnopol-Brody-Łuck-Kowel. Każda wieś miała wyznaczoną ilość osób, które musiały budować ten wał. Jeśli nie zgłoszono się, była kara 300 zł. za każdego, który nie pojechał. Ludzie jednak byli potrzebni, dlatego urządzano "łapanki". Po kilkumiesięcznych walkach nad Wałem, zaczęto się cofać na Zachód za Wisłokę. Region Tarnowa stał się miejscem budowy szańców, wałów i okopów obronnych. Do prac tych używano miejscowej ludności, która była angażowana przy "okopach" codziennie włącznie ze świętami i niedzielami. Kto się uchylał,, bywał zamykany w obozie karnym i dowożony do pracy"[34]. Ten fragment kroniki parafialnej w Piotrkowicach - informuje o okolicznościach budowania wałów obronnych.

Latem 1944 r. - w związku z nadchodzącym frontem - okolice Tuchowa stały się terenem budowy umocnień i fortyfikacji obronnych. Prace przy tych umocnieniach polegały na kopaniu rowów strzeleckich i przeciwpancernych, budowaniu zasieków z drutów kolczastych, bunkrów i schronów dla samochodów i czołgów.

Niemieckie władze administracyjne wydały szereg zarządzeń zmuszających okoliczną ludność do budowy tych umocnień - nazywanych powszechnie okopami. Burmistrzowie gmin i sołtysi wsi otrzymali rozkaz zatrudnienia przy okopach wszystkich dorosłych mieszkańców ze swoich terenów. W przypadku nie zgłoszenia się, grożono przykrymi sankcjami dla rodziny. Każdy musiał posiadać kartę pracy tzw. " Arbeitskarte Befestigungsbau Venus". W innym przypadku był zamykany w lagrze. Do lagru zabierano też za spóźnianie się do pracy, uchylanie się od niej lub nierzetelne wykonywanie czynności. Jeden z obozów karnych w Tuchowie znajdował się koło Białej, na dawnym polu koronacyjnym, w Karwodrzy - w szkole. W Karwodrzy zamykani byli "oporni" z sąsiednich miejscowości, zaś w Tuchowie z Karwodrzy. W lagrze tuchowskim przebywali: Władysław i Tadeusz Boroń, Emilia i Genowefa Iwaniec, Stefania Filar, Emilia Kapka, Józef Kras, Eugeniusz Łątka.

---

[34] Kronika parafialna w Piotrkowicach

Praca przy okopach była bardo ciężka, wykonywana w każdy dzień tygodnia włącznie z niedzielami i świętami. Trwała od godziny 7^{00} do 15^{00} a nawet dłużej. Często za rodziców pracujących na roli, do okopów przychodziły 13-letnie dzieci. Po zbiórce i sprawdzeniu obecności udawano się do pracy na wyznaczonym odcinku. Niemcy nie sprawdzali dokładnie personalnych, interesowała ich ilość robotników. Obecność sprawdzał mieszkaniec wsi - Franciszek Salamon.

Biuro pracy okopów mieściło się w szkole w Karwodrzy, a miejscem zbiórek był plac koło Łątki Władysława. Na podwórzu Łątki znajdowała się też kuchnia polowa, w której gotowano posiłki dla dozorców okopów i mieszkańców lagrów.

Terenem pracy dla Karwodrzan była Łękawica, Trzemesna, Tuchów, zaś dla Zalasowian, Zabłędzan i Łękawiczan - Karwodrza. Cała wieś była poprzecinana podwójnymi transzejami, nie można było przedostać się do pola (był zakaz przechodzenia przez rowy). Również w lesie znajdowały się liczne bunkry i zasieki.

Jedną z milszych chwil w czasie trwania okopów był przydział żywności. Każdy zatrudniony otrzymywał raz w tygodniu (w sobotę) takie produkty spożywcze jak: jeden mały bochenek chleba, margarynę, sztuczny miód, 25 dkg marmolady, ćwiartkę wódki i paczkę papierosów. Produkty te rozdawano na kartki u Wojciecha Jelenia, a później u Sadko Józefa.

Większość ludzi wytrzymywała ciężką pracę, ale dla kilku skończyła się tragicznie. Zapoznajmy się ze wspomnieniami związanymi z tą pracą.

Sadko Józef

Pierwsze zebranie informacyjne o budowie okopów odbyło się latem 1944 r. na placu przed dworem (po prawej stronie drogi). Niemiecki oficer poinformował zebranych, że w przyszłości będzie tędy przebiegał front, dlatego kopanie rowów obronnych i bunkrów jest konieczne i obowiązkowe. Kto nie będzie uczestniczył, spotka go kara, taka jaka obowiązuje w czasie wojny czyli śmierć.

Do wsi przybyli Niemcy dozorujący prace przy okopach. Udali się najpierw do sołtysa, by zorganizował odpowiednią ilość ludzi. Sołtys polecił - Józefowi Sadko chodzić po domach i przekonywać ludzi do pójścia do okopów. Ludzie nie usłuchali go i nie przyszli. Sołtys wyznaczył kogo innego, a Sadko poszedł kopać rowy do Trzemesnej i Łękawicy (do Karwodrzy przychodzili ludzie z Zalasowej). Początkowo zbiórki odbywały się na placu koło Łątki, a później w Łękawicy, na stanowisku pracy.

Jeden raz w tygodniu - w sobotę - każdy zatrudniony otrzymywał prowiant na kartki: mały chleb, marmoladę, margarynę i ćwiartkę wódki. Sadko

został oddelegowany z okopów do rozdziału tych produktów. Wydawanie żywności odbywało się u Jelenia Wojtka, a następnie u niego w sklepie.

Salamon Jadwiga

Do okopów wyznaczona była jej matka (Józefa Kus), ponieważ była chora, Jadwiga postanowiła pracować za nią. Brała arbeits-kartę matki, szła na zbiórkę i zgłaszała obecność. Kiedy pierwszy raz poszła do okopów została wybrana do odznaczenia, jako wzorowa pracownica. Dozorujący Niemiec wybrał sześć osób, wśród nich Jadwigę i udekorował. Zaczęła tłumaczyć, że to nie ona powinna być wyróżniona, ale nic nie pomogło. Wstydziła się bardzo tego uznania.

Chodziła codziennie do pracy, również w niedzielę i święta. Wykopy kontynuowano nie zależnie od pory roku i stanu pogody, w zimie zamarzniętą ziemię rozbijano kilofami. Praca trwała od godziny 7^{00} do 15^{00} z przerwą pół godzinną na posiłek (przyniesiony z domu). Jeden raz w tygodniu każdy robotnik otrzymywał prowiant - chleb, marmoladę, wódkę i papierosy. Wykopy prowadzono na terenie Karwodrzy, Trzemesnej i Łękawicy od lipca 1944 r. do wyzwolenia.

Jania Maria

Chodziła do okopów z ojcem (Salamon Jan). Pracowała w lesie łękawickim na Galii, zaś w karwodrzkim lesie pracowali ludzie z Zalasowej. Zbiórki odbywały się koło Łątki, po sprawdzeniu obecności dozorca każdej grupy - Todt, brał swoich ludzi i szedł na wyznaczony odcinek. Każdy zatrudniony raz w tygodniu dostawał kartę żywnościową na którą mógł wziąć podstawowe produkty, takie jak chleb i marmoladę. Przydział żywności odbywał się u Wojciecha Jelenia.

Pyrda Zofia

W czasie wojny zmarła matka (ojciec wcześniej) i najstarsza 18-letnia siostra opiekowała się rodzeństwem. Młodszy od miej brat Olek chodził do okopów. Nie miał ciepłego ubrania, dlatego przemarzł i rozchorował się. Leżał najpierw w szpitalu w klasztorze oo. Redemptorystów, później przywieziono go do domu, gdzie niedługo zmarł.

Szostecki Augustyn

"Mając 17 lat zabrano mnie do kopania okopów w Karwodrzy, które ciągnęły się aż do Trzemesnej. Dla mnie była to bardzo ciężka praca. Byłem skromnej budowy, niewiele miałem sił do pracy. Tu spotkałem dobrego Niemca, który mnie rozumiał i współczuł. Nigdy mnie nie uderzył. Wieczorem wracałem do domu zmęczony, od razu szedłem spać"[35].

Szeląg Władysława

Po powrocie ze służby w Tarnowie wróciła do domu i latem 1944 r. poszła do obowiązkowych okopów (razem ze siostrą Antoniną). Pracowała z nią Jadwiga Kus, Janina Chaim, Piotrowska Katarzyna, Maria Kotłowska (Berké) ze swoją służącą Marią Wrona. We dworze odrabiały obowiązkowe prace Dominika Krzemień i Anastazja Szeląg - szyjąc dla Niemców.

Wiczkowska Maria

W 1943 r. wróciła z mężem i małym dzieckiem z majątku męża (Jastrzębie koło Lanckorony) do rodziców w Karwodrzy. W lipcu następnego roku zaczęto we wsi kopać rowy obronne. Z początku nie chodziła do okopów, ale niedługo, bo już 1 sierpnia poszła do pracy. Nie przyzwyczajona do wysiłku fizycznego, nie mogła podołać tej czynności (pomagali jej mieszkańcy Karwodrzy pracujący z nią). Po około tygodniu została przeniesiona do kuchni polowej znajdującej się koło Łątki. Gotowała jedzenie dla Niemców dozorujących prac przy okopach i mieszkańców lagrów (najczęściej była to zupa grochowa i ziemniaki). Później przeniesiono ją do dworu, gdzie szyła i naprawiała odzież Niemcom. Tą zmianę zawdzięcza matce, która przekupiła Todta - dając mu łapówkę (obraz).

Uważa, że przyczyną jej zatrudnienia przy okopach był fakt pominięcia w spisie gości - uczestniczących w jej imieninach - oficera niemieckiego. Mieszkał on we dworze w pokoju, obok którego bawili się zaproszeni goście. Nazywał się Łukasiewicz (ojciec był Polakiem), był kierownikiem okopów na terenie Karwodrzy.

Janina Leśniewicz

Dwa dni pracowała przy kopaniu rowów obronnych. Stamtąd skierowano ją do gotowania posiłków dla Niemców dozorujących robót przy okopach, a mieszkających u Franciszka Kowalskiego. Po trzech miesiącach poprosiła o przeniesienie do okopów. Powodem tej zmiany był fakt, iż Janina "wpadła w oko" jednemu żołnierzowi, który korzystał z posiłków gotowanych przez nią. Ona jednak nie chciała spoufalać się z Niemcami i wolała pójść do ciężkiej pracy.

Filar Danuta

Chodziła do IV klasy, lubiła przyrodę i podobały się jej bardzo małe zielone żabki. Najwięcej ich było w rowach przydrożnych i dopiero co wykopanych rowach strzeleckich czyli okopach. Okopy znajdowały się niedaleko domu, na ich polu. Pewnego dnia poszła w pole, weszła do okopów i

---

[35] List do autorki z dnia 9 listopada 1992 r.

zaczęła chwytać ulubione żabki. Nagle usłyszała strzały (dwa albo trzy). Wyglądało tak, jakby ktoś bliska strzelał. Wystraszyła się, wyskoczyła z głębokiego rowu i pobiegła do domu. W domu nikogo nie było. Pobiegła więc do sąsiadki i zarazem krewnej - Czechowskiej Józefy. Tam spotkała matkę i młodsze rodzeństwo. Chwilowo zapomniała o wydarzeniu w polu. Dopiero, gdy Czechowska powiedziała: Znowu strzelali, pewnie ktoś chodził po okopach! Przyznała się, że ona tam niedawno szukała żabek. Wtedy usłyszała: Dziecko, przecież by cię zabili! Nie chodź nigdy do okopów! Okazało się, że na Pająkowj Górze był punkt obserwacyjny rowów obronnych. Zabronione było chodzenie po rowach lub wchodzenie do nich i strzelano do każdego, kto nie podporządkował się temu zarządzeniu. Zdarzały się przypadki śmiertelne.

Piórkowski Kazimierz

W 1944 r. zabrali go do okopów. Miał 13 lat, ale był wysoki i sprawiał wrażenie silnego. Pracował w Łękawicy (jeden miesiąc), później na Pająkowej Górze, nastąpnie wrócił do Karwodrzy do lasu w Dębcynach. Tam kopał rowy , ścinał drzewo i robił zasieki. Obowiązkowa zbiórka dla wszystkich zartrudnionych przy kopaniu fortyfikacji obronnych odbywała się na placu koło Władysława Łątki. Magazyn narzędzi znajdował się w miejscu pracy. Każdy miał wyznaczony odpowiednio długi odcinek, który musiał wykonać niezależnie od tego czy łopata i kilof były sprawne lub ziemia sucha czy zmarznięta. Dopóki nie wykonał zadania nie otrzymał karty pracy.

Wspomina jedno tragiczne wydarzenie, które miało miejsce w październiku 1944 r. Do wykopanego rowu weszła dziewczyna, dyżurujący Niemiec zastrzelił ją (kula roztrzaskała głowę). Wszyscy byli przerażeni, sparaliżowani strachem, bo w każdej chwili mogło ich spotkać to samo. Po skończeniu pracy dziewczynę przeniesiono do szkoły w Karwodrzy (tam była zakwaterowana w lagrze). Przez kilka nocy nie mógł zasnąć, ciągle śniła się mu ta makabryczna scena. W styczniu 1945 r. na zbiórkę nikt już nie poszedł. Zbliżała się ofensywa.

Patyk Jan

Chodził za ojca do okopów. Pracował w lesie łękawickim z Kazimierzem Piórkowskim i Zalasowianami. Pewnego razu jeden z chłopców zszedł do rowu, by załatwić potrzebę fizjologiczną. Widział to SS-man przejeżdżający obok na koniu, zawołał go, zbił i powiedział, że jeśli do wieczora nie wykopie 40 m. rowu, to dostanie kulą w głowę. Jeden z pracujących tam mężczyzn (Kaczmarek) znał język niemiecki i poprosił SS-mana, by w kopaniu mogli pomóc inni. Niemiec zgodził się. Ludzie stanęli jeden obok drugiego i do wieczora wykopali żądany odcinek rowu. Uratowali jedno życie.

Widział dziewczynę zabitą w podobnej sytuacji, zeszła do rowu i tam ją zastrzelono. Pochodziła z Łękawki a przebywała w lagrze w Karwodrzy (w szkole znajdowało się lokum dla "opornych" uczestników akcji kopania rowów i fortyfikacji obronnych). Po przeniesieniu z miejsca tragedii, leżała w szkole pod schodami. Dla 14-letniego chłopca był to widok przerażający.

W czasie kopania bunkru pod Pająkową Górą, był świadkiem osunięcia się ziemi i zasypania Mariana Jękota i Antoniego Wzorka. Widział jak ziemia się osuwa, ale nie zdążył krzyknąć i ostrzec. Jękot pracował przed nim, więc widział, że go zasypuje i szybko wyciągnięto go. Przez chwilę nikt nie zauważył, że zasypało Wzorka, dopiero jak usłyszano jęk wydobywający się z ziemi, zaczęto go wydobywć, rozgarniając ziemię rąkami. Niestety, zbyt duża masa ziemi złamała mu nogę.

Gdowska Teresa

Miała 13 lat, gdy znalazła się na liście osób obowiązkowo pracujących przy okopach. Kopała bunkier pod Pająkową Górą i rowy na łękawickich i trzemeskich polach. Rowy musiały mieć odpowiednią głębokość i szerokość. Ponieważ była mała, i nie potrafiła wyrzucić wysoko ziemi - ta spadała z powrotem do rowu. Jednego dnia dozorujący Niemiec kazał jej wyjść z rowu i zbił ją mocno po gołych nogach witką, tak, że powstały rany. Pracujący obok ludzie protestowali, ale nic nie pomogło. Na drugi dzień poszła do punktu sanitarnego mieszczącego się w karwodrzkiej szkole. Dyżurujący lekarz zaopatrzył jej rany, posmarował maścią i dał trzy dni zwolnienia. Kiedy zapytał co się stało, powiedziała dlaczego została zbita. Lekarz poprosił o nazwiska osób, które były świadkami tej sytuacji. Po trzech dniach, kiedy poszła do pracy, już nie zastała dozorcy, który ją wychłostał.

Gdy kopała bunkier pod Pająkówką - tuż przed jego zawaleniem się - wszystkim było wesoło,śmiali się, bo Todt żartował ze starszej Katarzyny Januś. Ona zdążyła powiedzieć. Śmiejcie się, śmiejcie zaraz będziecie płakać! Ziemia osunęła się nagle! Ci co byli dalej zdążyli odskoczyć, ale zasypało dwóch: Jękota Mariana i Wzorka Antoniego. Mariana zaraz wydostali, bo było go trochę widać. Do Wzorka chcieli się dostać kopiąc ziemię kilofami. Wtedy K. Januś powiedziała, żeby nie używać kilofa, bo mogą go zranić. Wszyscy zaczęli odgarniać ziemię rękami, nawet Niemiec pomagał. Po około 20 minutach wydostali go. Miał złamaną nogę, było to złamanie otwarte (noga wisiała z jednej strony na skórze, za którą była ziemia i piasek). Przyniesiono dwie deski i ułożono go na nich, zorganizowano transport (furmankę) do szpitala w klasztorze oo. Redemptorystów.

Pracując na polach trzemeskich (dziś koło Srebra), widziała jak dziewczyna weszła do bunkru, Niemiec bardzo krzyczał, a jak wyszła zastrzelił ją. Ludzie byli przerażeni, przestali pracować. Kilku mężczyzn poszło do jej

rodziców do Łękawki, by poinformować, co się stało. Gdy wrócili dziewczynę zabrano, a ludziom rozkazano iść dalej do pracy.

Jedyną przyjemnością w czasie kopania okopów były racje żywnościowe przydzielane każdemu zatrudnionemu raz w tygodniu. Szczególnie przydała się suszona marchew do wojennej skromnej zupy.

Pewnego popołudnia, w czasie kopania okopów przyszło do ojca trzech Niemców (jeden mówił po polsku) i zaczęli go namawiać do podpisania listy osób z pochodzeniem niemieckim. Ojciec (Boroń Władysław) stanowczo odmówił, powiedział: "Polakiem się urodziłem i Polakiem umrę". Bardzo ich to rozgniewało. Jeden z nich wziął pistolet i zaczął nim manipulować. Ten mówiący po polsku stwierdził, że jeśli ojciec się nie zgodzi może być zastrzelony. Odpowiedź ojca była podobna do poprzedniej: "Możecie mnie zabić i tak się nie przepiszę!" Wtedy odeszli. Na trzeci dzień wrócili i kazali ojcu i bratu (Tadeuszowi) iść ze sobą. Zabrali ich do lagru do Tuchowa. Stamtąd chodzili na okopy. Przebywali w lagrze około miesiąca.

Wzorek Antoni

W lipcu 1944 r., jako 17-letni chłopiec zastał skierowany do przymusowej pracy w Tuchowie i okolicy. Było to kopanie rowów obronnych, bunkrów, noszenie głazów. Często zmieniano miejsce pracy. Pracował w Tuchowie koło cmentarza, na Gadówce, na Garbku (koło Jagielskich), w Łękawicy. Kopał też rowy na Galii (spotkał wtenczas rosyjskich partyzantów). Następnie wrócił do Tuchowa i zaczęli kopać duży bunkier pod Pająkówką (powyżej CPN).

24 października 1944 r. w czasie kopania tego bunkru obsunęła się ziemia i przysypała jego i Mariana Jękota. Marian był bliżej powierzchni i nic się nie stało. On miał na sobie dużą warstwę ziemi i doznał złamania nogi w okolicy podudzia. Zabrano go do szpitala znajdującego się w klasztorze oo Redemptorystów w Tuchowie. Oprócz złamania nastąpiło zakażenie rany. W związku z tym dokonano zabiegu obcięcia nogi do kolana. Rana nie goiła się, gangrena posuwała się dalej. Antoni twierdzi, że była ona efektem zaniedbań ze strony lekarza - Brodniewicza. Po wyzwoleniu, do szpitalu przyszedł lekarz Józef Kołodziej, który wykonał drugą operację - 2 lutego 1945 r. Zabieg był bardzo ciężki, obcięto nogę do połowy uda, jednak prawidłowe leczenie i rehabilitacja spowodowała szybkie wygojenie kikuta.

Pracowali z nim: Patyk Jan, Krzemień Eugeniusz, Januś Alojzy, Chaim Roman, Jękot Marian, Jękot Aleksander, Jasiak Ludwik, Stańczyk Roman, Piątek Mieczysław, Wójcik, Kapka Emilia, Baran Maria, Baran Bronisława, Piotrowski Władysław, Piotrowski Eugeniusz, Dunaj Stefan,Salamon Franciszek.

Kowalski Józef

Chodził do okopów za ojca. Początkowo kopali rowy w Karwodrzy (koło Kawalskiego Ludwika), później na Galii i łękawickich polach. Następnie był zatrudniony przy robieniu zasieków z drutów kolczastych w karwodrzkim lesie - Dunaj Franciszek ciosał kołki, on znosił. Pracował z nim Mikos Michał, Chwistkowa i Solarz Franek (Solarz pracował za Forteckiego, który prowadził jego gospodarstwo, a on nie mógł się ujawnić).

Świerczek Dominika

Pracowała za Adama Krzemienia (służyła u niego). Kopała rowy i bunkry na równiach w Tuchowie, na Pająkowej Górze, w Karwodrzy (koło Kowalskiego Ludwika w kierunku lasu), na Galii (na granicy Karwodrzy i Trzemesnej aż do Łękawicy). Pewnego razu w czasie tej pracy, kopiąca za Dominiką dziewczyna zraniła jej nogę łopatą. Zainteresował się tym zaraz dozorujący Niemiec, zorganizował wóz (półkoszki) i przewiózł do punktu sanitarnego we dworze. Po zrobieniu opatrunku zawieziono ją do Tuchowa do szpitala (w klasztorze oo Redemptorystów). Tam ją uśpiono i spięto ranę klamrą. Po przywiezieniu do domu polecono tydzień leżeć. Odwożący ją Niemiec kupił jej słodycze. Co drugi dzień do domu przychodził sanitariusz i zmieniał jej opatrunek. Po tygodniu rana wygoiła się.

Dominika miała też miłe chwile w czasie ciężkiej pracy. Był to dzień w którym robotnicy "fasowali" żywność. Szła z radością do Jelenia Wojtka, gdzie Sadko Józef dawał każdemu "należne": 1/4 l wódki, papierosy, mały chleb, margarynę, marmoladę i sztuczny miód. Zanim przyszła do domu zjadła wszystko. Wódkę i papierosy oddawała bratu.

Iwaniec Stefan

Zamiast pracować przy okopach, woził końmi drzewo z lasu. Codzienna ciężka praca męczyła nie tylko człowieka ale i zwierzęta. Konie były zmęczone i nie miały co jeść. Stefan postanowił zrobić im "wolne". Poszedł do lasu bez koni, mówiąc dyżurnemu Niemcowi, że koń zdechł. Na drugi dzień - Za radą Franciszka Salamona - został w domu. Czekał na wizytę Niemców. Przyszedł jeden, został ugoszczony pieczoną kaczką i już nie pytał o konie. Od tej pory chodził do lasu sam.

Zając Józef

Jak wszyscy mieszkańcy Karwodrzy chodził do okopów, a po obowiązkowej pracy kierował swe kroki do dowódcy placówki podziemnej - "Lota". Tam otrzymywał polecenia, które zaraz wykonywał. Jednym z zadań było przeprowadzenie łączników - realizowane tylko nocą. Wracał nad ranem, niewiele spał i szedł do ciężkiej pracy przy kopaniu bunkrów, czy rowów.

Pewnego dnia, po nieprzespanych czterech nocach, stawił się jak zwykle na apel i poszedł do pracy. Był zmęczony. W czasie kopania bunkru na Trzemeskiej Górze uderzył czołem a wystający korzeń. Kiedy pilnujący Niemiec zobaczył na twarzy Józefa krew, zawołał go i zapytał co się stało. Wyjął zaraz kartkę papieru na której coś napisał i polecił poszkodowanemu iść szybko do lekarza (w szkole w Karwodrzy). Lekarz zbadał puls, dał leki przeciwbólowe, polecił pójść do domu i położyć się. Józef był szczęśliwy, wreszcie mógł się wyspać. Dozorującego Niemca wspomina bardzo mile, był człowiekiem sprawiedliwym, wrażliwym na cierpienia, wyrozumiałym. Czasem zwalniał z pracy wcześniej, po wykonaniu obowiązkowej czynności.

Również komendant okopów był dobry, chociaż przekupny, lubiał "brać" (jajka, masło, kury, wódkę). Za to zainteresowani otrzymywali zwolnienia z pracy na jeden lub dwa dni. Kiedy uzbierał dużo towaru, chciał go odesłać do rodziny. Pewnego razu zapytał tłumacza (Salamona Franciszka), kto mógłby mu zrobić odpowiednią skrzynkę. Poproszono o to Józefa, który był pomocnikiem stolarza i oddelegowano go z okopów do zrobienia skrzynki. "Dzieło" spodobało się komendantowi i stolarz wraz z tłumaczem zostali zaproszeni na wódkę. Gdy dobrze już popili, komendant opuścił na chwilę gości. Wykorzystał to Józef (który udawał, że pije) i z szuflady Todta wyjął plik zaświadczeń, które później służyły do bezpiecznego poruszania się kolegów z konspiracji.

Iwaniec Genowefa

"Mogę przyznać prawdziwie, że uśmiech ocalił mnie od śmierci. A było to tak. Byłam zabrana do prac przy okopach, które odbywały się w Karwodrzy. Nie wolno było odchodzić od pracy (dopiero wieczorem po skończeniu), więc zabierałam posiłek ze sobą z domu. Pewnego dnia zaryzykowałam i odeszłam w południe, na obiad do domu.Nie zauważyłam, że byłam śledzona, gdy wracałam z domu, jużz daleka zauważyłam, że na tym samym miejscu skąd odeszłam od pracy, stoi Niemiec i celuje karabinem w moją stronę. Ja nie spodziewając się nic złego, myślałam, że on tak sobie ze mnie żartuje. I poprostu uśmiechnęłam się do niego, tak szczerze jak do swojego brata. On wtedy opuścił karabin, tylko pogroził mi, że jak jeszcze raz tak zrobię, to mnie zastrzeli. Na drugi dzień dowiedziałam się, że jedna dziewczyna (18 lat), też tak jak ja odeszła i Niemiec ją zastrzelił"[36].

[36] List do autorki z dnia 2 października 1992 r.

Kasperczyk Emilia

Do pracy przy okopach musiała iść co najmniej jedna osoba z domu. Ojciec był chory, a Emilia miała dopiero 14 lat, ale wyglądała na więcej. Dlatego ukrywała się w lesie przed zabraniem do okopów. Pewnego dnia przyszedł po nią dziadek (Filar Jakub), bo w domu czekało już dwóch Niemców. Zabrali ojca i Emilię do Tuchowa. Ojca zwolniono, gdyż stwierdzono, że jest chory, zaś ją ulokowano w karnym obozie nad Białą. W lagrze przebywała około trzy miesiące. Warunki tam były okropne: barak z desek, na miejsce do spania rzucona słoma, nie było nic do przykrycia (miała kożuch i nim przykrywała się). Ubikacją były dwa drągi wyznaczające to miejsce, a łazienką Biała. Posiłki składały się z zupy otrzymywanej dwa razy dziennie (z kuchni polowej koło Łątki). Na zbiórki do okopów dowożono ich cdziennie furmankami (na plac koło Łątki), a stamtąd szli pieszo pod eskortą.

Kopała bunkier pod Pająkówką (widziała obsunięcie się ziemi i przysypanie Wzorka i Jękota), a następnie rowy idące z tej góry w stroną Karwodrzy. Każdy z pracowników okopów miał wyznaczony do zrobienia rów dwa metry długi, 1, 80 m szeroki i 70 cm głęboki. Praca była ciężka, szczególnie wówczas, gdy trafiło się na kamień. Ludzie w różnym stopniu przykładali się do pracy - najbardziej pracowity był Kus Krystyn.

W październiku została wypuszczona z lagru za odpowiednią łapówkę (kury, jaja) daną przez rodziców. Niedługo potem zlikwidowano lagier, gdyż warunki nie pozwalały na przezimowanie w nim.

Łątka Eugeniusz

Zgłosił się do okopów z tygodniowym opóźnieniem, za co został ukarany lagrem w Tuchowie (obóz znajdował się nad Białą, na dawnym polu koronacyjnym). W sali spało kilkadziesiąt osób. Wraz z innymi "opornymi" codziennie był wożony furmanką do Karwodrzy na zbiórkę, a następnie szedł do kopania rowów w Łękawicy. W Karwodrzy z kuchni polowej (koło jego domu) otrzymywali rano skromne śniadanie i po południu obiad. Kiedy u ojca zamieszkali Niemcy dozorujący okopów, zwolniono go z lagru i pełnił "dyżur" w domu. Woził Niemców furmanką zaprzężoną w parę siwych koni (jeden wypożyczony u Czechowskiego Władysława) do lasu lub do Tuchowa. Trwało to do 3 stycznia 1945 r.

Zielińska Stanisława

Okopy ciągnęły się od Pająkowej Góry przez rzekę, ich pole, drogę, pola dworskie w Karwodrzy do Dębcyn i Łękawicy. Tuż koło domu był wykopany duży bunkier, a niedaleko na ich polu dwa następne. Mąż był zatrudniony przy okopach, matka pracowała w kuchni polowej we dworze (obierała zie-

mniaki), a ojciec (Gagatek Wojciech) był tłumaczem dla ludzi z Łękawicy, Zabłędzy i Zalasowej - pracujących przy okopach w Karwodrzy. Na ich podwórzu odbywały się zbiórki i sprawdzanie obecności tej grupy. Jeśli kogoś nie było, to poszukiwano go.

W domu (w kuchni) mieszkało czterech Niemców, dozorców okopów. Początkowo byli to protestanci, później zamieszkali katolicy (pochodzili z Wesfalii), nosili medaliki, modlili się na różańcu. W okresie świąt Bożego Narodzenia 1944 r. chcieli iść do spowiedzi i pytali czy nie ma w Tuchowie księdza, który zna język niemiecki. Jeden z oo Redemptorystów znał niemiecki umożliwił im spełnienie powinności religijnej. Niemcy ci odznaczali się wysoką kulturą i nie aprobowali polityki Hitlera.

Salamon Michał

Początkowo pracował przy okopach na Grabku, później skierowano go do Trzemesnej i Łękawicy. Na pierwszą zbiórkę - sprawdzającą obecność - chodzili pod Łątkę, druga odbywała się na miejscu - sprawdzano gotowość do pracy i brali narzędzia. Praca była średnio ciężka dla mężczyzny, ale nie można było robić przerw. Zezwolono tylko na zapalenie papierosa, dlatego palący mieli lepiej, odpoczywali dopóki papieros się tlił. Był zatrudniony przy okopach od 15 sierpnia do Bożego Narodzenia 1944 r.

Kowalski Ludwik

Pracował tylko dwa dni przy kopaniu rowów obronnych na Grabku. Później jeździł (na koniu wypożyczonym od Dominiki Krzemień) z meldunkami z biura okopów znajdującego się w szkole w Karwodrzy - do Łękawicy. Przywoził też meldunki z tamtejszego biura do Karwodrzy. Na trasie podróży spotykał często Piotrowskiego Władysława (starszego), wożącego produkty żywnościowe dla pracowników okopów z Łękawicy do Karwodrzy.

Kasza-Kszyński Jan

Od 30 lipca 1944 r. do 18 stycznia 1945 r. przebywał na terenie Zalasowej i Karwodrzy, jako pracownik biura Budowy Wałów i Okopów. Składał meldunki o stanie zatrudnienia miejscowej ludności. Przychodził codziennie do szkoły w Karwodrzy, gdzie mieściło się w/w biuro. Chodził też na teren budowy fortyfikacji do lasu w Karwodrzy, Zalasowej i Łękawicy. Dysponując pieczęciami, fałszował często dane, by uratować ludzi od wielu kłopotów. pomagała mu w tym dobra znajomość języka niemieckiego.

VII. PARTYZANCI

Głównym celem partyzantki polskiej w latach 1939-1945 było odzyskanie niepodległości państwowej. Realizowano to przez prowadzenie walki konspiracyjnej z okupantem. W walce z wrogiem nie było przerwy, kiedy wojsko zostało rozbite, powstała armia podziemna.

Pierwszą strukturą organizacyjną wojska konspiracyjnego była Służba Zwycięstwu Polski (SZP), powstała 27/28 września 1939 r, czyli około 7 godzin przed kapitulacją Warszawy. Założył ją generał brygady Michał Tokarzewski-Karaszewicz, ps. "Torwid". Został on głównym dowódcą tej organizacji na podstawie pełnomocnictwa przekazanego przez gen. dywizji Juliusza Rómmla. Tekst jego brzmiał: "Dane mi przez Naczelnego Wodza w porozumieniu z Rządem pełnomocnictwo dowodzenia w wojnie z najazdem na całym obszarze Państwa przekazuję gen. bryg. Michałowi Tadeuszowi Tokarzewskiemu-Karaszewiczowi z zadaniem prowadzenia dalszej walki o utrzymanie niepodległości i całości granic"[37]

"Torwid" działa aktywnie, jeździ po kraju i nawiązuje pierwsze koontakty konspiracyjne. Po latach napisze: "Wyjechałem z końcem października, a wróciłem do Warszawy w drugiej połowie listopada. Byłem w Radomiu, Lublinie, Kielcach, Krakowie, Tarnowie (...) W Tarnowie zwróciłem się do prezesa powiatowego PSL, z propozycją, aby pojechał ze mną do Witosa (...) ponieważ wybierał się za parę dni po raz trzeci (...) - prosiłem, aby zreferował prezesowi Witosowi stan SZP, nasze poglądy i kierunek (...)"[38]

Najważniejszym zadaniem SZP była walka z najeźdzcą na każdym polu jego działalności. Już w październiku 1939 r. powstaje specjalny sztab do działań dywersyjno-sabotażowych tzw. Referat C. Kierownictwo Referatu objął mjr sap. Franciszek Niepokólczycki ps. "Franek".

8 listopada 1939 r. w Paryżu zapadła decyzja (a 15. XI. wydano rozporządzenie) o rozwiązaniu SZP i utworzeniu na jej miejsce Związku Walki Zbrojnej (ZWZ). Organizacja ta stanowiła część Polskich Sił Zbrojnych i podlegała Naczelnemu Wodzowi gen. broni Władysławowi Sikorskiemu. Na komendanta Głównego ZWZ desygnowany zotał gen. broni Kazimierz Sosnkowski ps. "Józef Godziemba", Komendantem ZWZ na terenach oku-

---

[37] M. Karaszewicz-Tokarzewski, U podstaw tworzenia Armii Krajowej, Kraków 1991, s. 10

[38] Tamże, s. 20-21

powanych przez Niemcy został płk dypl. Stefan Rowecki ps. "Grot", a na terenach położonych na wschód od Bugu gen. Michał Tokarzewski[39].

Przy ZWZ powstał Polityczny Komitet Porozumienia (PKP) złożony u przedstawicieli głównych stronnictw politycznych: PPS (nazwa konspiracyjna "Wolność, Równość, Niepodległość"), SL, SN, SP. Dotychczasowy Referat C istniejący przy Sztabie Dowództwa Głównego SZP, został w Komendzie ZWZ przemianowany w Referat Związku Odwetu (ZO). Koordynację walki sabotażowej z okupantem uzgodniało z KG ZWZ - Kierownicwo Walki Cywilnej (KWC). Był to organ związany z Delegaturą Rządu, powstały w listopadzie 1941 r. Na jego czele stał Stefan Karboński. Walka "cywilna" polegała na bojkotowaniu zarządzeń niemieckich i sabotażu godzącym w gospodarkę wojenną. Była nakazem moralnym każdego Polaka.

Akcja dywersyjna w pierwszej fazie była skierowana na zaopatrzenie Niemców w żywność i materiał wojenny idący przez Polskę ze Związku Radzieckiego. Zaś w drugiej fazie działania miała być powiązana z planowanym powstaniem narodowym. Działania dywersji zbrojnej polegały głównie na przerywaniu połączeń komunikacyjnych (drogowo-kolejowych) i łączności oraz na akcjach terrorystycznych wobec osób pełniących funkcje w administracji, policji i wojsku okupanta. Działalność ta była skoordynowana z zadaniami oddziałów powstańczych. Od połowy 1941 r. zaczęto tworzyć specjalne sekcje 3 - 6 osobowe. Zadaniem ich było rozpoznanie terenu i obiektów, zgromadzenie środków bojowych oraz przeszkolenie w zakresie działania dywersyjnego. Od 1942 r. wojskową działalność sabotażowo-dywersyjną prowadziło Kierownictwo Dywersji "Kedyw". Dowódcą Kedywu był płk Emil Fieldorf ps. "Nil"[40].

14 lutego 1942 r. ZWZ zastał przekształconyw Armię Krajową (AK). Armia Krajowa była częścią składową Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej, podlegała Naczelnemu Wodzowi i rządowi polskiemu na uchodźstwie. Obejmowała swoim zasięgiem teren II Rzeczypospolitej, jej Komenda Główna mieściła się w kraju.

W AK znajdowali się członkowie różnych ugrupowań politycznych. Najliczniejsze - Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Ludowe - prowadziły walkę konkurencyjną o wpływy w dowództwie AK. Narodowa Organizacja Wojskowa (NOW) wywodziła się z potężnego Stronnictwa Narodowego a Bataliony Chłopskie (BCh) ze Stronnictwa Ludowego.

---

[39] Por. H. Witkowski, Kedyw Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej w latach 1943-1944, Warszawa 1984, s. 10-11; W. Pronobis, Świat i Polska w XX wieku, Warszawa 1990, s. 342; M. Tokarzewski, U podstaw ..., s. 26, Armia Krajowa w dokumentach, I (1939-1943), W-wa 1990, s. 10-21

[40] O działalności sabotażowo-dywersyjnej zob. H. Witkowski, Kedyw ..., s. 12, 14, 22, 23

W walce podziemnej z okupantem brało udział wiele organizacji. Poza wcześniej wymienionymi aktywny był Związek Harcerstwa Polskiego (Szare Szeregi) i Żydowska Organizacja Bojowa. Armia Krajowa miała dokonać konsolidacji stronnictw politycznych i podporządkować je Naczelnemu Wodzowi.

Strukturę organizacyjną AK w terenie stanowiły: obszary (3), okręgi (8 województw), obwody (powiaty) i placówki. Jednostkami bojowymi były: sekcje, drużyny, plutony, kompanie, bataliony. Komendę dowództwa AK stanowili żołnierze zawodowi - oficerowie i podoficerowie Wojska Polskiego. Liczebność AK wiosną 1944 r. wynosiła 385 tysięcy osób[41].

19 stycznia 1945 r. gen. Leopold Okulicki ps. "Niedźwiadek" wydał rozkaz o rozwiązaniu Ak. Część AK-owców stwierdziła, że przysięga złożona Rzeczypospolitej obowiązuje ich nadal. Dlatego "zeszli" do podziemia, działając w Ruchu Oporu Armii Krajowej: Wolność i Niezawisłość. Walka trwała do 1950 r.[42].

Południowa część regionu tarnowskiego stanowiła podobwód działań konspiracyjnych, najpierw ZWZ, później AK. Należały do niego następujące gminy: Ciężkowice - placówka "Cześka", Gromnik - placówka "Gertruda", Pleśna - placówka "Pelagia", Ryglice - placówka "Regina", Szerzyny - placówka "Sabina", Tuchów - placówka "Teodora" (później "Tygrys" i "Teresa"). W Tuchowie oprócz ZWZ istniały: NOW i BCh.

Pierwszym komendantem placówki konspiracyjnej - ZWZ - w Tuchowie był Stanisław Głos ps. "Góra". Do tej placówki należały następujące wioski: Burzyn, Dąbrówka Tuchowska, Jodłówka Tuchowska, Karwodrza, Kielanowice, Lichwin, Lubaszowa, Łękawka, Meszna Opacka, Meszna Szlachecka, Piotrkowice, Wołowa[43].

W 1940 r. w warsztacie kowalskim w Tuchowie - prowadzonym przez Stanisława Głosa, nawiązano kontakty z Lipką Stanisławem - organizatorem konspiracji w Karwodrzy. Od października 1941 r. "Góra" ukrywał się na terenie Karwodrzy i Zalasowej, przez co kontakty konspiracyjne były bardziej ścisłe. W tym czasie współpracował ze Stefanem Gregułą i Władysławem Melsztyńskim ps. "Kwiatek" (mieszkającymi u Bronisława Filara i Julii Pączkowskiej). We wrześniu 1943 r. "Góra" został zastrzelony przez policjanta Czesława Skulteckiego[44]. Zabójstwo miało miejsce w Karwodrzy, w lesie koło Andrzeja Chaima. Polski żandarm polecił pochować ciało

---

41 Dane statystyczne zaczerpnięto z Informatora Światowego Armii Krajowej, nr. 20/10, luty 1992, Tarnów

42 Informacje o zarysie działań polskiej konspiracji uzyskane od sekretarza Zarządu Muzeum Historii Armii Krajowej w Krakowie - Ryszarda Ciepiela ps. "Orzeł"

43 Na podstawie relacji Jana Siwaka ps. "Szyszka"

44 Zob. aneks: Do żołnierzy placówki "Tygrys"

rzekomego Żyda na miejscu. ale AK-owcy z Karwodrzy wykopali grób w lesie (w tzw. Dębcynach) i wieczór przenieśli tam zabitego. Zorganizowali partyzancki pogrzeb komendantowi AK z Tuchowa.

W 1944 r. w czasie okopów, przez grób "Góry" miał przebiegać rów strzelecki, aby zapobiec uszkodzeniu grobu - przesunięto sznur wytyczający tą linię. Zrobił to w nocy ówczesny gajowy i partyzant - Józef Kantor.

Po śmierci "Góry" zmienia się nie tylko dowódca placówki, ale też jej kryptonim. Komendantem zostaje Józef Wójcik ps. "Waligóra", "Wyrwidąb", a placówka nosi imię "Teresa". Na początku 1944 r. nowy komendant jest w Tuchowie "spalony", dlatego zmienia teren swoich działań. Przenosi się do Lichwina - zabierając ze sobą blankiety kennkart (podbite niemiecką pieczęcią), które wykorzysta później dla żołnierzy z batalionu "Barbara".

Zbliża się "wzmożona akcja dywersyjna" tzw. "Burza". Kontakty między placówkami stają się coraz bardziej ożywione. Ciągle kursują łącznicy między Tuchowem, Lichwinem, Piotrkowicami, Burzynem, Dąbrówką, Karwodrzą i Trzemesną. W Trzemesnej, na gajówce, już w maju organizuje się szpitalik polowy dla partytantów. Urządza go Halina Gomoła ps "Topola", lekarz Jan Roguszny oraz farmaceuta Jerzy Pertkiewicz po. "Drzazga". Jest to możliwe dzięki pomocy miejscowego leśniczego - Stanisława Gdowskiego ps. "Pocisk". Opiekę duchową nad partyzantami obejmuje ks. kapelan Stanisław Pycior ps. "Gruda".

Jak wspomniano wcześniej, dowódcą placówki konspiracyjnej w Karwodrzy był Stanisław Lipka ps. "Lot", jego zastępcą Władysław Kosiba ps. "Lis". Kilkadziesiąt osób we wsi należało do ruchu oporu, składając przysięgę partyzancką. Przysiągę odbierał "Lot" i Greguła. Odbywała się ona zwykle w nocy. Różne były miejsca przysięgi - mieszkanie, komora, pole. Po przysiędze, partyzanci otrzymywali pseudonim, którego od tej pory używali zamiast nazwiska (nie udało się ustali pseudonimów kilku partyzantów).

Przysięgę partyzancką - w poszczególnych latach - składały następujące osoby[45]:

1940 rok

Czechowski Władysław
Kosiba Władysław ps. "Lis"
Krzemień Adam ps. "Filipek"
Lipka Adam
Lipka Stanisław ps. "Lot"
Lipka Karol ps. "Źródełko"

[45] Listę zaprzysiężonych partyzantów odtworzono dzięki pomocy Adama Krzemienia ps. "Filipek" i Władysława Salamona ps. "Saba"

Salamon Jan
Salamon Stanisław
1942 rok
Bełzowski Mieczysław ps. "Brzózka"
Filar Wojciech ps "Brzoza"
Jękot Bartłomiej
Kantor Józef
Krzemień Feliks
Krzemień Stanisław
Kawalski Władysław ps. " Orzeszek"
Matug Wojciech
Przedział Jan ps. "Śmiga"
Salamon Józef
Salamon Władysław ps. "Saba"
Stańczyk Edward ps. "Skała"
Szeląg Stanisław ps. "Szampan"
Zając Józef ps. "Kukułka"
1944 rok
Janura Jan ps. "Sowa"
Krzemień Edward ps. "Rączka"
Siwak Tadeusz ps. "Sęp"
Solarz Kazimierz ps. "Kosiarz" (NOW - Tuchów)
Świątek Antoni ps. "Sokół"

Akcja "Burza" rozpoczęta wiosną 1944 r. wzmogła działalność partyzancką. Trwają intensywne przygotowania do walki zbrojnej. Partyzanci gromadzą broń, ćwiczą nocą w pustych domach, na polu, w lesie[46].

W sierpniu "chłopcy poszli do lasu", dołączając do batalionu "Barbara".

I batalion 16 pp Ziemi Tarnowskiej pod dowództwem kpt Eugeniusza Antoniego Borowskiego ps. "Leliwa" składał się z sześciu kompanii. Nazwy kompani wywodziły się od macierzystych placówek np. macierzystą placówkę III kompanii była "Regina" w Ryglicach. Oto kryptonimy kompanii, ich dowódcy i skład liczbowy:

I kompania "Wanda" - dowódca ppor. Józef Rusiecki "Mimoza" - około 99 ludzi pochodzących z okolic Tuchowa, Pilzna i Lisiej Góry.

II kompania "Grażyna" - dowódca ppor. Franciszek Kuta "Bułat" - około 90 osób z Gumnisk, Tarnowa, Woli Rzędzińskiej i innych wsi podtarnowaskich.

---

[46] Zob. życiorys S. Lipki w kwestionariuszu weryfikacyjnym ZBOWiD

III kompania "Regina" - dowódca por. Sergiusz Kapura "Wilk" - około 140 żołnierzy pochodzących z Ciężkowic, Gromnika, Ryglic, Tuchowa i okolicznych wsi.

IV kompania "Ewa" . dowódca Władysław Steczyszy "Kalina" - około 119 ludzi z Mościc, Zbylitowskiej Góry, Pleśnej i okolicznych wsi.

V kompania "Janina" - dowódca ppor. Jan Gomoła "Jawor" - około 120 ludzi pochodzących z Krakowa, Brzeska, Tarnowa.

VI kompania - dowódca por. "Asserbejdżan" - 96 ludzi narodowości azerbejdżańskiej posiadających pełne uzbrojenie i umundurowanie niemieckie[47]

AK-owcy z Karwodrzy znajdowali się w III kompanii "Regina". Tworzyli drużynę, wchodzącą w skład plutonu dowodzonego przez kaprala "Lisa" - Władysława Kosibę. Drużyna ta brała aktywny udział w walkach batalionu, stanowiły ją następujące osoby:

1. Janura Jan ps. "Sowa"
2. Kosiba Władysław ps. "Lis"
3. Kawalski Władysław ps. "Orzeszek"
4. Lipka Karol ps. "Źródełko"
5. Przedział Jan ps. "Śmiga"
6. Salamon Władysław ps. "Saba"
7. Siwak Tadeusz ps. "Sęp"
8. Stańczyk Edward ps. "Skała"
9. Szeląg Stanisław ps. "Szampan"
10. Świątek Antoni ps. "Sokół"

Ich szlak bojowy wiódł od Machowej przez Świnogórę w Zalasowej. Żurową, Jodłówkę - Ratówki, Lubaszową, Lichwin, Suchą Górę do Jamnej[48]. Tam 25 września 1944 r. stoczono walkę z nieprzyjacielem kilkakrotnie liczniejszym i lepiej uzbrojonym niż "leśni ludzie". Bohaterska obrona wzgórza 530 i bezszelestne wycofanie się z zamkniętego pierścienia wroga, były wydarzeniem, które nadal fascynuje mimo znacznej odległości czasowej. Literatura dotycząca tego tematu, nie ujmuje wszystkich faktów, ponadto, przeżycia każdego uczestnika z tym związane są bardzo subiektywne. Przedstawmy zatem wersję owych historycznych dni przez AK-owców z Karwodrzy i ich towarzyszy broni z III kompanii "Regina".

W działalności konspiracyjnej, udzielania pomocy partyzantom, wszyscy mieszkańcy wsi byli solidarni. To oni ich ukrywali, organizowali noclegi, dostarczali żywność, byli łącznikami i przestrzegali "zmowy milczenia". To dzięki nim wieś nie poniosła represji. Bez nich ruch oporu byłby niemożliwy.

---

[47] Zob. E. A. Borowski ps. "Leliwa", Bój pod Jamną w: Z dziejów ruchu oporu w Polsce południowej, Dynamit .(2), Kraków 1969, s. 29-30

[48] Tamże, aneks - Szlak batalionu "Barbara"

Poniższe relacje - organizatorów, uczestników i świadków konspiracji - ukazują wielkie zaangażowanie w walce podziemnej z okupantem, ogromną odwagę i solidarność.

Siwak Jan (vel Sroka Kazimierz, vel Derkacz Franciszek) ps. "Szyszka" Brat "Góry". Przysięgę partyzancką złożył 12 kwietnia 1940 r. przed dowódcą placówki "Pelka" w Pleśnej - Władysławem Ładó ps. "Lawina". Po zaprzysiężeniu otrzymał polecenie organizowania placówek i wciągania pewnych ludzi do konspiracji oraz gromadzenia broni. Był współzałożycielem wielu placówek w gminach takich jak: Tuchów "Teodora", Gromnik "Gertruda", Ryglice "Regina", Szerzyny "Sabina". Dowódcami placówek byli wówczas (1940 - 1941): Stanisław Głos ps "Góra" w Tuchowie, Jan Duda ps "Czarny" w Szerzynach, Józef Piotrkowski ps. "Pionek" w Ryglicach, Edward Wójcik ps. "Witraż" w Gromniku.

W latach 1940 i 1941 w każdej wiosce założone były komórki konspiracyjne w ilości od dwóch do trzech osób. "Szyszka" był łącznikiem i kolporterem nielegalnej prasy pomiędzy dowódcami placówek oraz łącznikiem do Komendy Obwodu w Tarnowie. Pełnił też funkcję kolportera prasy z Komendy Okręgu w Krakowie do placówek. Utrzymywał ścisłe kontakty z Janem Moździerzem ps. "Dąbek" z powiatu gorlickiego, Janem Martyką ps. "Jaworski" z Batalionów Chłopskich, jak też ze Skibą z "Cześki" w Ciężkowicach i Władysławem Ładó w Pleśnej.

W 1942 r. został oddelegowany - przez mjr Jagodę - do pracy w Batalionach Chłopskich, założył jeden pluton BCh, który został później wcielony do AK. Podczas pracy w BCh był łącznikiem między Zabawą ps. "Skiba", Nasiadką ps. "Rybka" - dowódcą BCh a Józefem Lesiem ps. "Sęp" w AK. W BCh nadal kolportował nielegalną prasę na cały powiat oraz zakładał w gromadach Ludową Straż Bezpieczeństwa (LSB).

W 1943 r. został z powrotem powołany do pracy w AK i przydzielony do placówki "Sabina" w Szerzynach. Tam został mianowany - przez "Czarnego" - dowódcą grupy dywersyjnej. Podczas tej pracy wykonywał szereg zadań jak: przecinanie drutów telefonicznych, kolczykowanie krów, owiec, cechowanie koni (aby uchronić przed odstawieniem okupantowi). Informował o znakach jednostek wojskowych, ruchach i transporcie wroga, przesyłając meldunki do Komendy Obwodu. Wziął też udział w nieudanym zamachu na szefa gestapo w Tuchowie Oppermanna.

W 1940 r. pracował w warsztacie kowalskim w Tuchowie, który prowadził jego brat. Tam nawiązał pierwsze kontakty z Lipką Stanisławem z Karwodrzy. Pamięta, jak do warsztatu przychodziła ładna dziewczyna i przynosiła informacje od "Lota". Sam też był u Lipki w domu.

W Tuchowie współpracował z Klimkiem Władysławem ps. "Piła", policjantem Osysko, który był "wtyczką" AK, ks. Stanisławem Wójcikiem, które-

mu dostarczał prasę podziemną, Frączkiem Stanisławem - kierownikiem cegielni u którego przechowywano broń (wcześniej na cmentarzu), Wójcikiem Edwardem ps. "Witraż" (który ładował matryce). W mieście było wiele ludzi sprzyjających ruchowi oporu, należeli do nich: dowódca Straży Pożarnej - Boratyński, współwłaściciel młyna - Michał Kozioł, urzędnik Gminy - Józef Wójcik, Bułaga, Burgula, Hejto.

"Szyszka" uczestniczył w bitwach stoczonych przez batalion "Barbara" w Machowej, na Suchej Górze i Jamnej. Był plutonowym w III kompanii "Regina", operował moździerzem (w wojsku służył w artylerii).

Rosyjskie NKWD i polskie UB zastrzeliło wielu AK-owców, w 1945 r. zginął Ładо "Lawina", a w 1946 Gągola Czesław "Goliat". Również "Szyszka" został skazany za przynależność do WiN. Na pierwszej rozprawie sądu wojskowego w Rzeszowie, żądano dla niego kary śmierci. Efektem następnych rozpraw było skazanie za przekonania i bandytyzm na 120 lat (!) więzienia, które zamieniono na dożywocie. Dzięki amnestii zmniejszono karę do 12 lat, a następnie do 2 lat. Siedział w więzieniu w Rawiczu i Wronkach. Dopiero od trzech lat korzysta z uprawnień kombatanta[49].

Krzemiań Adam ps. "Filipek"

Był jednym z pierwszych partyzantów w Karwodrzy (należał do tzw. rezerwy). Przysięgę składał "Lotowi" - Lipce Stanisławowi. Współpracował z Krzemieniem Feliksem, Krzemieniem Stanisławem, Krzemieniem Edwardem, Bełzowskim Mieczysławem, Zającem Józefem. Zbiórki i ćwiczenia odbywali w pustym domu Augustyna Kleofasa nazywanym "Malta". Szkolenia prowadził Feliks Krzemień i Broniek Edward z Tuchowa.

Partyzanci wykonywali różne zadania, między innymi dostarczali broń tym, którzy szli na szlak bojowy, robili ręczne granaty, przynosili benzynę do samochodów mających służyć w akcji "Burza".

Jednym z magazynów broni i miejscem wyrobu granatów była stodoła Lipki Adama, zaś gajówka w Trzemesnej u Gdowskiego Stanisława, była miejscem przerzutu materiału. Aby preynieść niebezpieczny towar trzeba było wybrać odpowiednią porę, dobrze go zamaskować i wybrać bezpieczną drogę.

Jedną z ryzykownych sytuacji był pogrzeb komendanta placówki AK w Tuchowie - Głosa Stanisława "Góry". W tym dniu "Filipek" pełnił dyżur nocny tzw, "wartę gromadzką", czuwał nad bezpieczeństwem wsi. W księżycową noc spotkali się partyzanci i świadkowie zabójstwa, które miało

---

[49] Ustne relacje Jana Siwaka i maszynopis udostępniony autorce (obecnie w jej zbiorach) pt. "Krótki opis mojej pracy podczas okupacji hitlerowskiej Jana Siwaka ps. "Szyszka", b. żołnierza AK 16-tego pułku piechoty batalionu "Barbara", 3-ciej kompanii "Regina" od 1939 roku do dn. 6 stycznia 1945 r."

miejsce w lesie na wprost pola Chaima Andrzeja. Policjant Skultecki po zabójstwie swojego kolegi, poszedł do najbliższych sąsiadów - Jana Krzemienia i Janusia Władysława, by zakopali zwłoki na miejscu. Krzemień popatrzył na zabitego i powiedział: "Ja tego gościa mam znać!" na co Skultecki odpowiedział: "To tylko jakiś Żyd!" i rzucił na twarz Głosa gałązkę. Karwodrzcy partyzanci przenieśli ciało swojego komendanta do lasu w Dębcynach i zrobili grób na I linii. W pogrzebie uczestniczyli: Bełzowski Gaweł, Matug Wojciech, Lipka Stanisław, Kasiba Władysław, Krzemień Feliks, Krzemień Adam, Kowalski Władysław, Lipka Karol, Salamon Jan, Salamon Stanisław, Salamon Władysław. Przybyli też trzej mieszkańcy Tuchowa: Klimek Władysław, Kumor Władysław i Wójcik Józef.

Walaszek Stanisława (córka "Lota")

Domyślała się, że ojciec jest w konspiracji, kiedy zaczął go odwiedzać Stefan Greguła i trzej miecszkańcy Tuchowa - Głos, Wójcik i Kumor. Zauważyła, że ojciec ukrywał broń w stodole, w, specjalnie wykopanym dole, który przykrył słomą i gałęziami. Teraz wiedziała, że należy do ruchu oporu. Należał nie tylko on, ale i inni, przede wszystkim najbliżsi sąsiedzi. Wywnioskowała o tym, na podstawie fragmentów rozmów w czasie częstych odwiedzin. "Lot" zaufał córce i wysyłał ją jako łącznika do placówki partyzanckiej w Piotrkowicach. Tajne informacje dla Orczyka Michała przenosiła w kokardzie do włosów. Również chodziła z poleceniami do Kruczka w Trzemesnej, tym razem wiadomości miała ukryte w podwiązkach pończoch.

W 1942 i 43 r. do domu zaczął częściej przychodzić Stanisław Głos z Tuchowa. Odwiedzał ojca wieczorem, dużo rozmawiali. Pewnego dnia był długo, dostał od matki trochę zapasów żywnościowych (groch), wziął kij do ręki i poszedł w stronę Zalasowej. Umówiał się z ojcem na drugi dzień. Z kijem w ręce i torbą grochu wyglądał na Żyda. Za niedługo dowiedzieli się, że w Piekle zabito jakiegoś Żyda. Domyślili się wszyscy, że Głosa. Od tego dnia nie nocowali w domu. Spali u sąsiadów Czechowskich na strychu, ojciec spał u Filara Bronka.

Krzemień Jadwiga

W pewne wrześniowe popołudnie 1943 r. pasła krowy pod lasem tuchowskim i bawiła swoje 8-miesięczne dziecko. Zauważyła, jak polną miedzą prowadzącą od Lipki, szedł Głos Stanisław i niósł na plecach wypchany worek. Skręcił drogą na Piekło. Niedługo potem, od Tuchowa, w tą samą stronę zmierzało trzech mężczyzn. Rozpozała jednego z nich - był to policjant Czesław Skultecki. Za jakiś czas usłyszała strzały, odgłosy dochodziły od Solarzów. Przestraszyła się, tym bardziej, że miała ze sobą małe dziecko.

Zastanawiała się do kogo strzelano. Za nie całą godzinę od strzelaniny spostrzegła tych samych mężczyzn wracających do Tuchowa. Tym razem szli ścieżką koło lasu. Wieczór dowiedziała się, że tuchowski policjant zabił Głosa Stanisława.

Szeląg Władysława (narzeczona "Szampana")

Nie będąc zaprzysiężonym partyzantem, była ich łącznikiem. Dostarczała - otrzymane od Lipki - papiery do Głosa Stanisława, który pracował jako kowal w Tuchowie. Chodziła do niego do kuźni z tajnymi informacjami. W razie kontroli czy łapanki papiery miała zjeść.

W konspiracji działał również ojciec (Władysław Czechowski). Pewnego dnia przyszedł do niego Lipka i zaproponował, by zgodzili się na przenocowanie dwóch obcych ludzi - był to Stefan Greguła i Władysław Melsztyński. Panowie ci przychodzili wieczór i pomagali im mielić w żarnach, spali na strychu lub w stodole. Oni to byli współorganizatorami partyzantki w Karwodrzy, o czym dowiedziała się później (1944) od swojego narzeczonego Stanisława Szeląga - "Szampana".

Było lato 1944 r. zaczęły się okopy i równocześnie wzmogła aktywność partyzancka. W sierpniu AK-owcy poszli do lasu, narzeczony również. Kiedy mieszkający w ich domu Niemiec zapytał dlaczego kawaler nie przychodzi - Władysława wymyśliła chorobę dla chłopca i dłuższy pobyt w szpitalu.

W czasie postoju partyzantów w lasach w Burzynie, odwiedziła go z Zofią Filar, zanosząc mu żywność i papierosy.

Filar Danuta

Miała osiem lat, gdy stała się świadkiem wydarzeń konspiracyjnych. Do kuchni ich domu przylegała duża komora. Mieściła ona dwie paki na zboże, skrzynię z zapasami żywności i łóżko, na którym była ładna kolorowa pościel. Komora nie miała okna, oświetlona była lampą naftową wiszącą na ścianie. Zamknięcie komory było możliwe od kuchni przez zasuwę umieszczoną w ścianie od wewnątrz. Z zewnątrz nie można było dostać się do komory, jeśli zasuwa była założona.

W okresie okupacji rodzice (Stanisław i Franciszka Salamon) zabronili dzieciom wchodzić do komory mówili, że ojciec tam sypia i nie można mu przeszkadzać. Danuta bardzo chciała tam wejść i poleżeć na łóżku, na tej kolorowej pościeli ze swoją 2-letnią siostrzyczką (która szybko zasypiała w ciemności). Pewnego ranka odsunęła zasuwę i weszła do komory.. Miała już wchodzić do łóżka, gdy zobaczyła w nim śpiącego mężczyznę, był czarny, podobny do Cygana. Przeraziła się, wybiegła z komory i powiedziała o tym matce. Ta ją uspokoiła, mówiąc, że to na pewno tata, tylko jej się wydawało, że kto inny. Nadal stanowczo zabroniła tam wchodzić.

Dopiero po wojnie, kiedy była już dorosła, dowiedziała się od rodziców, że komora była miejscem spotkań partyzanckich, zaś mężczyzną, którego się przestraszyła, był Głos Stanisław - ukrywający się w tym czasie przed gestapo i polską żandarmerią.

Filar Ludwik

Rodzice - Bronisław i Stefania Filar - pomagali dużo partyzantom. Ojciec często w nocy przeprowadzał łączników z Karwodrzy do Trzemesnej i Łękawicy. Na ganku ich domu odbywały się wieczorne spotkania organizatorów ruchu oporu: Głosa Stanisława, Stefana Ryguły, Melsztyńskiego Władysława i Lipki Stanisława. Ojciec wielokrotnie woził do chorych partyzantów - przebywających w leśniczówce w Trzemesnej - lekarza Grochmala Stanisława i Żabę z Tuchowa.

Od 1940 do 1942 r. mieszkał u nich Stefan Greguła, który był współorganizatorem konspiracji w Karwodrzy, a z zawodu oficerem Wojska Polskiego. U sąsiadki Pączkowskiej Julii ukrywał się kolega Stefana - Władysław Melsztyński. Spotykali się w ich domu, organizowali ćwiczenia dla chłopców przygotowujących się do działalności patryzanckiej - Bełzowskiego Mieczysława i Stańczyka Edwarda.

Stefan nocował zwykle w pokoju, obok spał 7-letni Ludwik (by w razie kontroli na każdym łóżku ktoś spał). Pewnego wieczoru ojciec poszedł spać do stajni, aby pilnować koni i krów, gdyż grasowały bandy "koniokradów". Za chwilę, po jego wyjściu, matka powiedziała Stefanowi, żeby nie nocował w domu, bo ma złe przeczucie. Ponieważ była zima i lekki mróz - pożyczyła mu kożuch. Greguła udał się do pobliskiego lasu szukać noclegu. Około północy rozległ się łomot. Kiedy matka otworzyła drzwi, zobaczyła w nich czterech Niemców, którzy popatrzyli na spis mieszkańców (na drzwiach) i szybko weszli do domu kontrolować śpiących i ilość miejsc do spania. Zapytali matki. Gdzie mąż? Odpowiedziała, że pilnuje bydła i śpi w stajni. Poszli do stajni i karabinem powitali gospodarza, który był pewny, że przyszli go zabić (gdyż nie wiedział o wyjściu Stefana). Tymczasem "goście" spokojnie opuścili dom.

Świątek Bronisława i Filar Ludwik

Pewnego ranka, wszyscy byli w domu: ojciec w warsztacie koło kuchni, Melsztyński w kuchni - przekazywał Stefanowi jakieś papiery. matka przygotowywała śniadanie. Ludwik bawił się, a Bronisława wychodziła zanieść karmę dla świń. Nagle usłyszano warkot samochodu. Wychodząca na podwórze dziewczynka zobaczyła przed domem samochód i wysiadających z niego dwóch Niemców i polskiego żandarma. Zaczęła głośno płakać. Idąca za córką matka - widząc, że już nic nie można zrobić - otworzyła

szeroko drzwi zapraszając zbliżającego się żandarma. Ten prosił o przygotowanie śniadania dla "gości". Gospodyni - z ogromnym refleksem - wysłała córkę po srebrne łyżeczki do sąsiadki Pączkowskiej, a sama zapraszając uprzejmie wchodzących, zapytała co zjedzą i czego się napiją. Zaprosiła ich do pokoju i "rozładowała" ciężką atmosferę w kuchni - wysłała Władysława Melsztyńskiego do warsztatu do ojca, schowała "zakazane papiery" do uszkodzonej piłki i kopnęła ją pod stół i zaczęła przygotowywać śniadanie.

Kiedy weszli Niemcy, Stefan chodził "spokojnie" po kuchni liżąc łyżeczkę z cukru. Tak mógł się zachowywać tylko domownik. Pewne zachowanie gospodyni, jej uprzejmość i "normalne" zachowanie domowników - zmyliło wroga. Nie pytali o nikogo. Jedli śniadanie obficie popijając gorzałką, a kiedy tej zabrakło, gospodyni zaproponowała przyniesienie trunku od swojego ojca (mieszkającego dalej na wsi). Jako chętny zgłosił się "domownik" Stefan, który z tej okazji dostał przepustkę do pewnego poruszania się po wsi. Idąc po bimber, zostawił broń w starej wierzbie (miał ją zawsze przy sobie).

Matka drżała, by Niemcy nie usiedli na łóżku, w którym były schowane granaty. Małego Ludwika przerażały trupie czaszki na czapkach, a oni zapytali tylko, dlaczego córka płakała. Matka powiedziała, że nie chciała iść do obory zanieść karmy dla świń.

Ojciec bardzo przeżył te "odwiedziny" - nie mógł wypowiedzieć słowa, chodził przerażony i blady, zaś sąsiadka Pączkowska (u której mieszkał Melsztyński) była przygotowana na śmierć. Najbardziej niebezpieczna "wizyta" skończyła się szczęśliwie.

Bełzowski Mieczysław ps. "Brzózka"

W 1942 r. składał przysięgę na ręce oficera Greguły (w kuchni u Filara Bronisława). Wykonywał jedno z ważnych zadań, jakim było zdobywanie i przechowywanie broni. Jeden magazyn broniu był w pustym domu po Ślamach, drugi u Lipki Adama w stodole i nie zamieszkałym jeszcze domu Krasa Wojtka. Zgromadzoną broń (kbks, pistolety, granaty) przenosili nocą do głównego punktu zbiórki przed wyruszeniem do lasu tj. do leśniczówki w Trzemesnej.

Krzemień Edward ps. "Rączka"

Wiosną 1944 r. składał przasięgę partyzancką z Antonim Świątkiem w obecności Lipki Stanisława, Kantora Józefa i Salamona Stanisława (w komorze u Salamona S.). Otrzymał pseudonim "Rączka". Był łącznikiem między placówką "Lota" a placówką w Piotrkowicach.

Od lipca 1944 r. pracował w okopach. Brał arbeits-kartę szedł do okopów, a później wykonywał polecenia "Lota" - przenosił do Wójcika Józefa w Piotrkowicach gazety i ulotki.

Podczas kopania rowów w Łękawicy, jeden z Niemców dozorujących pracowników, zauważył, że Edward nie poszedł z innymi do Karwodrzy, ale w kierunku Piotrkowic. Od tego czasu bacznie śledził każdy jego krok. "Rączka" poinformowany przez kolegów, zmienił taktykę - szedł z innymi w kierunku Karwodrzy, a następnie w lesie zmieniał kierunek na Piotrkowice. Ponieważ w każdej chwili mógł być wylegitymowany przez Niemców, musiał znać "cel" swojej wizyty - miał chodzić do dziewczyny (wcześniej umówiona znajoma wiedziała o tym).

Jednym z zadań było sprawdzenie, czy Bełzowski Gaweł nie posiada broni (a ta była potrzebna partyzantom). Gospodarz zaprowadził ich do bardzo dobrze zamaskowanego schronu-bunkra w pobliżu domu, z którego wynieśli dwa karabiny i kosz granatów. Zanieśli je na zbiórkę do lasu. Odbywały się one w Dębcynach, w brzezinie Salamona Stanisława. Organizował je Edward Wójcik ps. "Witka", nauczyciel, który w 1944 r. zamieszkał w domu po Żydzie Ślamie. Tam właśnie wyznaczono zadania kolegom-partyzantom, typowano chłopców do lasu, takich, którzy nie byli niezbędni w domu. 31 lipca sformowano drużynę i Karwodrzanie poszli do lasu. Do domu przychodzili tylko nocą, aby zorientować się, co się dzieje na wsi. Zadanie takie otrzymał Kosiba Władysław i Świątek Antoni.

Partyzanci mieli swój kodeks postępowania, który zapobiegał wielu niebezpiecznym sytuacjom. Np. jeśli spotykali się w grupie, umawiali się o czym rozmawiali, by w razie konfrontacji z okupantem mieli jednakową odpowiedź. Nie wolno była napadać na wroga we wsi, gdyż następstwem tego mogłoby być spalenie wioski. Nie wolno było oglądać się za Niemcami, bo w każdej chwili groziła "spowiedź" na gestapo.

"Rączka" miał takie spotkanie z Oppermannem - dowódcą gestapo w Tuchowie. Ten pan elegancko ubrany, o miłym wyglądzie, przyciągał uwagę wielu, również jego. Na jednej z ulic Tuchowa zauważył przystojnego mężczyznę i oglądnął się za nim. To samo zrobił Opperrmann. Natychmiast "Rączka" został ostrzeżony przez kolegę-patrtyzanta-Szymczyszyna, kto to jest, by nigdy nie oglądał się za Niemcami i szybko "zszedł z oczu" okupanta.

Drugi incydent też skończył się szczęśliwie. Pewnego wieczoru, kiedy wracali z jednej z "wypraw", zobaczyli na drodze świecące latarki. To szli Niemcy. Cofnęli się szybko za krzaki olszyny. Kolega z którym szedł, odbezpieczył karabin i miał strzelać. Edward chwycił go za włosy i zdążył powstrzymać od strzału i być może od pacyfikacji wsi.

Filar Wojciech ps. "Brzoza"

Po powrocie z wojny mieszkał w domu i pracował na roli, od 1942 r. należał do ruchu oporu. Do prac polowych często wypożyczał konie ze dworu, z końmi przychodził Niemiec, który był odpowiedzialny za nie. Niemiec ten cały czas nosił karabin, a kiedy Wojciech zapytał go dlaczego pracuje w polu z karabinem, odpowiedział, że boi się partyzantów. Na co rolnik-partyzant powiedział, że partyzanci nie zabijają w polu przy pracy.

Zadaniem "Brzozy" było dostarczenie ubrań (niemieckich), butów i żywności. Na Niemców napadano w nocy w lesie lub na drodze, daleko od wsi - zabierano ubranie, broń i wypuszczano wolno. Tak zgromadzoną broń przechowywał w dwóch ulach swojej pasieki. Pewnego razu Niemcy przyszli na kontrolę, pierwsze kroki skierowali ku ulom. Na szczęście były to ule z pszczołami, które zaatakowały wizytujących, a ci - szybko odeszli. "Brzoza" przeżywał ciężkie chwile, z pewnej odległości obserwował dom i czekał kiedy będzie płonął. Za chwilę - po odejściu Niemców - powoli przyszedł do rodziny.

Broń z ula (krótkie pistolety i granaty) przenosił w plecaku do Lichwina i do Buchcic.

Również żywność dostarczał do punktu do Lubaszowej (z Kantorem Józefem). Przykro mu było kiedy leśniczy z Trzemesnej (Gdowski) nie oponował przy zabieraniu jedzenia, tylko płakał. Musiał jednak wykonać zadanie.

Zając Józef ps. "Kukułka"

Pewnego dnia 1942 r. Adam Krzemień poprosił go, by wieczorem przyszedł do Stanisława Lipki. U Lipki był już Wojciech Filar. Gospodarz poinformował, że zakładają podziemną organizację i proponuje przystąpić do niej. Zdecydował się zaraz. "Lot" odczytał tekst przysięgi partyzanckiej, której zobowiązał się przestrzegać wraz z Wojciechem Filarem. Wybrał sobie też pseudonim "Kukułka".

O jego pracy w konspiracji tak pisze młodszy kolega "Saba" : "... znajomy mi jako bliski sąsiad. W październiku 1942 r. spotkałem się z nim u dowódcy placówki "Teresa" na terenie Karwodrzy u pl. "Lota" (Lipka Stanisław). Tam zaczęła się nasza praca konspiracyjna. Jako żołnierz września prowadził z nami-młodzikami, ćwiczenia. Przekazywał swoje doświadczenie wojenne, jak należy odchodzić się z bronią, gdyż w naszej placówce było dużo młodych chłopców nie znających regulaminu wojskowego, musztry wojskowej ... A wiosną 1944 r. prowadził szkolenie strzelania do punktu pod osłoną nocy ... Przenosił ładunki i broń... W czasie akcji "Burza" był jednym z tych co organizowali żywność po wioskach, wypiekali chleb i dostarczali go nam do lasu, do punktu w Burzynie, Jodłówce czy Lichwinie

oraz przekazywali nam wiadomości od naszych rodzin... Był on przez nas młodych bardzo lubiany"[50].

Inny świadek jego działalności pl. "Lis" zeznaje: "...jego obowiązkiem było prowadzić łączność między placówkami w Tuchowie, Ryglicach i Lichwinie... prowadził szkolenia i ćwiczenia AK, ponieważ był w wojsku. Był doświadczonym żołnierzem... Pracował w konspiracji do końca wojny. Podczas akcji "Burza" trudnił się zbieraniem i dostarczaniem żywności do oddziału "Barbara" na punkty zbiorne w Burzynie i Lichwinie"[51].

Kus Alojzy

Współpracował z partyzantami, naprawiał broń. W czasie tej czynności - wykonywanej w oborze - cały dom był obstawiony przez nich. Do współpracy w konspiracji wciągnął go Solarz Kazimierz, gdy on zginął przychodzili inni. Ukrywał te kontakty przed wszystkimi, nawet przed matką. Odwiedzający go partyzanci, maskowali się (przychodzili niby mielić proso). W czasie ostatniej zbiórki w domu, dostał na pożegnanie paczkę "leśnej" herbaty. Była wspaniała. Nie zna nazwisk ani imion tych ludzi (oprócz wspomnianego Solarza). Po wojnie odwiedził go jeden z nich, (wiedział, że był podoficerem), który prosił, by nigdy nie przyznawał się do kontaktów z nimi i zapomniał o całej sprawie. Zbliżał się bowiem okres prześladowań uczestników ruchu oporu. "Zdradził" ich po 50 latach.

Stańczyk Edward ps. "Skała"

Przysięgę partyzancką składał latem 1942 r. na ręce Stafana Greguły w domu Filara Bronisława. Pierwsza zbiórka wymarszowa na partyzancki szlak odbyła się na leśniczówce w Trzemesnej u Gdowskiego. Przeszedł całą trasę batalionu "Barbara" od Machowej przez Świniogórę . Żurową - Ratówki - Lubaszową - Suchą Górę - Brzozową - Jamnę. Był w plutonie "Lisa" (Kosiba Władysław). Na "wypady" chodził najczęściej w towarzystwie Antoniego Świątka, Jana Janury i Łątki z Łowczowa. W czasie postaju w Brzozowej, niewiele brakowało, by nie został postrzelony przez Niemców, kula przeszła tuż koło głowy. Po szczęśliwym wyjściu z matni niemieckiej, ukrywał się, spał u sąsiadów w Karwodrzy lub Zalasowej. Trwało to do wyzwolenia ziemi tarnowskiej.

Salamon Władysław

Był najmłodszym partyzantem we wsi, pierwsze kontakty konspiracyjne nawiązał jako 17-letni chłopiec.

---

[50] Oświadczenie świadka Salamona Władysława (kopia oświadczenia u autorki)

[51] Oświadczenie świadka Kosiby Władysława (kopia u autorki)

Ruch oporu powstał w Karwodrzy w 1940 r., kiedy wrócił ze wschodu Lipka Stanisław. W pierwszych dniach wojny, szedł z falą uciekinierów i wojskiem na Lwów. Tam właśnie oficerowie i podoficerowie WP tworzyli zawiązki armii podziemnej. Po powrocie z niewoli (uciekł z transportu jadącego do Niemiec), założył "cichą" partyzantkę do której należeli ci, którzy wracali z wojny lub byli we wojsku, a więc: Czechowski Władysław, Salamon Stanisław, Krzemień Adam, Lipka Adam, Lipka Karol, Salamon Jan, Filar Wojciech, Zając Józef, Kosiba Władysław. Przynależność do organizacji była okryta tajemnicą (nie wiedziała nawet najbliższa rodzina).

W 1942 r. (14 lutego) Związek Walki Zbrojnej przekształcił się w Armię Krajową, wtedy poszerzono grono ochotników. Do AK przystąpili: Krzemień Feliks, Matug Wojciech, Jękot Bartłomiej, Kantor Józef. Jesienią tego roku nastąpiło zwiększenie liczby AK-owców, przystał do nich: Salamon Władysław, Kowalski Władysław, Salamon Józef (z Góry), Krzemień Stanisław, Przedział Jan, Stańczyk Edward, Bełzowski Mieczysław. Na wiosnę 1944 r. w związku z akcją "Burza", nastąpiło dalsze zwiększenie liczby chętnych do działalności partyzanckiej, przybyli:Świątek Antoni, Krzemień Edward, Janura Jan, Siwak Tadeusz. Około 30% dorosłych mężczyzn we wsi należało do konspiracji.

Aktywność placówki "Teresa" (nazwa placówki w Tuchowie, zmieniona po śmierci Głosa "Góry") nasiliła się. Zaczęto przygotowywać się do zbrojnego powstania. Prowadzono ćwiczenia wojskowe dla tych, którzy nie odbyli służby wojskowej i nie umieli posługiwać się bronią. Odbywały się one wieczór na dworskich polach koło Sikorzeńca (na polu Lipki Adama). Strzeleno w nocy w drzewo a rano liczono celność strzałów. Przeprowadzano też szkolenia w bunkrze leśnym koło Bełzowskiego Gawła. Zbierano mundury wojskowe, buty i żywność dla partyzantów.

Akcją "Burza" objęto teren całego kraju. W tarnowskim organizowano to następująco. Do bogatszych domów, dworów przesyłano zawiadomienie-zapotrzebowanie (przez posłańca partyzanta) o przygotowaniu produktów żywnościowych czy innych potrzebnych "leśnym ludziom". Podawano miejsce, datę i godzinę odbioru. O określonej porze przychodził partyzant (w obstawie) i na umówione hasło odbierał towar. Władysław wraz z kolegami - Zającem Józefem i Kosibą Władysławem - chodził po "kosz" do Tyrki, właściciela dworu w Piotrkowicach oraz do dworu w Łowczowie. Partyzanci chodzili tylko nocą, porozumiewali się umówionym zestawem kolorów światła (czerwonym, zielonym i białym).

Jednym z rozkazów jaki otrzymali tuż przed pójściem do lasu było zabranie od miejscowego leśniczego munduru, strzelby, siodła i pasa. Nie wiedzieli jak zareaguje ich właściciel, jak też nie chcieli być poznani. Dlatego do leśniczówki weszli chłopcy z Jodłówki a Karwodrzenie stali na

straży. Leśny - Roman Peca - stawiał opór, dlatego został obezwładniony. Było ciemno, szukali przy latarkach i zabrali niepotrzebne rzeczy, które później zwrócono.

Partyzanci nie brali nic dla siebie, przestrzegali ściśle rozkazu dowództwa głównego AK, który ostro zabraniał przywłaszczania rzeczy zbędnych. Dowództwo polskiego podziemia dbało o morale swoich członków.

Jednak często "pod płaszczykiem" partyzantów działały bandy złodziejskie. Zabierały wszystko na konto "leśnych ludzi". Mieszkańcy nie rozróżniali ich, gdyż jedni i drudzy mieli broń i mundury.

Robiono nadal zapasy żywności i ubrań. Jednym ze sposobów zdobywanie ich, było przebieranie się w niemieckie mundury (uprzednio zdobyte na wrogu) i posługiwanie się językiem okupanta. W ten sposób zabrano z Tarnowa towar przeznaczony dla Niemców. Były to zapasy mąki, butów i mundurów - pokwitowano odbiór podbijając ukradzioną niemiecką pieczęcią.

W Karwodrzy wypiekano chleb dla partyzantów z mąki odebranej w tarnowskim młynie - w powyżej przedstawiony sposób. Pieczono go w wielu domach, między innymi u Bełzowskiego Gawła, Iwaniec Bronisławy, Filara Bronisława, Pączkowskiej Julii. Chleb ten dostarczano do Burzyna, do umówionego punktu (partyzanci z batalionu "Barbara" przebywali wtenczas w Jodłówce). Każda kompania miała swoich piekarzy i kucharzy. Byli nimi najczęściej zbiegli z niewoli niemieckiej Gruzini i Azerbejdżanie. Dodatkowym piekarzem był Staszek Szeląg "Szampan" - w czasie przemarszu przez poszczególne miejscowości wypiekał w domach chleb dla swoich kolegów. Posiłki przygotowywano z wcześniej zrobionych zapasów, uzupełniając menu bieżącymi darami (np. baranami).

Na partyzancki szlak udał się najpierw brat Jan. Ostatniego lipca 1944 r. Karwodrzanie poszli na punkt zborny do gajówki w Trzemesnej. Byli pierwsi, gdyż mieli najbliżej. Czekali na innych kilka dni. W tym czasie Władysław odwiedzał brata przynosząc mu jedzenie. Po pierwszej "wpadce" w Machowej, Jan wrócił do domu (przyszło z nim wielu kolegów z Zabłędzy i Tuchowa). Nie podobała mu się organizacja batalionu i panujący w niej chaos. Jako żołnierz i uczestnik wojny, widział wiele błędów organizacyjnych. Po tygodniu, za Jana poszedł Władysław (przyszedł po niego Kosiba Władysław i Trzeciak Tadeusz). Partyzanci byli już w Żurowej, wcześniej w Ryglicach dokonano podziału batalionu na kompanie i plutony. Z Żurowej udali się do Jodłówki-Ratówek.

W nocy z 7/8 września przeszli lasami przez Burzyn, na Dąbrówkę i Lichwin. Gdy dotarli do szosy Krynica-Tarnów musieli zatrzymać się. bo trzy stare szerokie samochody nie mogły zmieścić się na drodze prowadzącej z Dąbrówki do Mesznej. Dwa patrole pilnowały szosy: jeden od strony Sied-

lisk, drugi od Tuchowa. Po usunięciu drzew stojących na przeszkodzie (ścinali je), ruszyli dalej. W Mesznej zastał ich już świt, spotkali ludzi idących na okopy. Do Lichwina szli gołymi zboczami. Na szczęście, już gdy znaleźli się w lesie nadleciał samolot niemiecki i rzucił na nich serię strzałów. Usytuowane na cmentarzu-Gródek działo, trafiło go. Samolot odleciał i już nie wrócił. Dotarli do Brzozowej-Polichty (postój trwał około tygodnia) i następnie do Jamnej.

Po dwutygodniowym pobycie w tej miejscowości, nadchodził niebezpieczny moment okrążania batalionu przez wroga. Siły okupanta były kilkakrotnie większe niż partyzantów. Należało wycofać się po jednodniowej wyczerpującej walce (25 IX). Batalion podzielono na dwie duże grupy. Drugą grupę tworzyli Azerbejdżanie i około 30 partyzantów z III kampanii. Razem około 130 osób prowadził ich por. "Wilk". Wyszli wieczór o godz. 21^{00} szli całą noc i rano stwierdzili, że wrócili w to samo miejsce z którego rozpoczęli marsz (w czasie nocnego marszu nie wolno było rozmawiać).

Karwodrzanie rozmieszczeni między Azerbejdżanami nie mogli odnaleźć się. W czasie postoju w Siekierczynie "Saba" zasnął (miał mocny sen). Rano plutonowy "Lis" zaczął chodzić między Azerbejdżanami i szukać swoich. Znalazł młodszego kolegę zmarzniętego, skostniałego, nie mogącego wypowiedzieć słowa (zęby mu dzwoniły). Towarzysze broni (Karol Lipka, Jan Janura, Przedział Jan, Władysław Kosiba) zdjęli swoje ubrania, okryli nimi Władysława i nacierając - rozgrzewali. Po godzinie masażu "doszedł do siebie". W pewnej chwili zauważono Niemców, stali w odległości około 50 m, narazie ich nie widzieli, ale zbliżały się do nich psy niemieckie. Nie szczekały tylko spokojnie wąchały ubrania Azerbejdżan. Dowódca polecił dać serię z karabinów maszynowych. Zaskoczyło to Niemców i powstrzymało od dalszego marszu. Partyzanci oddalili się. Gdyby nie koledzy i ich "rozgrzewka" - "Saba" zostałby na leśnej polanie na zawsze. Cały dzień czekali w lesie, gdyż byli otoczeni przez wroga.

Pod osłoną nocy wycofali się cicho, idąc wzdłuż strumyka. Odległość od wojska okupanta była bliska, widzieli palące się papierosy żołnierzy Wermachtu i SS Galizien. Już było rano i należało pokonać niewielką odległość dzielącą ich wzgórza, gdzie stali Niemcy.

Porucznik "Wilk" polecił swojej kompanii zrobić rachunek sumienia i nastawić się na najgorsze. Na wszystko było już za późno. Ruszyli "spokojnie" przed siebie. Szli z Azerbejdżanami. Żołnierze z "Reginy" stanowili mniejszość, jakby "ginęli" między kolegami w niemieckich mundurach. Niemcy popatrzyli na przechodzących. Dopiero po chwili, kiedy byli już w lesie, padły strzały.

Partyzanci szli na Bukowiec a nastąpnie przez Pławną, Zborowice udali się do Rzepiennika i Jodłówki. Tam nastąpiło rozwiązanie i reorganizacja kompanii. "Saba" wrócił do domu 15 października 1944 r.

Opatrzność i szczęście sprzyjało "chłopcom z lasu". Mimo wielu tragicznych sytuacji, udało się im wyjść z nich bezpiecznie.

Świątek Antoni ps. "Sokół"

Pierwsza zbiórka rozpoczynająca marsz bojowy odbyła się 31 lipca 1944 r. w gajówce trzemeskiej, w godzinach wieczornych. Następnie nocą - po kolku dniach - rozpoczął się marsz do Machowej. Tam już czekały inne oddziały. Rezultatam pierwszego "zwiadu" był jeden postrzelony. Dowództwo batalionu stwierdziło, że teran Machowej nie nadaje się do działań partyzanckich i zdecydowano przenieść się do Zalasowej na Świniogórę. W czasie dwutygodniowego pobytu robiono wypady na drogi, celem zdobycia pojazdów okupanta. Zginął pierwszy partyzant. Obawiano się represji ze strony Niemców na bezbronnych mieszkańcach wsi, dlatego przeniesiono teren działań do następnej miejscowości - Żurowej, a później na Gilową Górę i do Jodłówki Tuchowskiej - Ratówek.

Kiedy wróg wykrył ich pobyt i zamierzał otoczyć, blokując wszystkie drogi przejazdowe, ci przeszli lasem (nocą) przez Burzyn, Dąbrówkę do Lichwina. Marsz trwał cały dzień. Strzelano do nich z samolotu - nikt jednak nie został poszkodowany. W Lichwinie były już potyczki z wojskiem niemieckim i granatową policją, a w Brzozowej-Polichty bezpośrednia walka.

Partyzanci wycofali się do Jamnej. W czasie 2-tygodniowego pobytu w tej miejscowości spotkali się z dezerterami z wojska niemieckiego-Azerbejdżanami. Odtąd losy 90 Rosjan są związane z III kompanią.

Dzień przed rozstrzygającą bitwą, "Sokół" z kilkoma kolegami pełnił dyżur w Jastrzębi. Od mieszkanki tamtej wsi dowiedzieli się, że przyjechało dużo wojska niemieckiego do Jastrzębi i okolicy. Słychać było odgłosy strzelaniny. Za niedługo przyszedł po nich "Szampan" - Szeląg Stanisław, z poleceniem, by cała drużyna z Karwodrzy zgłosiła się do głównej kwatery. Tam zdecydowano, że nocą opuszczą Jamnę. Utworzyła się kolumna marszowa. Pięciu zwiadowców (między innymi "Sokół") poszło przodem. Napotkali "gniazdo" wroga; po strzelaninie wycofali się. Zdecydowano zostawić tabor - konie, wozy, samochody, traktor, który powodował hałas. Poszli sami ludzie. Batalion rozbito na dwa oddziały i każdy szedł osobno. "Prześlizgnęli się" wszyscy. Zaimprowizowano "teatr" - przodem szło kilku partyzantów w niemieckich mundurach, w środku Azerbejdżanie z rękami podniesionymi do góry, za nimi raszta kompanii. Niemcy nie zareagowali, prawdopodobnie myśleli, że oddział niemiecki zabrał do niewoli party-

zantów i Azerbejdżan. Za chwilę po przemarszu padły strzały. Było już za późno, partyzanci wyszli z matni.

Janura Jan ps. "Sowa"

Przeszedł z innymi szlak bojowy batalionu "Barbara" od Machowej do Jamnej. Podczas pobytu w Ryglicach i Jodłówce nawiązali kontakt z Azerbejdżanami, którzy uciekli z transportu niemieckiego wiozącego ich na front włoski. Przebywali z nimi w Jamnej i wracali stamtąd razem. Kilkakrotnie ich niemieckie mundury, ocaliły polskim kolegom życie. Przebywając w swojej kryjówce w Jodłówce-Ratówkach, widzieli aliancki samolot - zestrzelony przez wroga. Spadł niedaleko miejsca ich postoju, cała załoga zginęła. W Jodłówce byli już "spaleni", i musieli udać się gdzie indziej. W czasie nocnego przejścia z Jodłówki i Burzyna do Lichwina, zaatakował ich samolot niemiecki. Dowódca III kompanii - por. "Wilk" dał salwę do samolotu, trafił go, samolot zniżył się i już nie powtórzył lotu. Zatrzymali się na chwilę w Lichwinie, Brzozowej i Jamnej.

Pobyt w Jamnej trwał około dwa tygodnie. W czasie pobytu w tej miejscowości dowiedzieli się, że w pobliżu znajduje się oddział rosyjski. Okazało się, że byli to ochotnicy idący na wsparcie powstania słowackiego, mieli ze sobą dużo pieniędzy (różnych), ale mało jedzenia. Nasi zaopatrzyli ich w żywność i w dowód przyjaźni dostali "pepeszę". Później dowiedzieli się, że na granicy polsko-słowackiej NKWD rozstrzelało ich za kontakty z AK. W swojej kompanii mieli Rosjan, Gruzinów oraz Azerbejdżan (kilku z nich było kucharzami). Jeden z nich, Tołstoj, często patrzył na zdjęcie Stalina, które nosił przy sobie i mówił: "W buduszczjem w Polsze budjet Rosja, a dalsze Ameryka". Polscy partyzanci śmieli się z tego, nie przypuszczali, że był tak blisko prawdy.

Karwodrzanie byli na placówce w Jastrzębi, kiedy Niemcy otaczali Jamną i zamykali wszystkie drogi prowadzące do niej. Zostali odcięci od kwatery głównej, nie zdążono im przysłać łącznika (przyszedł po nich "Szampan").

Szli w kierunku miejsca pobytu dowództwa. Dojście było okropne. Wtedy odbył się "bieg życia". Wieczór walka ustała. Zdecydowali "przebić się"na południe. Pięciu poszło na szpicę (między innymi on, Świątek i Łątka "Łaska"). Znaleźli się w odległości około 50 m od placówki niemieckiej, pluton był za nimi około 100 m. Przybył wtenczas łącznik z informacją o wycofaniu się. W wąwozie zostawiono konie, wozy a zabrano tylko amunicję i żywność. Rozdzielono się na mniejsze grupy. Jedna z nich kompania "Regina" i Azerbejdżanie poszli na południe. W międzyczasie Niemcy przygotowywali się do walki, do Jamnej nadchodziły coraz to nowe posiłki dla wroga. Partyzanci wycofywali się pod osłoną świtu i mgły. Cudem przeszli

obok biwaku okupanta. Dostali się do Falkowej. Po posiłku na leśniczówce i odpoczynku, udali się do Jodłówki - Ratówek. Tam nastąpiło rozwiązanie III kompanii "Regina" i akcji bojowej.

Kosiba Władysław ps. "Lis"

Był plutonowym II plutonu kompanii "Regina", w skład którego wchodziła drużyna z Karwodrzy. W czasie pobytu partyzantów w Jamnej, przebrany w niemiecki mundur, został wysłany do Jastrzębi na zwiad. Kiedy wracał stamtąd z kilkoma kolegami (z Karwodrzy), zobaczyli ich Niemcy i zaczęli strzelać. Zwiadowcy szybko ukryli się w jarze leśnym. Między wzgórzem na którym byli Niemcy, a tym gdzie mieli dotrzeć - znajdował się otwarty teren, który należało pokonać. Postanowili go przebiec. Padły wtenczas rekordy życiowe w biegach. Nikogo nie stracili, tylko został ranny "Konik".

Tymczasem Niemcy otaczali Jamną dzień i noc. Działa niemieckie były ustawione na wszystkie strony. Trudno było ukryć około 700 osób. Partyzanci leżeli wlesie, a kule świstały nad nimi. W czasie tej biernej obrony "Lis" zgubił dowód osobisty. Na szczęście znalazł go kolega z kompanii, w innym przypadku, spłonęłaby cała Karwodrza. Kiedy ściemniło się, wrócili do obozu, gdzie był zostawiony tabor, postanowili go porzucić. Zaczął padać deszcz i robiło się ciemno. Pluton "Lisa" skierował się do miejsca pobytu dowództwa batalionu, ale tam byli już Niemcy. Po drodze spotkano dwóch wrogów, których zabito. Dotarli do swoich. Wycofywali się z Azerbejdżanami do Falkowej, najpierw do gajówki, później do szkoły. Tam mieli nocleg. Odpoczywali cały dzień. Następnego dnia około godziny 10^{00} udali się do sołtysa. Kiedy byli w jego domu weszło kilku Niemców. Wyprowadzili ich z domu, rozbroili i wypuścili wolno. Do Falkowej docierały strzały z Suchej i Słonej Góry.

W tym czasie, gdy Niemcy gromadzili posiłki w Jamnej, do tejże miejscowości dotarli partyzanci z Nowego Sącza. Zaczęła się walka w wąwozie, zginęło kilkudziesięciu żołnierzy niemieckich. Straty partyzantów były małe. Dopiero w drodze powrotnej w Dąbrach i Słona zginęło kilkunastu AK-owców, zdradzonych przez miejscową ludność. Pochowano ich w mogiłach partyzanckich w lesie, później na cmentarzach, gdzie do tej pory odwiedzają ich koledzy z batalionu.

Michał Szarek ps. "Bogdan"

"Po trzech tygodniach kwaterując we wsi Jamna wykonaliśmy wiele wypadów i potyczek z wrogiem. Jak wynikło potem z wywiadu, do Jamnej dotarł "cywil" - Niemiec władający świetnie językiem polskim. Przyjęty w szeregi partyzanckie przekazał "swoim" wiadomości dotyczące naszego bata-

lionu - jakie uzbrojenie, ilość żołnierzy, plan kwater, dojazdy i wszelkie dane potrzebne Niemcom do natarcia na oddział 16 pp AK.

Wieczorem 23 września z obozu zniknął żandarm niemiecki. W tym dniu sztab zaostrza czujność, wydaje rozkazy, wysyła patrole, grzbiet 530 obsadza bronią maszynową i granatnikiem. Żołnierze fasują amunicję i żywność na 24 godziny.

Żołnierze jeszcze nie wiedzą co to znaczy - w dali słychać detonacje - to zbliża się front rosyjski. Czekamy na zrzut wieczorny ale komunikat z Londynu nas niepokoi.

Dowódca zarządza odprawę oficerów i dowódców kompanii. Wszyscy niecierpliwie czekają na decyzję.

O godzinie 23^{00} wchodzi porucznik "Wilk" - Sergiusz Kapura - wzywa trzech ochotników do kwatery III kompanii. Zaległa cisza, nikt nie kwapi się z odwagą. Pada rozkaz: Bogdan do mnie! - Tak jest, panie poruczniku! - odpowiadam. Serce zadrżało ale wstępuje we mnie duch żołnierski. Nie wiem jakie zadanie, wciągam buty na nogi, po czym wychodzimy na plac przed kwaterę. Porucznik mówi jasno: Jesteśmy otoczeni przez duży oddział niemiecki, gotowy do natarcia! Rozkazał dobrać dwóch żołnierzy w celu wykonania zwiadu w kierunku: Jastrzębia, Kąśna Górna, Kąśna Dolna. Należało odebrać i dostarczyć szyfr, który prawdopodobnie miał dotyczyć informacji o działaniach niemieckich przeznaczonych do walki z partyzantami.

Melduję, że rozkaz wykonamy. Zdaję osobiste rzeczy koledze "Doktorowi", wybieram broń automatyczną, amunicję i granaty. Patrol liczy trzech żołnierzy: "Bogdan" - Michał Szarek, "Rekin" - Stefan Reczek, "Wilczek" - Zbigniew Horyński. Wyruszyliśmy w ciężką i niebezpieczną drogę. Po wyjściu z lasu Jamnej wychodzimy na polanę pod lasem. Widzimy dom - jako dowódca stukam pierwszy do drzwi i pytam czy są Niemcy. Dwaj pozostali żołnierze ubezpieczają mnie. Niemcy przed chwilą odeszli! - odpowiada przestraszona kobieta, gdy wszedłem do domu. Płacze - koniec świata, było ich chyba ze 150 i 40 tankietek.

Słyszę na strychu jakieś szmery, więc wołam: Schodzić bo strzelam! Ze strychu doszła odpowiedź: Nie strzelać, schodzimy! Było ich 4 lub 5. Byli to dezerterzy z naszego batalionu. Po krótkim przesłuchaniu, odprowadziliśmy ich na placówkę obok lasu. Zbiegów oddałem dowódcy placówki kpl Kosiba Władysław.

Rozpatrzywszy się w terenie uważam, że grzbiet 530 będzie atakowany ze strony Siekierczyny i Paleśnicy.

Zabierając ze sobą 16-letniego syna (gospodyni) jako przewodnika, który bardzo chętnie z nami poszedł i jak się później okazało bardzo nam pomógł. W drodze dowiedział się od swojej rodziny, że Niemcy kwaterują

we dworze w Jastrzębi. Podeszliśmy do dworku, nasz chłopak sam zbliżył się do parobka, który spał w stajni. Pod pretekstem otrzymania papierosa dowiedzieliśmy się, że Niemcy niedawno odeszli. Weszliśmy do domu. Właściciel patrzył na nas z obawą - hełmy niemieckie, broń automatyczna ale opaski biało czerwone. Niech się pan nie boi! - mówię - My jesteśmy partyzanci, chcemy przeprowadzić zwiad, przepraszamy za przerwę we śnie! Zabraliśmy szyfry i wyszliśmy na szosę. Właściciel ostrzega, prosi! Chłopcy wracajcie z powrotem, tam dalej słychać Niemców! My z drwiną na ustach lecz z pewną obawą mówimy: "Służba nie drużba" Jednak zachowujemy pełną czujność i cicho dochodzimy do szkoły w Kąśnej Górnej. Obudzony i przestraszony nauczyciel zaczął uciekać. Wzięliśmy go pod ręce, weszliśmy do mieszkania, tam podał nam przybliżoną ilość Niemców, którzy odeszli w stronę Kąśnej. Zabierając ze sobą szyfr pożegnaliśmy pana nauczyciela. Podeszliśmy do drugiej szkoły - tam już było ostre czuwanie. Kierownik szkoły zawrócił nas, ponieważ przeszliśmy linię kwater niemieckich.

Powrót zwiadu był udany, stanowisko dowodzenia obsadzone w szkole w Jamnej. Oddając szyfry i uzyskane informacje, dowódca przegrupowując batalion spowodował przeciwuderzenie od strony Siekierczyny i Paleśnicy. I tak obronną ręką wyszliśmy z otoczenia, Niemcy ponieśli duże straty. My także straciliśmy cały tabor, a przede wszystkim kilku żołnierzy - zabitych i ciężko rannych"[52].

Bień Benedykt ps. "Wyrąb"

Przysięgę partyzancką składał dwa razy, pierwszy raz w 1942 r. Od 1942 r. do 1943 r. siedział w więzieniu za działalność konspiracyjną (najpierw pół roku w Tarnowie, później rok w Wiśniczu). Przetrwał więzienie dzięki jedzeniu dostarczanemu przez przekupionego strażnika. Gdy wrócił z przymusowej izolacji, składał drugi raz przasięgę przed Józefem Wojtanowskim z Tuchowa. Jego placówką macierzystą był Lichwin, ale między placówkami trwały nieustanne kontakty. "Wyrąb" kolportował nielegalną prasę, przenosił ją z Lichwina do Pleśnej, Tuchowa, Piotrkowic. Rozklejał też ulotki o patriotycznej treści w Lubaszowej, Dąbrówce, Tuchowie. W czasie przyklejania ulotki na tuchowskim rynku (na drzewie koło św. Floriana) spostrzegli go Niemcy i zaczęli strzelać. Zdążył uciec koło apteki do pobliskich zarośli.

W AK znajdowali się członkowie różnych stronnictw politycznych. Na terenie gminy Tuchów - łącznikami między poszczególnymi placówkami byli członkowie PSL-u: Podgórski Mieczysław ps. "Ryba", Orlof Franciszek ps.

---

[52] M. Szarek, Z kroniki "Bogdana" - st. strzelca Michała Szarka (maszynopis)

"Zabawa", Kmak Stanisław ps. "Pokrzywa". W każdej wsi byli łącznicy i sanitariuszki przygotowane do pełnienia zadań w czasie przewidywanego powstania narodowego.

Partyzanci udali się na bojowy szlak. W swoich wspomnieniach "Wyrąb" pisze[53]: : "Dnia 30 lipcy 1944 r. od Michalika ps. "Wicher" wyruszyła kilkunastoosobowa grupa partyzantów gotowych na wszystko, choć tylko częściowo przygotowanych do walki z Niemcami. Pamiętam, dostałem karabin krótki, kawaleryjski w bardzo dobrym stanie i kilkanaście naboi - więc stanąłem w pierwszym szeregu jako ubezpieczenie. Dołączył do mnie "Rekin", i tak zaczęła się szpica kompanii "Regina". W Trzemesnej dołączył do nas "Krasny" i już do końca partyzantki nasza trójka: "Rekin", "Krasny" i "Wyrąb", jako pierwsza szpica prowadziła batalion "Barbara".

Dnia 6/7 sierpnia kompania "Regina" (III kompania) organizuje zasadzkę na drodze w Szynwałdzie. Siedzimy ukryci w lasku przy drodze całą noc, aż dopiero rano, kiedy mieliśmy powracać do domu, wyjeżdżając zza góry dwa wozy pełne Niemców z Todt. Był to dla nas pierwszy chrzest bojowy, więc strzelania było dużo lecz trafień mniej. Niemcy widząc, gdzie wpadli, wyskoczyli z wozów i pokładli się w ziemniakach. Tam zginęło ich kilku (...) To był nasz pierwszy wypad pod dowództwem "Waligóry" z kompanii "Wilka". Tam zginął też pierwszy kolega - z Tarnowa".

Przenieśli się na Świniogórę, stamtąd również robili wypady. Krótko byli w Machowej. W żadnym miejscu nie mogli przebywać dłużej. Etapem następnym była Żurowa.

16 sierpnia 1944 r. do księdza w Ryglicach przyjechali Niemcy i polecili przygotować kolację dla większej ilości osób. Ksiądz był w kłopocie, bo nie miał tyle zapasów, dlatego zaczął chodzić po domach i prosić o żywność. Niemieccy żołnierze nie przyszli jednak na zwycięską kolację. "Wyrąb" wspomina: "Dnia 16 sierpnia staliśmy na granicy Olszyny - Żurowa, w lesie, na skraju. Pod kościół w Olszynach podjechało siedem samochodów i wysiadło z nich 40 żandarmów kierując się na las. Tyralierą zbliżali się do nas. My mieliśmy strzelać aż będą blisko. Lecz nie doszli, bo poczuli strach i wycofali się do swoich samochodów. Na drodze czekała na nich już druga grupa partyzantów. Zostali zaatakowani przez jasielską partyzantkę (z końcową pomocą naszych) i wybici do nogi. Jeden tylko, prawdopodobnie bez munduru, w samej bieliźnie - dotarł do Ryglic (...) Nasi ze śpiewem "Jeszcze Polska nie zginęła" - przyjechali na dwóch samochodach z biało-czerwoną flagą". Jesielscy partyzanci odebrali okupantowi listę miejscowych ludzi, którzy mieli być zlikwidowani za pomoc niesioną partyzantom.

---

[53] Bień Benedykt, Wspomnienia z działalności kompanii Regina, rękopis udostępniony autorce

Z Żurowej przenieśli się do Jodłówki-Ratówek, byli też krótko w Ryglicach. Właśnie w Ryglicach spotkali się pierwszy raz z Azerbejdżanami. Przysłali delegację prosząc o przyjęcie do partyzantki. Przyjęto kilku, zatrudniając ich jako kucharzy i piekarzy. Inni dołączyli do nich dopiero w Jamnej.

7 września zostali otoczeni przez Niemców. Wyszli nocą przechodząc przez Burzyn (koło dworu, gdzie stacjonowało wojsko okupanta), Lubaszową, Dąbrówkę, Meszną, Lichwin, Rychwałd do Brzozowej. "W rejonie Suchej Góry - Polichty - pisze autor wspomnień - doszło do kilkugodzinnej walki z oddziałami SS. Pamiętam, zostaliśmy w liczbie siedmiu - wysłani na wschodnią stronę, celem zabezpieczenia kompanii. Po zajęciu stanowiska pod miedzą, zauważyliśmy oddział SS wychodzący z lasu na kwitnący łubin. Tam zostali ostrzelani przez nas i równocześnie przez kolegów z kompanii "Regina" (z drugiej strony)... Nasza siódemka miała bardzo dobre pole widzenia na drugie wzgórze. Nastawiliśmy karabiny na 900 m i każdy do swojego Niemca celował wolno, bo Niemcy chodzili po ziemniakach. Nie trwało to długo, bo który został przy życiu, to uciekał. Reszta została w ziemniakach. Zaczęliśmy strzelać do stodoły (bo tam było ich dużo) i wtedy ze wściekłości - Niemcy zapalili stodołę. My zaś nie mając już do kogo strzelać, polecieliśmy za nimi przez las, lecz tam okazało się, że było ich bardzo dużo, a nas tylko siedmiu. Wycofaliśmy się z powrotem. Jeden z naszych stracił orientację, nie wiedział w którą stronę się wycofać i został pod pozycjami nieprzyjaciela aż do zmroku. Skąd po długim poszukiwaniu - odnaleźliśmy go i powrócili do kompanii wszyscy".

Przez około dwa tygodnie przebywali w Jamnej, skąd organizowali różne akcje dywersyjne: w nocy z 14/15 IX w Pławnej wysadzili pociąg pancerny, a 15 IX rozkręcili szyny kolejowe między Bobową a Ciężkowicami.

19 września dowództwo batalionu spotkało się z dowództwem partyzantki radzieckiej - kpt Dowgalowem, któremu oddano 47 Rosjan będących w batalionie "Barbara".

23 września zgłosili się do dowódcy baonu Azerbejdżanie, którzy uciekli z wojska niemieckiego stacjonującego w Ryglicach. Około 100 żołnierzy doszło do "Barbary". "Wyrąb" twierdzi: "Nie mieliśmy z nich żadnej pociechy ani pomocy, bo bardzo bali się Niemców".

Pobyt w Jamnej stawał się niebezpieczny. Wróg był coraz bliżej. Uczestnik walki po latach napisał: "Dnia 25 września batalion "Barbara" został otoczony przez pięć tysięcy Niemców. Wieczór 24/25 zostały jak zwykle rozesłane patrole, jedne do sprawdzenia bezpieczeństwa inne na akcje. Nasza kompania miała swoje stałe placówki obronne, jedna w Jastrzębi, druga na Siekierczynie. Myśmy w kilku dostali zadanie zrobić wywiad w Jastrzębi. Niestety, w tym kierunku, nocą nie było jeszcze żadnych przygo-

towań niemieckich. Ale zaraz ze świtem, przyleciała jedna kobieta i zgłosiła nam, że bardzo dużo Niemców przyjechało i robią przygotowania do walki. Kiedy doleciałem do dowództwa - a było oddalone około 3 km - już była wiadomość z innych stron, o otoczeniu Jamnej przez wojska hitlerowskie. Dostałem nakaz zwinięcia placówki w Jastrzębi i dołączenia do oddziału, obojętnie gdzie będzie walczył. Batalion zaczął przygotowywać się do walki. Pierwsze uderzenie nastąpiło od Siekierczyny. Została z miejsca zapalona stadoła w której były nasze samochody. Został również trafiony kocioł z naszym jedzeniem. Batalion natychmiast - pod osłoną mgły i deszczu - zastał bez strat wycofany na wzgórza do lasu. Tam został utworzony front, który trwał pod bardzo silnym ogniem nieprzyjaciela cały dzień aż do zmroku. Myśmy mieli lepszą pozycję obronną - z góry, gdy tylko z mgły wyłaniali się Niemcy, zastali odpierani krótkimi seriami (musieliśmy oszczędzać naboje). Pomimo wszystko, hitlerowców zginęło 170, a naszych tylko 4 i kilku rannych. Broniła nas mgła i deszcz, bo był zaplanowany atak lądowy i powietrzny. Jeden patrol, który wracał z wypadu nocnego (pod dow. por. "Rysia"), zastał już walkę w pełni. Znając teren, potrafił przejść przez pozycje nieprzyjacielskie i przypadkowo natrafił na furmanki, które wiozły uzbrojenie dla Niemców walczących na pierwszej linii. Patrol zlikwidował Niemców, a te dwa tabory pełne uzbrojenia, wraz z ckm i wyrzutnią granatników, lasem dowieźli do swojej linii obrony. Po zmontowaniu uzbrojenia, linia nasza została wzmocniona uzbrojeniem niemieckim. To może zmyliło wroga. Myśleli, że ich wojsko i wyszli z lasu. Niewielu wróciło z powrotem.

Wieczór, po walce, dowództwo uzgodniło opuszczenie terenu i przebicie się przez pierścień (wroga) w ochronie ciemności. "Jak zwykle szpicę prowadzili chłopcy z III kompanii: Reczek Stefan - "Rekin", Trzeciak Tadeusz - "Krasny", Bień Benedykt - "Wyrąb", Świątek Antoni - "Sokół", Janura Jan - "Sowa" i Łątka - "Łaska". Byli pewni, że za nimi idzie łącznik i reszta batalionu. Doszli do placówki niemieckiej, gdzie żądano od nich hasła. Odpowiedzią były strzały. Zostali oświetleni rakietami, jednak zdążyli cofnąć się kilka kroków wstecz i paść na ziemię. Wycofali się w pozycji leżącej, dzięki pomocy por. "Dęba", który poinformował o zmianie planów dowództwa. Postanowiono bowiem zostawić tabor, rozpuszczono konie, amunicję rozdano partyzantom, a ciężką broń wpuszczono do głębokiej studni. Batalion podzielił się na dwie duże grupy. I grupa, którą prowadził kpt. "Leliwa", tej samej nocy wydostała się z pierścienia wroga, nie będąc zaczepiana przez nikogo. Oddział, który prowadził por. "Wilk" zabłądził. Szli całą noc i rano przyszli na to samo miejsce, z którego zaczęła się walka. Nad ranem położyli się do wypoczynku. Azerbejdżanie mieli czuwać. Ktoś wyszedł na drzewo i zauważył Niemców. Powstał popłoch. Pierwsi zaczęli uciekać Azerbejdżanie, skacząc po śpiących. Na drugi dzień pilnowali sami. W no-

cy - głębokim jarem - przeszli z Jamnej do Falkowej. Już był dzień, kiedy musieli przejść przez polanę, niedaleko Niemców. Wtedy puścili przodem Azerbejdżan. Niemcy nie zareagowali, myśleli, że to ich oddział wziął do niewoli kilkudziesięciu partyzantów. "Przeszliśmy polanę bez wystrzału. Tak zakończyła się walka w Jamnej. Niemcy pochwytali nasze konie i ten próżny tabor i wracali z wiadomością, że nas zlikwidowali" - napisał uczestnik walki "Wyrąb".

Oddział por. "Wilka" dotarł do Jodłówki. Tam nastąpiła jego reorganizacja. Część partyzantów wróciła do domów, inni zostali i utworzyli dwa oddziały: Regina I i Regina II. Oddział I prowadził "Kajetan", oddział II "Wilk". Najpierw poszli do Ryglic, a następnie do Rzepiennika. 15 października chcieli przejść do Lichwina, ale najpierw postanowili poszukać miejsca noclegu. Pierwszy oddział poszedł wcześniej, za godzinę poszedł drugi. Przebywali w odległości 2 km od siebie. "Wyrąb" był dowódcą warty. Czuwał całą noc i gdy usłyszał jakiś szum, poszedł zbudzić "Wilka", ale ten go sklął. Mimo wszystko, zarządził ostre pogotowie. Nad ranem zobaczyli palącą się stodołę i samochody do których wsadzano ludzi. To byli ludzie "Kajetana", których napadnięto w stodole i tych co nie zginęli zabrano do obozów.

Oddział "Wilka" udał się do Siedlisk, by wysadzić tory i uniemożliwić dowóz wojska i broni dla okupanta. Partyzanci nie posiadali żadnych narzędzi, którymi by mogli przeprowadzić akcję sabotażową. Poszli więc do budki dróżnika, związali go (żeby go Niemcy nie ukarali). Zabrali klucze, które umożliwiły im wejście do pomieszczenia z narzędziami i zaczęli rozkręcać tory. Pracowali kilka godzin. W międzyczasie przejechały dwa pociągi, ale zdążyli wykoleić trzeci. Robili to na samym zakręcie, tuż nad Białą (myśleli, że rozpędzony pociąg wpadnie do rzeki). "Wyrąb" był w obstawie z 16-letnim chłopcem, pilnował wejścia na tory, tuż przy szosie. Przechodzący patrol niemiecki zatrzymał się niedaleko nich. Patrzyli na siebie - dwóch partyzantów i dwóch żołnierzy niemieckich. Za chwilę przyszło jeszcze dwóch Niemców i znów patrzyli, nic nie mówiąc. Ciarki przechodziły po plecach "Wyręba", mięśnie były napięte do granic wytrzymałości. Zapytał więc stojącego obok chłopca czy wytrzyma to, ten spokojnie odpowiedział, że tak. Doświadczony partyzant odprężył się. Skończono rozkręcanie torów. Na umówiony znak wycofali się do lasu. Przeszli do Lichwina. Tam nastąpiło rozwiązanie partyzantki. Był koniec października 1944 r.

Partyzanci nie mieli wiele mundurów, nosili zwykłe, cywilne ubrania. Odróżniali się od innych tylko opaską biało-czerwoną (czasam z orzełkiem) z napisem AK lub WP. Takie opaski szyła im m. in. narzeczona "Wyrąba" - Wantuch Zofia z Burzyna.

VIII. Z ZIEMI NIEWOLI DO WOLNOŚCI

17 września 1939 r. w godzinach nocnych (około 3^{00}) do Komisariatu Spraw Zagranicznych w Moskwie został wezwany ambasador polski Wacław Grzybowski. Wręczono mu notę uzasadniającą zaatakowanie wschodnich granic państwa przez Armię Czerwoną. Przyczyną agresji była chęć "obrony" ludności białoruskiej i ukraińskiej zamieszkałej na tym terenie, przed okupantem niemieckim. Mimo protestu i nie przyjęcia noty, wojska radzieckie wkroczyły do Polski około godziny 4^{00}. Armia Czerwona II frontu białoruskiego (pod dowództwem Kowalowa) doszła do Wilna i Grodna, a ukraińskiego frontu (pod dowództwem Timoszenki) zajęła Równe, Tarnopol, Kołomyję i Lwów. Było to następstwem traktatu "o granicach i przyjaźni" podpisanego 28. VIII. 1939 r. przez Ribbentropa i Mołotowa. Postawa okupanta radzieckiego była podobna do niemieckiego, rozstrzeliwano i brano do niewoli żołnierzy polskich. Dla wyższych rangą "urządzono" specjalne miejsca odosobnienia jak: Ostaszków, Kozielsk, Starobielsk. Podobnie zachowywano się wobec ludności cywilnej, mordowano lub brano do łagrów, a miasta i wsie palono. Nasilenie tej akcji miało miejsce w pierwszych miesiącach 1940 r.

22 czerwca 1941 r. nastąpił najazd Hitlera na ZSSR. Zachłanna polityka Stalina i obawy Hitlera, że zabraknie Rzeszy "Lebensraumu" na wschodzie, doprowadziły do zerwania niemiecko-radzieckiej "przyjaźni". Zmienił się układ polityczny II wojny światowej. Związek Radziecki zmuszony został do wejścia do koalicji antyhitlerowskiej, zaczął szukać sprzymierzeńców na Zachodzie i rozmawiać z przedstawicielami państwa, do którego unicestwienia się przyczynił. Potrzebował też żołnierzy do wyparcia agresora ze swego terytorium.

30 lipca 1941 r. w Londynie gen. Władysław Sikorski i ambasador ZSSR w Wielkiej Brytanii - Majski, w obecności premiera w. Brytanii W. Churchilla i ministra spraw zagranicznych A. Edena - podpisali układ o wzajemnej pomocy. Rządy Polski i Rosji zobowiązały się do wsparcia w toczącej się wojnie. Związek Radziecki "przyrzekł" amnestię osobom polskiego pochodzenia więzionym u siebie[54]. W układzie tym rząd radziecki wyraził zgodę na

---

[54] Zob. Wł. Pobóg-Malinowski, Najnowsza historia polityczna Polski, Gdańsk 1990, t. III, s. 196-197; W. Pronobis, Świat i Polska w dwudziestym wieku, Warszawa 1990, s. 266-267

utworzenie na swym terytorium armii polskiej, której dowódca miał być mianowany przez rząd polski ale w porozumieniu z rządem ZSSR.

Na dowódcę armii polskiej w ZSSR, Sikorski wyznaczył gen. Władysława Andersa (przebywającego od półtora roku w więzieniu na Łubiance). Szefem polskiej misji wojskowej został gen. Zygmunt Szyszko-Bohusz. Już 12 sierpnia 1941 r. ukazał się dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSSR o amnestii udzielonej wszystkim obywatelom polskim pozbawionym wolności z "wystarczających powodów".

Zaraz po "cudownym" zwolnieniu z więzienia gen. Anders udał się w okolice Kujbyszewa, gdzie miała być tworzona armia. Tam to zaczęli przybywać Polacy z łagrów, kołchozów, więzień i "posiołków" rozrzuconych po ogromnym terytorium Kraju Rad. Oto co pisze o tych ludziach sam generał: "Kiedy przystąpiłem do tworzenia armii, ze wszystkich stron Związku Sowieckiego ściągać zaczęli byli więźniowie i byli zesłańcy do miejsca postoju pierwszych jednostek. Mieli nieraz do przebycia tysiące kilometrów i do pokonania wiele trudności ze strony władz, które bynajmniej nie wykonywały lojalnie postanowień układu. Dopóki znajdowaliśmy się w granicach ZSSR codziennie do oddziałów naszych docierali nędzarze, osłonięci łachmanami, goniący resztkami sił i zdrowia. Mieli za sobą dwa lata niewoli i poniżenia , przymusowej pracy ponad siły, widok śmierci swoich najbliższych, znajdujących się tysiące kilometrów od domów i kraju rodzinnego w atmosferze terroru moralnego, który odmawiał im prawa do własnej narodowości, religii, cywilizacji. Ludzie ci mieli wrażenie, że wydostali się z piekła, o której istnieniu na ziemi, wychowani w kraju cywilizowanym, nie mieli przedtem wyobrażenia"[55]. Podobna jest jego relacja z wizytacji ośrodków tworzenia armii polskiej: "14 września (1941 r.) wyjechałem do obozu w Tockom (...) Po raz pierwszy zetknąłem się z 17 tysięczną rzeszą żołnierską, która oczekiwała mojego przybycia. Do końca życia nie zapomnę ich wyglądu. Ogromna część bez butów i bez koszul. Wszyscy właściwie w łachmanach, częściowo w strzępach starych mundurów polskich, wychudli jak szkielety. Większość pokryta wrzodami wskutek awitaminozy. Ale ku zdumieniu towarzyszących mu bolszewików z gen. Żukowem na czele, wszyscy byli ogoleni. I cóż za wspaniała żołnierska postawa. Serca mi się ścisnęło, gdy patrzyłem na tych nędzarzy, i zapytałem się w duchu, czy uda mi się z nich zrobić wojsko i czy zdołają znieść oczekujące ich trudy wojenne. Odpowiedź zjawiła się natychmiast: dość było popatrzeć na te błyszczące oczy z których wyzierała wola i wiara. Powoli przeszedłem szeregi, bacznie patrzyliśmy sobie w oczy i nawiązaliśmy pierwszą, tak ważną styczność w oczekującym nas marszu żołnierskim. Starzy żołnierze

---

[55] W. Anders. Bez ostatniego rozdziału, Bydgoszcz 1989, s. 76

płakali jak dzieci podczas nabożeństwa, pierwszego po tylu latach, a gdy zabrzmiała pieśń "Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie", zdawało się, że otaczające lasy odpowiadają nam stokrotnym echem"[56].

Na początku napotykano duże trudności w realizowaniu zobowiązań Sikorski-Majski. Władze radzieckie nie objęły amnestią wszystkich Polaków, szczególnie tych, którzy posiadali obywatelstwo polskie ale byli Białorusinami, Ukraińcami czy Żydami. Z opóźnieniem docierał też dekret Rady Najwyższej i różnie był interpretowany.

30 listopada 1941 r. gen. Sikorski zhospitował ośrodek w Kujbyszewie[57], gdzie zobaczył polskich uchodźców w okropnych warunkach zdrowotnych i klimatycznych. Dlatego postanowił interweniować w Moskwie. 3 grudnia 1941 r. odbył bezpośrednią rozmowę ze Stalinem. W rozmowie tej wzięli udział ze strony polskiej: gen. W. Sikorski, ambasador Kot i gen. Wł. Anders, a ze strony radzieckiej: Stalin, komisarz spraw zagranicznych Mołotow i jego sekretarz jako tłumacz[58]. Efektem tego spotkania była zgoda Stalina na stworzenie lepszych warunków dla zgłaszających się do wojska. Rząd polski i ambasada w Moskwie nieustannie interweniowała i chciała pomóc w akcji szybkiego wywozu Polaków. Efektem tego było stworzenie delegatur ambasady w części europejskiej Rosji, na Syberii i w Azji zakaspijskiej - tam, gdzie były największe skupiska Polaków. Zadaniem delegatur była szybka rejestracja polskich obywateli, zaopatrzenie ich w polskie dokumenty, żywność, odzież, lekarstwa i zorganizowanie transportu do punktu zbioru. Z pomocą polskiemu rządowi przyszedł amerykański Czerwony Krzyż, Polonia w Stanach Zjednoczonych, organizacje katolickie i żydowskie.

Wiosną stan żołnierzy polskich wynosił około 70 tysięcy, a żywności starczyło tylko dla 30 tysięcy. Wojsko było niedożywione, nie umundurowane, nie przygotowane do walki, a gen. NKWD Żukow już w styczniu 1942 r. chciał wysłać na front pierwszą polską dywizję.

18 marca 1942 r. gen. Anders odbył ze Stalinem rozmowę[59], w której zaproponował ewakuację tych polskich żołnierzy ze Związku Radzieckiego, dla których nie starczyło żywności. Stalin zgodził się. "Wyprawa" polskiego wojska nie odbyła się bez interwencji rządów W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych. 2 lipca 1942 r. rząd polski w Londynie otrzymał wiadomość, że Stalin wyraził zgodą na wyjście wojska polskiego na Bliski Wschód[60]. Rozlokowane najpierw nad Wołgą a następnie w Kirgizji, Kaza-

[56] Tamże, s. 69-70

[57] Tamże, s. 85-87

[58] Por. W. Anders, dz. cyt, s. 87-105; W. Pobóg-Malinowski, dz. cyt. s. 214-216; W. Pronobis, dz, cyt. s. 268-270

[59] W. Anders, Bez ostatniego rozdziału, s. 112-122

chstanie i Uzbekistanie[61] - polskie wojsko i ich rodziny, zbliżało się ku południowym granicom ZSSR, do Persji. Razem (z rodzinami żołnierzy) około 115 tys. osób. Ostatni transport opuścił Związek Radziecki 31 sierpnia 1942 r. Ewakuacja odbywała się koleją do Krasnowodska, a następnie statkiem przez morze Kaspijskie do Pahlevi w Iranie[62].

Szlak wojenny polskiego żołnierza wiódł odtąd przez Iran, Irak, Palestynę, Egipt do Włoch. Pobyt w Iranie trwał od sierpnia do września 1942 r., w Iraku (Quisil, Ribat, Khanakin i Kirkuk-Mossul) od października 1942 r. do lipca 1943 r., w Palestynie (Gaza) od sierpnia 1943 r. do lutego 1944 r. Z Egiptu (Quassain) polskie wojsko odpłynęło do Włoch (m. in: statkiem "Batory"). Pierwsza ewakuacja odbyła się 15 grudnia 1943 r. a ostatnia pod koniec lutego 1944 r.[63]

"Okres pobytu na Bliskim Wschodzie został wykorzystany jak najbardziej wydajnie dla wyszkolenia i zorganizowania Korpusu" - pisze jego twórca[64]. Tam też nastąpiła reorganizacja poszczególnych formacji. Wycofana z Afryki do Palestyny brygada gen. S. Kopańskiego (walczyła m.in. w Tobruku) przyjęła dużą liczbę żołnierzy przybyłych z Rosji z pierwszej ewakuacji i przekształciła się w 3 dywizję strzelców karpackich. Do dywizji dołączył również pułk ułanów karpackich pod dowództwem mjr. Wł. Bobińskiego walczący w Libii. Dotychczasową dywizję V, przekształcono w "Brygadę Willeńską", 6-tą w "Brygadę Lwowską" i połączone stanowiły "5-tą kresową dywizją piechoty". Oprócz tego utworzono brygadę czołgów, oddziały saperów, łączności, grupę artylerii pozadywzyjnej. Wszystkie te formacje stanowiły II Korpus Polski[65]. Korpus wszedł w skład 8 armii brytyjskiej.

W grudniu 1943 r. żołnierze II Korpusu znaleźli się we Włoszech. Pierwszą walkę stoczyli nad rzeką Sangro, a następnie zbliżyli się do masywu Monte Cassino. Poprzednie walki o te wzgórza nie przyniosły rezultatów. Ofensywa wojsk sprzymierzonych - wchodzących w skład 5 armii amerykańskiej - trwająca od 10 do 14 lutego 1944 r., jak też druga bitwa toczona od 15 lutego do 24 marca przez 2 dywizję nowozelandzką i 4-tą

---

60 "Wyjście z Rosji było możliwe jedynie w 1942 r., w kilka miesięcy później nie doszłoby to do skutku, żołnierze polscy wrócilibyy do do łagrów" - W. Anders, dz. cyt. s. 140. Istotnie w październiku 1942 r. rząd radziecki odmówił zgody na dalszy pobór Polaków z ZSSR do wojska polskiego - zob. dz. cyt. s. 154

61 Generał Anders wymienia następujące ośrodki wojskowe w ZSSR: Buzłuk, Tockom, Tatiszczew, Kołtubanka, Jangi-Jul, Guzura, Kermin, Szachriziab, Krasnowodsk, Aschabad

62 O ewakuacji zob.: W. Pronobis, dz. cyt. s. 270-271; W. Pobóg-Malinowski, dz. cyt. s. 196-251; W. Anders, dz. cyt. s. 143-125

63 W. Anders, dz. cyt. s. 143-178

64 Tamże, s. 180

65 O reorganizacji zob. w: W. Anders, dz. cyt. s. 152: W. Pobóg-Malinowski, dz. cyt., t 1, s. 293

hinduską- nie miały rozstrzygającego znaczenia. 11 maja 1944 r. rozpoczęły się ponownie walki, odcinek od 5-tej armii amerykańskiej, przejęła 8 armia brytyjska. II Korpus Polski rozpoczął decydującą bitwę. 18 maja 1944 r. na ruinach klasztoru Benedyktynów zatknięto biało-czerwoną flagę. Polskie zwycięstwo okupiono śmiercią blisko 1000 żołnierzy[66]. Świat dowiedział się o bohaterstwie polskiego żołnierza.

Następnie II Korpus toczył walki o Anconę nad Adriatykiem (18 i 19 VI) i Livorno nad morzem Tyrreńskim, doszedł do linii Gotów - zdobywając Faenzę, Ravennę i Bolonię.

Pod koniec 1944 r. do Korpusu przybyło około 40 tysięcy żołnierzy, którzy przymusowo wcieleni do armii niemieckiej, w miarę wyzwalania przez aliantów Francji, Belgii i Holandii, zgłaszali się do polskiej armii. Również w 1945 r. i w połowie 1946 r. zaczęli napływać obywatele zbiegli z Polski. Dzień zwycięstwa polski żołnierz obchodził we Włoszech. Niekorzystna sytuacja polityczna Polski spowodowała to, że na powrót do Kraju zgłosiło się (sic!) 310 żołnierzy Korpusu, którzy wyjechali z ZSSR[67].

Mieszkańców Stanisławówki, kolonii polskiej koło Sokala - którzy w latach dwudziestych i trzydziestych wyjechali z Karwodrzy - spotkał los podobny do tysięcy Polaków zamieszkujących tereny zajęte przez Związek Radziecki 17 września 1939 r. Około czterdzieści rodzin - między innymi Czechowskich, Forteckich, Górów, Guzików, Hudyków, Klechów, Kowalskich, Kusów, Świętoniów, Szczęchów - wywieziono w okolice Archangielska. Wśród wysiedlonych znalazło się też dwóch mieszkańców Karwodrzy, którzy w pierwszych dniach września 1939 r. chcieli się schronić przed Niemcami, uciekając z innymi na wschód. W Stanisławówce został Dunaj Władysław (zamieszkał u Hudyków) i Gawryał Feliks (zamieszkał u Klechów). Mieszkali spokojnie do 10 lutego 1940 r., kiedy to nastąpiła ewakuacja. Do transportu na północ dołączył Ukrainiec z dwoma synami (za to, że jeden z jego synów poszedł do klasztoru).

Po dwuletnim pobycie za kołem podbiegunowym, dzięki sprzyjającym warunkom politycznym - opuścili niegościnną ziemię, udając się do ośrodków tworzenia się armii polskiej pod dowództwem gen. Andersa. Przebyli szlak od Archangielska przez Kazachstan, Uzbekistan, Kirgizję, Iran. Na stepach Uzbekistanu zmarło dwóch Karwodrzan - Tadeusz Czechowski i Jan Kowalski. W Iranie nastąpiło rozłączenie z rodzinami: mężczyzn, jako żołnierzy skierowano do ośrodków szkoleniowych w Iraku, kobiety, dzieci i starców osiedlono w Kenii, Tanganice i Rodezji. Spotkali się po wojnie.

---

66 O walkach pod Monte Cassino patrz - W Anders, dz. cyt. s. 198-221

67 Tamże, s. 355

Przemierzali kraje i kontynenty, by znaleźć się jak najdalej od domu niewoli. Ich tułacza droga trwała od 6 do 8 lat. Do Polski wrócili tylko Jakub i Zofia Klechowie, inni osiedlili się w Argentynie (Gawryał), Anglii (Czechowscy), Kanadzie (Dunaj, Kusowie). Australii, gdyż nie było sprzyjających warunków politycznych do powrotu.

Polakami-patriotami zostali do końca. Wyrazem tego jest ich udział w bitwach II Korpusu. Dzielnie walczyli o Monte Cassino: Czechowski Władysław, Gawryał Feliks, Guzik Władysław, Klech Bolesław, Klech Jakub, Kus (vel Korus) Adam, Kus (vel Korus) Antoni. Kowalski Stanisław. Kus Adam zginął na Monte Cassino (po zakończeniu walk rozszarpała go mina).

Podobny los spotkał również innych . Dla uciekinierów ze wschodnich terenów Polski, Karwodrza w czasie okupacji, stała się miejscem azylu. Tu znalazły schronienie rodziny Gągolów i Jacyny. Śledząc losy tych ludzi, można po latach odtworzyć dzieje Polaków zamieszkałych na terenach zajętych przez ZSSR, wzbogacić wiedzę historyczną i poznać przeżycia towarzyszące temu dramatycznemu okresowi.

Klech Zofia

10 lutego 1940 r. wojsko radzieckie wraz z Ukraińcami wysiedliło polską kolonię Stanisławówkę. W ciągu 15 minut, Polacy musieli zdecydować co zabrać ze sobą w podróż (niewiedomą!). Zdążyli wziąźć pierzynę, ciepłe ubranie i jedzenie. Wsadzono ich do bydlęcych wagonów i pociąg ruszył. Stłoczeni w jednym wagonie, mieszkańcy polskiej wsi, przebywali około miesiąc. Przez kilka pierwszych dni wagon był zamknięty, dopiero po przekroczeniu granicy republiki Rosji, otworzono drzwi i pozwolono "pasażerom" przynieść wody (pod eskortą uzbrojonych żołnierzy radzieckich). Sroga zima, nie ogrzewane wagony (włosy przymarzały do ściany), powodowały zamarzanie słabszych organizmów. Umierały dzieci i starcy. Przetrwali najmocniejsi.

Po miesiącu podróży dotarli do okolic Archangielska, gdzie przebywali dwa lata. W dużym baraku zamieszkało około 100 osób, po kilka rodzin w jednym pokoju. Mąż pani Zofii - Jakub budował barak, dlatego skorzystał z przywileju i otrzymał jedno pomieszczenie, które dzielił z rodziną brata Bolesława. W czasie tego pobytu na północy Kraju Rad, pracowali ciężko w lesie. Kobiety i mężczyźni wykonywali tę samą czynność - ścinali drzewa. Pani Zofia otrzymała zajęcie jako sanitariuszka, czasem zatrudniano ją w kuchni. Dostawali dwa posiłki dziennie - spożywali je w stołówce - rano najczęściej była jałowa kapusta i rydze (z robakami), wieczór to samo. Obiadu nie było.

Kiedy zawarto układ między polskim i radzieckim rządem, oświadczono im, że są wolni i mogą jechać wszędzie, tylko nie do Polski. Późną jesienią

1941 r. wyjechali "na własną rękę", postarali się o dokumenty, "załatwili" sobie pociąg - chodząc kilkakrotnie na stację i prosząc, by ich zabrano na południe. Wracając z niegościnnego miasta, nie mieli pieniędzy ani jedzenia. Zbliżała się Wigilia 1941 r., a oni jechali o głodzie. Na pewnej stacji, kiedy pociąg zatrzymał się, mężczyźni zauważyli stojącą koło ich wagonu kozę. Stała, nie uciekała, jakby "wpraszała się" do nich. Ukrainiec Stefan Orysiuk i Władysław Czechowski zabrali ją do wagonu. Tam szybko zorganizowano świąteczny posiłek. W tym czasie, kiedy dokonywano czynności masarskich, wszyscy głośno śpiewali kolędy, żeby nie było słychać beczenia "ofiary". Przygotowano świąteczną ucztę, każdy dostał rosół i kawałek koziego mięsa. Opatrzność nie pozwoliła im umrzeć z głodu.

Brak jedzenie dokuczał im wszędzie. W czasie pobytu w Gorczakow żywili się ropuchami pieczonymi na ogniu, kretami, a nawet jedli ziemię (popielatą, podobną do kredy). Podczas 3-miesięcznego pobytu w Uzbekistanie, pani Zofia zauważyła, że bardzo przytyła. Zgłosiła się do lekarza - kobiety, która powiedziała jej: "Bez soli kuszajesz, padachnjosz!". Była to patologiczna puchlina, spowodowana brakiem sodu w organiźmie. Lekarka poradziła swojej pacjentce, by zaopatrzyła się w sól u Uzbeków, wymieniając ją za herbatę. Nikt z najbliższych nie miał herbaty, dlatego poprosiła o nią przedstawiciela polskiego rządu - obecnego na tym terenie. Paczkę herbaty podzieliła na kilkadziesiąt porcji (każdą w osobny papierek) i za każdą porcję herbaty otrzymała od Uzbeka taką samą ilość soli (do tego papierka w którym zanosiła herbatę). Sól dodawała do jedzenia w minimalnych ilościach. Po kolku tygodniach organizm wrócił do równowagi.

Do każdego miejsca dłuższego postoju dołączali do nich Polacy, przybywający ze wszystkich stron rozległego imperium radzieckiego. Rodziny ze Stanisławówki rozdzielono podczas transportu na Bliski Wschód. Nie pojechali z Klechami Kowalscy i Czechowscy. Później dowiedziała się, że Jan Kowalski i Tadeusz Czechowski zmarli w Uzbekistanie. Również inny był przydział miejsca pobytu tychże rodzin - skierowano ich do Rodezji. W Avchazie Klechowie razstali się. Żona z powodu tyfusu odbyła 3-miesięczną kwarantannę, mąż w tym czasie odjechał z pierwszym transportem do Iranu. Napisał, że rodziny przyjadą drugim transportem. Czekali dwa miesiące w Gorczakow, transportu nie było. Wrócili do kołchozu, w którym przebywali wcześniej. Wyjechali dopiero za 4 miesiące.

Mężczyźni, jako żołnierze opuścili ZSSR i weszli w skład II Korpusu Polskiego. Wraz ze swoim dowódcą gen. Andersem wyjechali do Europy, aby walczyć o wolną Polskę. Wśród nich byli mieszkańcy Stanisławówki. Kobiety,dzieci i osoby nie zdolne do służby wojskowej, z Iranu udali się do Palestyny, a następnie do Kenii, Tanganiki czy Rodezji.

Pobyt w Afryce trwał 4 lata. Zamieszkali w Tangeru - w jednym z dużych osiedli zorganizowali sobie życie, zarabiali na swoje utrzymanie. Pani Zofia pełniła funkcję komendanta rodzin wojskowych. Tam też uroczyście obchodzili święto wyzwolenia. 9 maja 1945 r. przez 24 godziny biły dzwony. Na ogromnym placu rozpalono duże ognisko, przy którym odbył się apel poległych. Najbliższe osoby żołnierzy, którzy polegli pod Monte Cassino, mówiły ich imię i nazwisko, oraz słowa: "Zginął pod Monte Cassino w obronie ojczyzny"!

Wyjechali z Afryki pod koniec 1946 r. Podróż była długa, trwała około pół roku. Pani Zofia wróciła do Polski w kwietniu 1947 r.

Czechowski Władysław

"W Karwodrzy urodzili się i wychowali się moi Rodzice, a po pierwszej wojnie światowej wyjechali na Wschód, pod Sokal nad Bugiem. Ja jestem jedynym synem Tadeusza Czechowskiego i Marii z Kowalskich (...). Urodziłem się w styczniu 1926 r. 10 lutego 1940 r. wywieziono nas na Syberię. Jak tylko skończyłem 14 lat, dowiedziałem się, że do pracy przyjmują od 16 lat. "Przypisałem" sobie dwa lata, żeby mnie wzięli do pracy, bo nie było za co żyć. Po 2-letniej ciężkiej pracy, Rosjanie ogłosili, że jesteśmy wolnymi obywatelami. Wtedy dopiero mogliśmy opuścić Syberię. Postanowiłem wyjechać z rodziną na południe Uzbekistanu, bo tam tworzyła się Polska Armia pod dowództwem generała Andersa. Podałem, że jestem z rocznika 1924 i mogłem wstąpić do Armii Polskiej lub Armii Czerwonej. Wybrałem Armię Polską, ponieważ jestem Polakiem (nadal nim jestem). Po krótkim pobycie w Uzbekistanie wyjechałem jako żołnierz do Persji, do Pahlavi, a stamtąd do Palestyny. Pobyt w Palestynie trwał długo. Po przeszkoleniu przerzucono nas do Iraku, gdzie skończyłem szkołę podoficerską i otrzymałem stopień kaprala. Pełniłem funkcję kuriera czyli łącznika, służąc w batalionie łączności (korzystałem z motocykla, a we Włoszech przydzielono mi amerykańskiego jepa, łazika)... Na terenie Palestyny, Iraku i Syrii zaczęły się ćwiczenia i manewry. Ponieważ nowoczesna broń i sprzęt wojenny był masowo produkowany w USA, więc wszyscy żołnierze młodzi i starzy - musieli się z tą bronią i sprzętem zapoznać (...).

Przed samym Bożym Narodzeniem 1943 r. przerzucono nas do Egiptu, stamtąd okrętami wojennymi wywieziono do Włoch. Wylądowaliśmy w południowej części Italii w Taranta. Weszliśmy do akcji na odcinek, który nam był powierzony, a po jego zdobyciu skierowali moją dywizję pod Monte Cassino. Tam zaczęło się piekło na ziemi. Walka pod Monte Cassino była ciężka, nasi żołnierze ginęli jak muchy od niemieckich Spendant c-kaemów i moździerzy. Niemcy byli okopani, w cementowych bunkrach, a nasi biedacy w małych okopach obłożeni workami z piasku. Posuwali się jak pająki

parę metrów do przodu aby zdobyć jakiś bunkier. Jeśli zdobyli i nikt z nich nie zginął, to byli bardzo szczęśliwi. Walka pod Monte Cassino była trudna, ponieważ Niemcy siedzieli na górze Klasztoru, a my byliśmy na dole. Oni widzieli nas jak na talerzu. Walka, zaopatrzenie żywnościowe i w amunicję na pierwszą linię odbywało się w nocy, gdyż w dzień nie można było wystawić głowy. Do pewnych punktów zaopatrzenie było dostarczane łazikiem, potem mułami, a do samego przodu piechotą, na plecach. Często byłem wyznaczony jako przewodnik tych, którzy prowadzili muły, bo znałem teren. W nocy również Niemcy ostrzeliwali. Gdy nadszedł D Day, to znaczy dzień głównej ofensywy, o godz. 11^{00} przed północą, tysiące dział artyleryjskich skierowanych na nasze wzgórze zaczęło strzelać. Było tak jasno, że można było znaleźć igłę pod nogami. Po paru dniach walk - w czasie których zginęło wielu naszych żołnierzy - Klasztor na Monte Cassino został zdobyty przez polską piechotę z 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Oni to właśnie zatknęli Polską Chorągiew z Białym Orłem na gruzach klasztoru.

Pod Monte Cassino walczyli ze mną Bolesław Klech, kuzyn Stanisław Kowalski i Feliks Gawryał.

Po krótkim odpoczynku skierowano nas na wybrzeże Adriatyku w pogoni za Niemcami. Ta pogoń również była trudna. Wielu żołnierzy tam zginęło, dużo zostało rannych. Ja też zostałem ranny i Klech Bolesław. Doszliśmy do miasteczka Bolonii. Tam nas znaleźli Anglicy. Niedługo potem Niemcy skapitulowali i wojna skończyła się w maju 1945 r.

Po zakończeniu wojny zostałem udekorowany Krzyżem Walecznych przez gen. Ducha, otrzymałem również brązowy krzyż zasługi (z mieczem), Krzyż Monte Cassino, Krzyż Watykański (od papieża) i medal króla Wielkiej Brytanii Jerzego VI. Do Anglii przybyłem 26 listopada 1946 r., jako żołnierz zdemobilizowałem się w 1947 r. Postanowiłem pozostać w tym kraju i osiedlić się w Londynie, gdzie do tej pory zamieszkuję. W 1948 r. przyjechała do Anglii moja mama i siostra Bronia. Po sześciu latach rozłąki znów byliśmy razem"[68].

Truszkowska Michalina

Jej rodzice przyjechali do Stanisławówki w latach 20-tych. Mieszkali spokojnie do wybuchu wojny. Dziwna to była wojna, rano we wsi byli Niemcy, po południu Rosjanie i tak na zmianę. Niedaleko przebiegał front, Niemcy walczyli z Rosjanami. Niemcy zostali w Stanisławówce, ale niedaleko byli Rosjanie, bo nowa granica między Niemcami a Rosją przebiegała pomiędzy Stanisławówką a Wołyniem. Niemcy zachowywali się spokojnie, ale zaczęły grasować bandy ukraińskie. Działały tam, gdzie były największe

[68] List do autorki z dnia 4 października i 17 grudnia 1992 r.

skupiska Polaków np. w Orzeszynie. Tam zaczęły się największe napady i mordy.

Często odwiedzała koleżankę zamieszkałą w tej miejscowości. Pewnego wieczoru, koleżanka ta bardzo namawiała ją, by została u niej na noc, Michalina jednak nie chciała. Na drugi dzień rano dowiedziała się, że tej właśnie nocy, koleżankę i jej rodzinę zamordowała banda ukraińska.

W 1941 r. Rosjanie zabrali ojca do wojska na ćwiczenia, z których nigdy nie wrócił. Podobno był w Beserabii. Matka została sama z 4-giem rodzeństwa, Michalina najstarsza miała 9 lat. W 1942 r. Rosjanie wywieźli na Sybir około 40 rodzin ze Stanisławówki, m. in. brata matki Klecha Jakuba z żoną. We wsi zostało tylko sześć polskich rodzin. Później dowiedzieli się, że przygotowano dokumenty do transportu reszty Polaków na Syberię. Gdyby nie napad bandy i ucieczka z domu, prawdopodobnie dzieliliby losy sybiraków.

Pewnej lipcowej nocy 1943 r. banda napadła na sąsiadów (Rolków), wymordowała rodzinę i podpaliła dom. Matka słysząc co się dzieje, obudziła dzieci i w nocnych koszulach opuścili szybko dom uciekając w zboże, tak daleko od domu, dokąd się dało. Banda domyślając się, gdzie nagle zniknęli mieszkańcy domu, podpalili go i puścili serię z karabinów właśnie w zboża. Na szczęście kule nikogo nie dosięgły.

Znaleźli schronienie w stodole u Starorusinów (za zgodą gospodyni, a bez wiedzy gospodarza). Następnie poszli do Sokala (około 17 km). Tam zgłosili się do Polskiego Czerwonego Krzyża, który udzielił im podstawowej opieki (jedzenie, ubranie). W Sokalu odwiedzała ich Ukrainka Prystupa (matka jednego z bandytów), która bez wiedzy męża i syna, przynosiła im żywność.

Po miesiącu wyjechali do rodzinnych stron matki, do Karwodrzy. Podróżowali około trzech dni. Najdłużej czekali na pociąg w Jarosławiu. W sierpniu 1943 r. przyjechali do Gawryała Józefa - wuja matki. Mieszkali u niego do 1944 r. Następnym lokalem był dwór (po parcelacji w 1945 r.). W 1947 r. matka z trojgiem młodszego rodzeństwa wyjechała na Ziemie Odzyskane. Michalina została w Karwodrzy u swojej ciotki Zofii Klechowej, która w 1947 r. wróciła z Afryki. Mieszkała u niej do 1955 r.

Krzemień Maria

W latach 20-tych rodzice wyjechali na tereny wschodnie. Wraz z dwudziestoma rodzinami polskimi zamieszkali w przysiółku Kamieniczka koło Kozowej. Posiadali duże gospodarstwo. W Kozowej chodziła do szkoły ucząc się polskiego i rosyjskiego. Do jesieni 1939 r. żyli spokojnie i dostatnio. Napaść Związku Radzieckiego na Polskę ośmieliła mieszkających tam

Rosjan i Ukraińców. Nocą napadali na wieś, palili zagrody. Rodziny polskie uciekały z domów na noc, by nie spłonąć podczas snu.

10 lutego 1940 r. o godzinie 5^{00} rano, do wsi weszło wojsko rosyjskie z Ukraińcami i rozkazało mieszkańcom, by spakowali się szybko, gdyż muszą jechać w swoje dawne strony. W ciągu 15 minut zdążyli zabrać ciepłe ubranie, pościel i jedzenie na drogę. Przyjechały furmanki, które zawiozły ich na stację w Kozowej. Tam zamknięto ich w towarowych wagonach, których nie mogli opuścić. Po dwóch dniach pociąg ruszył. Jechali przez Tarnopol. Charków, Kijów, Czelabińsk, Kazań. Warunki podróży były okropne - ciasno (w wagonie około 70 ludzi), zimno i głodno. Przez kilka dni nie dostali nic do jedzenia. Dopiero w Charkowie przyniesiono im zupę i chleb. W wagonie stał mały żelazny piecyk, do którego raz na dobę przydzielano trochę węgla. Czasami zdarzało się, że pociąg stał w polu kilka dni. Słabsi i niedożywieni umierali. W czasie tej podróży zmarła 7-miesiączna siostra Marii. 19 marca 1940 r. przyjechali do Krasnojarska. Wysadzono ich z wagonów i zamieszkali kilka dni pod gołym niebem. Co jakiś czas przejeżdżały sanie i zabierano kilka osób. Do miejsca przeznaczenia - Władymirowska - jechali saniami miesiąc (dotarli 19 kwietnia). Od czasu do czasu zatrzymano konie na popas. Najczęściej wchodzono do jakiegoś domu, gdzie dostawali ciepły posiłek. Wiele osób w czasie tej podróży zamarzło. Rodzinę Siedlików uratowały ciepłe ubrania i pierzyna.

Władymirowsk - wieś w tajdze, była już wcześniej miejscem zesłania Polaków (były tam groby z polskimi nazwiskami). Zabudowania wsi stanowiły drewniane baraki kryte korą brzozy. Ściany były plecione z gałęzi i oblepione gliną. W każdym baraku mieszkało kilka rodzin. Każda rodzina miała jedno pomieszczenie oddzielone od innych deskami.

Przymusowy pobyt na granicy tajgi i tundry trwał 4 lata. Dorosłe osoby (zarówno mężczyźni jak i kobiety) pracowały przy karczowaniu lasu i kopaniu złota. Ściślej, złota szukano na terenie wcześniej używanej kopalni, stąd było go niewiele. Za znalezienie złota dostawali bony żywnościowe. Praca trwała 8 godzin. Każdy chciał pracować, nawet młodociani "dorabiali" sobie wiek, gdyż pracujący otrzymywał kartki żywnościowe o większym nominale. Dorosła pracująca osoba otrzymywała pół kg chleba na dzień, a nie pracująca 20 dkg, cukru 1 kg na miesiąc. Od czasu do czasu zesłańcom dostarczano takie produkty jak mąka czy kasza. Dowożono je łodzią, w lecie był to jedyny środek transportu, gdyż dookoła były bagna i rzeka. Racje żywnościowe dla nie pracujących, czyli dzieci i starszych były minimalne, dlatego zdarzały się przypadki umierania z głodu. Tym bardziej, że w pierwszych miesiącach pobytu, nie było innego jedzenia poza tym dostarczanym przez władze. Sytuację poprawiło krótkie 2-miesięczne lato. Grzyby, brusznice i czernice urozmaiciły monotonny, awitaminozowy jadłospis i

były gromadzona na zimę. W drugim roku pobytu przywieziono trochę ziemniaków. Kobiety posadziły je w specjalnie przygotowanych poletkach koło baraków. Maleńkie syberyjskie bulwy stanowiły przysmak ubogiej kuchni.

W pierwszym roku zamieszkania we Władimirsku - Maria - chodziła do rosyjskiej szkoły. W drugim już poszła do pracy na pół etatu; karczowała las, sadziła ziemniaki, zbierała tytoń (który już zaczęli uprawiać Polacy) i wykonywała prace pielęgnacyjne przy barakowym poletku.

Najciężej było w zimie, mrozy dochodziły do -60^0 C, okna w baraku nigdy nie tajały, mimo, że palono cały dzień (drzewem przyniesionym z lasu). A do lasu po pracy trzeba było iść. Nie lepiej było latem - dokuczały komary - musieli chodzić w spodniach i nosić siatki na twarzy. Nie osłonięte ręce były czerwone i ropiejące (ukąszenie komara powodowało odczyn zapalny i ropienie miejsc ukłucia). Obfitości komarów sprzyjały okoliczne bagna (ujście Jeniseju). Dziwna to była okolica, przez pół roku nie zachodziło słońce, a przez drugą połowę nie wschodziło. Przez 3 lata pobytu w obozie, nie wolno było się oddalać od niego dalej niż 6 km (pilnował tego komendant i naczelnik obozu - Warygin). W 4-tym roku zezwolono na swobodne poruszanie się, ale Polacy bali się, gdyż nie mieli dowodów osobistych i okolica była niebezpieczna (bagna).

Latem 1944 r. przyjechał do nich Polak w wojskowym mundurze i powiedział, że mogą wyjechać. Dwa tysiące ludzi opuściło szybko jak tylko mogło barak w tajdze. Wojskowy był ich przewodnikiem. Płynęli statkiem po Jeniseju, ciągle na południe. Podróż po rzece trwała kilka dni, później jechali samochodem i pociągiem. We wrześniu przyjechali na Ukrainę w Moskowy Rejon. Przebywali tam dwa lata. Dopiero w 1946 r. zezwolono im wyjechać do Polski. 16 marca znaleźli się w Poznańskiem. Tam osiedliła się rodzina Marii. Ona zaś z bratem i siostrą wróciła do rodzinnego domu matki, do Łękawicy. Do Karwodrzy przybyła w lutym 1948 r. gdzie mieszka do dziś.

Abramowicz Halina

Matka i ojciec byli nauczycielami. Ojciec był kierownikiem szkoły w Kożangródku woj. Pińsk i kapitanem rezerwy (brał udział w wojnie bolszewickiej, za co został odznaczony krzyżem Virtutii Militarii). Trzy dni po wkroczeniu Rosjan do miasta, ojca zabrało NKWD. Komisarzem NKWD był znany im wcześniej Żyd, który był karany za łapówki. Od tej chwili codziennie w domu odbywały się rewizje, najczęściej w nocy, nie wiadomo czego szukali. Matka chodziła do miejscowego więzienia, zanosząc ojcu jedzenie. Nigdy jednak nie widziała się z nim. Za około dwa miesiące poinformowano ją, że już go nie ma w tym więzieniu. Od tej pory słuch o nim zaginął.

Pewnego grudniowego dnia 1939 r. przyszła do domu żona Żyda, który zaaresztował ojca i powiedziała matce, żeby jak najszybciej wyjechała, bo będzie wywieziona na Syberię. Wyjechali więc szybko do Majdana, wioski koło Lwowa, która była własnością Teodorowiczowej, dziedziczki Tuchowa. Tam dotarła do nich wiadomość, że na drugi dzień po opuszczeniu Kożangródka, przyjechały po nich furmanki, by wywieźć ich do Kazachstanu. W Majdanie byli do maja 1944 r. Mieszkali we dworze, gdzie matka uczyła w szkole podstawowej, jak też prowadziła tajne nauczanie w szkole średniej (na tajnych kompletach uczyło jeszcze pięć osób, między innymi miejscowy ksiądz wykładał łacinę). W Majdanie była duża kolonia polska. Polacy trzymali się razem. Kiedy zaczęły grasować bandy ukraińskie, wszyscy przenieśli się do dworku, który był zarazem fortecą. Byli bezpieczni, mieli broń. Ukraińcy już nie napadali. Pewnego razu powiadomili mieszkańców dworu, że nic im nie zrobią, żeby tylko wyjechali stamtąd. Tak też zrobiono.

W maju 1944 r. około 40 rodzin polskich spakowało swój dobytek na furmanki i ruszyło do najbliższej stacji kolejowej. Było południe, gdy wjechali w las. Wtedy napadli na nich Ukraińcy, zabili mężczyzn i chłopców powyżej 15 lat. Również do jadącej na końcu taboru matki podszedł jeden z bandytów i krzycząc: "Ty proklata Lasza budjesz uczit w grobie"! - strzelił. W tym momencie podbiegła Halina, w której boku utkwiła kula przeznaczona dla matki. Ukraińcy poszli dalej do przodu, za innymi ludźmi. Pani Jacyna wyniosła Halinę w kartoflisko, zatkała krwawiącą ranę koszulą i poszła po pozostałe dzieci (Paulinę lat 8 i Ziutka lat 5), które ukryła w leśnej kapliczce. Ubrała chustkę na głowę (nie chciała różnić się od miejscowych chłopek) i wróciła do Haliny. Ta leżała nadal w kartoflisku, tracąc przytomność od czasu do czasu. Zachodzące słońce wydawało się jej dziwne, ogromne. Kiedy matka wróciła z rodzeństwem, zapytała dlaczego słońce jest takie duże. Ta jej odpowiedziała: "Przecież jest maj"! Stąd pamięta miesiąc napadu.

Pozostali - żywi - mieszkańcy dworu pojechali dalej do Radziechowa. Pani Jacyna z niektórymi starymi ludźmi udała się z powrotem do Majdana. Za pozwoleniem Ukraińców, pozbierali zabitych i pogrzebali we wspólnej mogile. Zamieszkali w domu ekonoma, a noc spędzili w bunkrze. Matka sprzedała biżuterię, aby mogła wyjechać do Radziechowa do lekarza, by zrobił opatrunek rany Haliny: Lekarz ten przyjeżdżał kilka razy do Majdana. Kiedy rana trochę się zagoiła, wyjechali do Radziechowa, do przebywających tam wcześniej, znajomych z Majdana.

Po około 2 miesiącach wszystkie polskie rodziny postarały się o wagony towarowe i opuściły niebezpieczną okolicę. Dotarli do Tuchowa - miejsca pobytu właścicielki Majdana. W Tuchowie przebywali kilka dni, a następnie

zakwaterowano ich w najbliższej okolicy. W czasie pobytu w Tuchowie, Halina leczyła ropiejącą ranę w szpitalu oo. Redemptorystów.

Pani Jacyna z dziećmi zamieszkała w Karwodrzy, w domu Solarzów (zamordowanych 16 marca 1944 r.). Mieszkali w bardzo złych warunkach, w nieogrzewanej komorze. Oprócz nich mieszklali tam Forteccy, Brzeszczukowie i Jasiu Fugiel. Matka robiła wszystko na gospodarstwie, pracowała w polu, przy krowach (chociaż tego nigdy wcześniej nie robiła). W 1945 r. otrzymali pokój we dworze, i matka poszła uczyć. Pracowała w Szkole Podstawowej w Karwodrzy do 1951 r. (w tym roku zmarła).

Elżbieta Malcher

Rodzice pochodzili z Karwodrzy ale zamieszkali w Uniszowej. Gdy miała 7 lat wyjechali na Wołyń. Osiedlili się w Białostockiem powiecie Łuck (we wsi było tylko pięć rodzin polskich, pozostali mieszkańcy byli Ukraińcami). Posiadali średniej wielkości gospodarstwo, hodowali owce, a ojciec dodatkowo zarabiał w kołchozie.

We wrześniu 1939 r. do wsi najpierw wkroczyli Rosjanie, a dopiero później Niemcy. Niemcy zachowywali się spokojnie, ale dawali znać o sobie Ukraińcy. Napadali na Polaków - bili ich i "rezali". W maju 1941 r. o godz. 23^{00} zastukali w okno i weszli do ich domu. Elżbieta zdążyła schować się pod łóżko. Rozkazali wszystkim położyć się na podłodze, pytając przy tym ile jest domowników. Ojciec odpowiedział, że osiem. Zapytali gdzie dwie osoby? Ojciec wyjaśnił, że syn Mieczysław został wysłany przez Niemców do służby wartowniczej w pobliskim dworze, a dziewczynka (!) musiała wyjść z pod łóżka. Wtedy ojciec zapytał : Za co nas zabijacie? Ukraińcy odpowiedzieli: "Kazano nam! Zaczęli strzelać do każdego leżącego. W międzyczasie zgasła lampa i strzelali po ciemku. Elżbieta otrzymała sześć strzałów: w ręce, nogi, twarz i biodro. Nie czuła bólu. Usłyszała głośne stwierdzenie: "Wsje zabite"! Zabito ojca, matkę i czterech braci. Po strzelaniu bandyci wyszli. Ona zaś wstała (!) poszła do sąsiedniego pokoju, wzięła koc, którym się owinęła i wyszła z domu. Wychodząc usłyszała jęk. Nie wiedziała czyj.

Usiadła w bobie rosnącym niedaleko domu. Za chwilę przyszedł pies, położył się koło niej i zaczął wyć. Przeraziła się, że jak Ukraińcy usłyszą wycie to przyjdą i wydłubią jej oczy. Poszła dalej od domu w stronę rzeki i gęsto rosnących porzeczek oraz grochu. Za niedługo wrócili ci sami bandyci, którzy zabili rodzinę i podpalili dom.

Siedziała w grochu całą noc i dzień. Była w półśnie. Słyszała wołanie brata Mietka, ale nie miała siły podnieść się i odpowiedzieć. Niedaleko niej pasł krowy dziadek (pół Polak, pół Ukrainiec). Wołała na niego, ale on był głuchy i nie zareagował. Chciała wstać i podnieść się, ale nie mogła. Za ja-

kiś czas zobaczyła obok siebie krowę skubiącą trawę i stojącą przy niej znajomą Ukrainkę. Zaczęła wołać: Pani Nazarowa! Usłyszała ją i podeszła pytając: A szto tobie takije? Elżbieta powiedziała, że strzelano do niej, i poprosiła o przyniesienie wody (gdy podawała jej wodę, pies pilnujący dziewczynki - ugryzł Nazarową w rękę). Z Nazarową przyszło trzech Ukraińców, którzy głośno mówili: Ja niczewo nie baczył! Między sobą naradzali się cicho - czy zabić dziewczynkę, czy nie. Elżbiecie było obojętne co zrobią. Pytali ją czy poznała kto zabił rodzinę. Odpowiedziała, że nie. Zawieźli ją do dworu, gdzie znajoma (też Ukrainka) powiedziała, żeby jej nie zabijali.

Zdecydowali się odwieźć ją do szpitala, do Tarczyna. Jechała na wozie przykrytym gałęziami. Krew sączyła się z ran. Woźnica bał się jechać i kiedy go pytano co wiezie, odpowiedział: Miaso! W szpitalu po zdjęciu ubrania okazało się, że w ranach zalęgły się robaki (upłynęła doba od postrzelania jej). Leczenie trwało trzy miesiące, gdyż rany szarpane i zainfekowane - goiły się powoli (strzelano do niej kulami rozrywającymi się). W tym czasie odwiedził ją brat Mietek. Później kontakt z nim ustał, bo zaczął działać w partyzantce.

Po opuszczeniu lecznicy, udała się do znajomych brata w Tarczynie. Została czwartym dzieckiem rodziny Czerepaków. Mieszkała u przybranych rodziców do 1944 r, kiedy to Niemcy zabrali wszystkich mieszkańców tego miasta, dołączając do ogromnej grupy uchodźców udającej się w kierunku zachodnim. Za niedługo Czerepakowie odłączyli się od tej dużej grupy. Początkowo zamieszkali w Uściługu pow. Zamość, w majątku dworskim. Później ruszyli znów na zachód, aż dotarli do wioski Krasnystaw. Tam zatrzymali się na dłużej u gospodarzy, których dom znajdował się w dużym wąwozie. Pomagali im w pracach polowych (dzieci zbierały kłosy ze ścierni). Od wschodu docierały do nich odgłosy frontu, szczególnie głośne były katiusze.

Zaraz po przejściu frontu wyjechali na zachód Polski. Dotarli do Platerówki koło Lubania (w filmie "Rzeczpospolita babska" występowały jej znajome z Platerówki). Elżbieta pracowała na gospodarstwie swoich znajomych z Tarczyna.

Niedaleko Platerówki znajdowała się fabryka, w której chciała pracować ale nie miała dokumentów (przede wszystkim metryki urodzenia). Pewnego dnia odwiedziła miejscowego krawca, który zaczął wypytawać ją o rodznę. Ona poinformowała go, że wszystkich zabili Ukraińcy. Wtenczas zapytał, gdzie się urodziła. Poradził jej, żeby napisała do miejsca dawnego swojego pobytu. Elżbieta zapomniała pisać. Krawiec napisał list w jej imieniu i zaadresował do sołtysa Uniszowej w powiecie tarnowskim. Sołtys znał wuja Elżbiety (Moździerza) i jemu pokazał ten list. Wujek z kolei znał adres

do brata Mietka. Napisał do niego i poinformował, że siostra żyje i mieszka w Platerówce.

Wreszcie otrzymała metrykę i mogła pracować w fabryce. Pewnego dnia, gdy wracała z fabryki, wyjechał po nią gospodarz i poinformował, że dostała list od brata. Nie uwierzyła, bo myślała, że brat zginął. Gdy przyszła do domu również gospodyni powiedziała jej o tym, że brat napisał. Nadal nie chciała uwierzyć. Wreszcie gospodyni stwierdziła: Ty byś nie uwierzyła, nawet gdyby brat przyjechał! Wtenczas pokazał się Mietek, który czekał na nią w pokoju obok. Przyjechał do siostry poinformowany o miejscu jej pobytu przez wujka z Uniszowej. Nadal nie mogła uwierzyć w to szczęśliwe spotkanie. Myślała, że to dobry sen.

Pojechała z bratem do Wabienic, gdzie mieszkała jego żona i wielu osadników z Karwodrzy. Wróciła na krótko do Platerówki. W 1951 r. przyjechała do Wabienic i wyszła za mąż - za brata swojej bratowej. Zamieszkała w Bierutowie.

ZAKOŃCZENIE

Front rosyjski zbliżał się niespodziewanie szybko. 16 stycznia 1945 r. od wschodu słychać było potężną kanonadę, ziemia drżała, szyby w oknach dźwięczały. Niemcy pośpiesznie opuszczali wieś. Nie wszyscy zdążyli uciec przed Rosjanami. Cofające się wojsko okupanta zdążyło uszkodzić linie komunikacyjne wysadzając tory kolejowe i mosty - na rzece Zalasowiance (łączącej Karwodrzę z Tuchowem), na Biale w Tuchowie i Dunajcu w Mościcach.

Na szczęście przygotowywane od kilku miesięcy fortyfikacje obronne nie zostały wykorzystane - front ominął Karwodrzę. Gdyby ich użyto, nie byłoby wsi, ludzi i historii o nich.

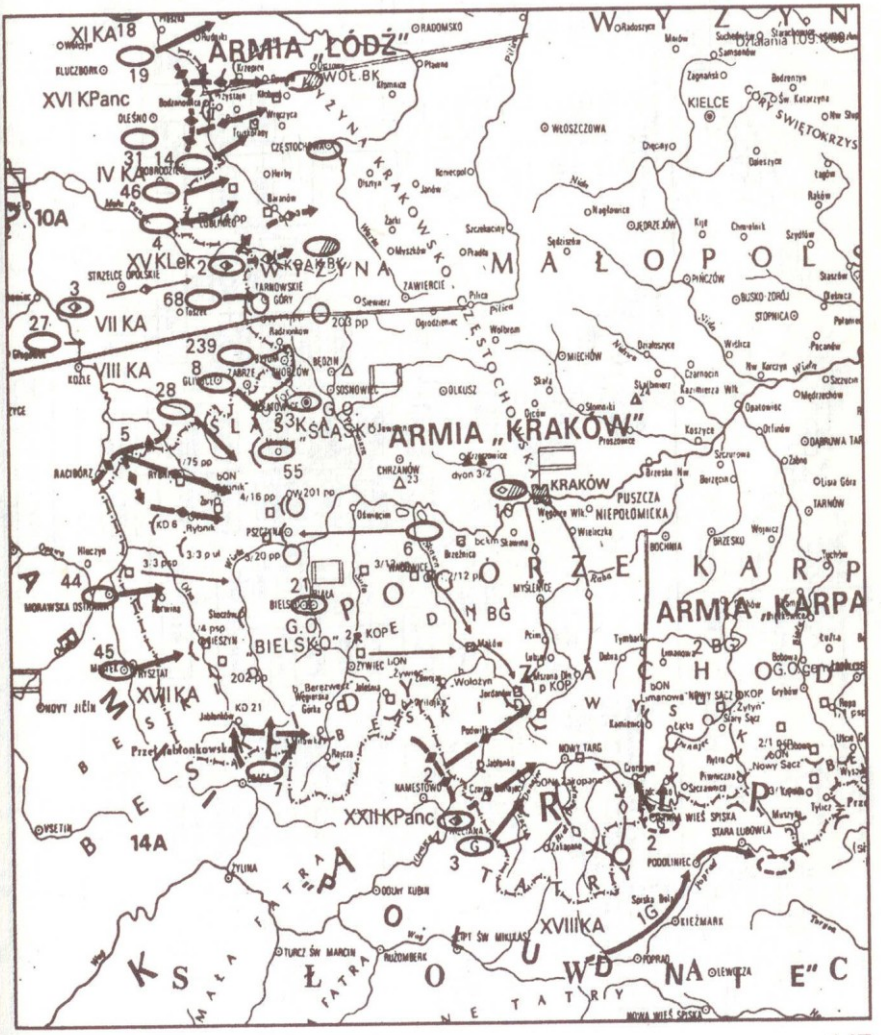
Zamknął się jeden z tragicznych rozdziałów naszej Ojczyzny, w którym tak chlubnie zapisali się Karwodrzanie i mieszkańcy najbliższej okolicy. Oby się nie powtórzył! By wolności - już - nie mierzono krzyżami! Cena wolności okupiona została strugami krwi, bezgranicznym poświęceniem jawnych i anonimowych bohaterów, którzy zasługują na szczególną pamięć u potomnych.

Gminna Biblioteka Publiczna w Tuchowie

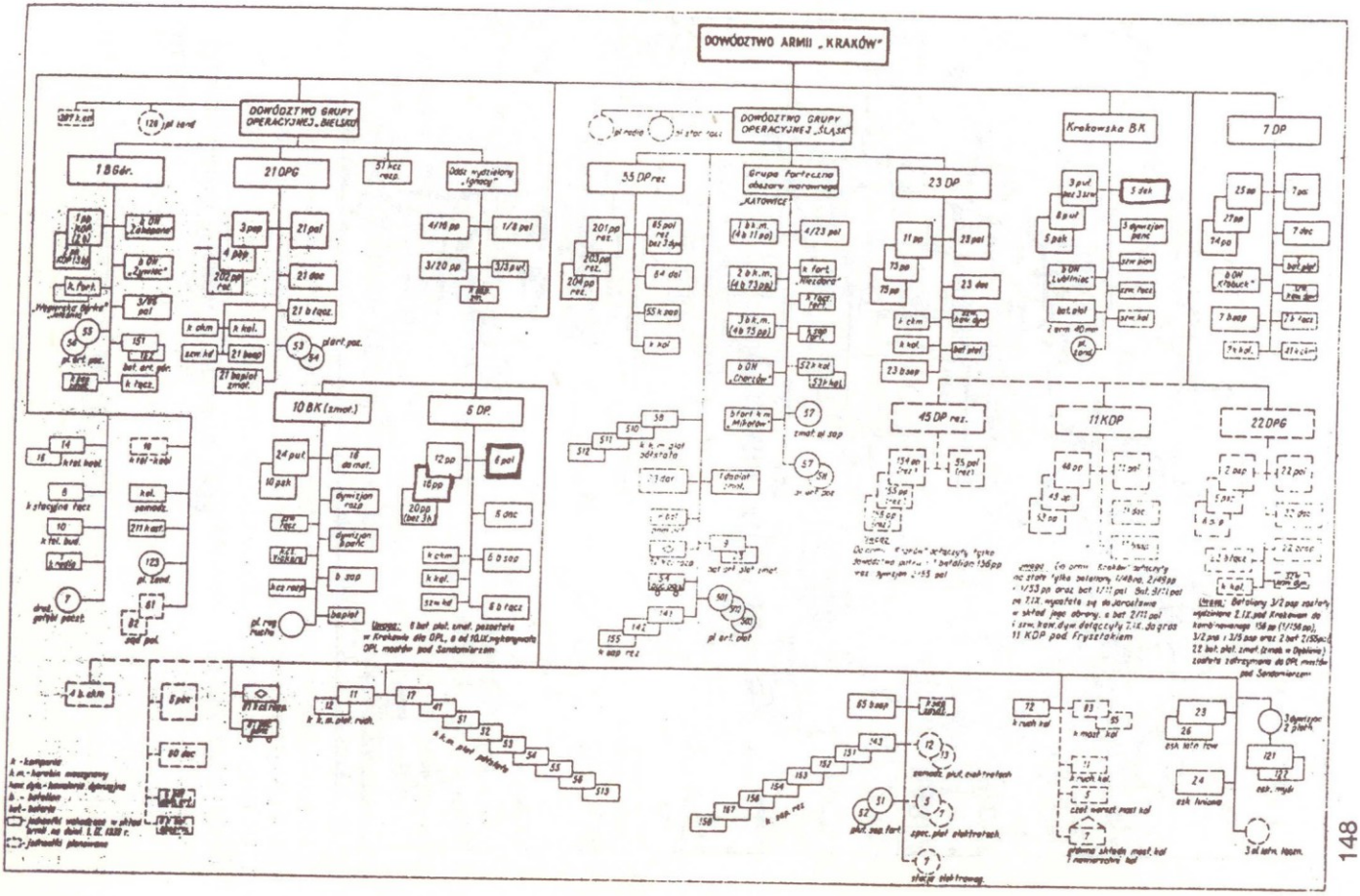
ANEKSY

Aneks I

Działania armii "Kraków" 1 września 1939

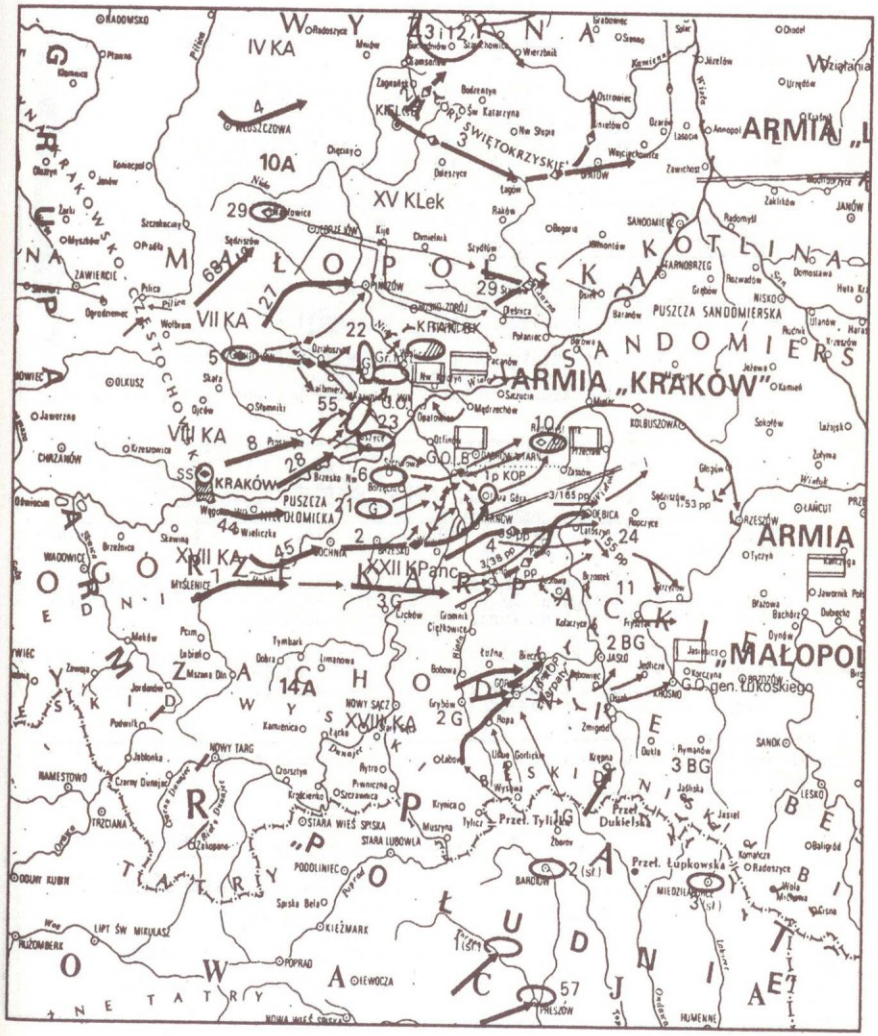

ARMIA „ŁÓDŹ"
ARMIA „KRAKÓW"
ARMIA „KARPA
XI KA
XVI KPanc
IV KA
10A
XV KLek
VII KA
VIII KA
XVII KA
XXIIKPanc
XVIIIKA
14A
WOŁ. BK
ŚLĄSK
KRAKÓW
PUSZCZA NIEPOŁOMICKA
BIELSKO
KIELCE
ŚWIĘTOKRZYS
WŁOSZCZOWA
CZĘSTOCHOWA
TARNOWSKIE GÓRY
STRZELCE OPOLSKIE
KOZLE
RADOMSKO
CHRZANÓW
OLKUSZ
MIECHÓW
BUSKO-ZDRÓJ
STOPNICA
OPATOWIEC
KOSZYCE
DĄBRUWA TAR
TARNÓW
BRZESKO
BOCHNIA
WOJNICZ
TYCHY
MYSŁENICE
ZAWIERCIE
OLEŚNO
RADOMSKO
PODOLINIEC
STARA LUBOWLA
NOWY TARG
NOWY SĄCZ
KRYNICA
MORAWSKA OSTRAWA
TATRY
BESKIDY
KARPATY
KSIĘŻE GÓRY
MAŁA FATRA
TURCZ ŚW. MARCIN
RUŻOMBERK
POPRAD
LEWOCZA
MOKRA WIEŚ SPISKA
DOLNY KUBIN
NAMESTOWO
ORAVA
ZYWIEC
BIELSKO
CIESZYN
TRZYNIEC
SKOCZÓW
WIELICZKA
BRZEZICA
OŚWIĘCIM
CHEŁMEK
PSZCZYNA
RYBNIK
RACIBÓRZ
KOŹLE
GLIWICE
TARNOWSKIE GÓRY
BYTOM
TARNOWSKIE GÓRY
SOSNOWIEC
BĘDZIN
CZELADŹ
DĄBROWA GÓRNICZA
SKAŁY
SŁOMNIKI
PRZEWORNO
KRZESZOWICE
CHWALOWICE
DYWIZJON 3 K
DYWIZJON 3 P
203 pp
201 pp
20 pp
4/16 pp
75 pp
4 psp
3 psp
202 pp
KD 6
KD 21
bON
bCKM
2 BG
1 BG
3 BG
2/1 GSK
GO „BIELSKO"
GO „PODHALE"
GO „CHOCHOŁÓW"
GO „KARPATY"
GO „BESKID"
GO „ORAWA"
GO „SĄCZ"
GO „KOP"
GO „LWÓW"
GO „NAREW"
GO „NOWOGRÓDEK"
GO „POLESIE"
GO „WILNO"
GO „GROZA"
GO „NOTEĆ"
GO „WYSOKIE MAZOWIECKIE"
GO „MODLIN"
GO „WARSZAWA"
GO „PRUSY"
GO „POMORZE"
GO „WIELKOPOLSKA"
GO „POZNAŃ

Aneks II Struktura organizacyjna armii "Kraków"



Aneks III

Działania armii "Kraków" 7 września 1939 r.


ARMIA „KRAKÓW"
ARMIA „MAŁOPOL
ARMIA
IV KA
10A
XV KLek
VII KA
VIII KA
XVII KA
XXII KPanc
2 BG
3 BG
14A
XVIII KA
2G
KRAKÓW
PUSZCZA SANDOMIERSKA
PUSZCZA KARPACKA
ŁÓDZKA
KOTLINA SANDOMIERSKA
OGÓLNOPOLSKIE
WYŻYNA KRAKOWSKO-CZĘSTOCHOWSKA
BESKID NISKI
BESKID SĄDECKI
TATRY
PODHALE
PRZEŁĘCZ DUKIELSKA
PRZEŁĘCZ ŁUPKOWSKA
PRZEŁĘCZ TYLICZ
GÓRY ŚWIĘTOKRZYSKIE
GÓRY PRZEDBORSKIE
GÓRY WOŁOWSKIE
GÓRY PACZKOWSKIE
GÓRY ŻYWIECKIE
GÓRY ŁYSOGÓRSKIE
GÓRY SOLNE
GÓRY SANOCKO-TURCZAŃSKIE
GÓRY SŁONNE
GÓRY SŁONNE
GÓRY SŁONN

Aneks IV

Wskazówki dla wójtów na wypadek użycia podwód.

Oficer Komisji Poborowej
Podój

Wskazówki dla wójtów na wypadek użycia podwód

1/ Komisja poborowa komisji [illegible] zabezpieczono podwody i w przedpoborowych [illegible] podwody te zarekwirowane. Uważać [illegible] na [illegible] zwierzęta [illegible] aby były [illegible].

2/ Wójtowie mają w podległych gminach kontrolować i Starościć zawiadamiać jeżeli zarekwirowane konie i wozy przez inne władze dłużej niż 24 godziny były w użyciu.-

Wozy podwód i uprząż ma być w stanie używalności postawiona i w nim ładowna. Należy dać im w tygodniu przekonać się o użyteczności podwód [illegible] ile [illegible] i [illegible] gminie. O ile [illegible] należy [illegible] [illegible] [illegible]

Aneks V

Spis powszechny ludności (Karwodrzy) przeprowadzony dnia 1 marca 1943 r.

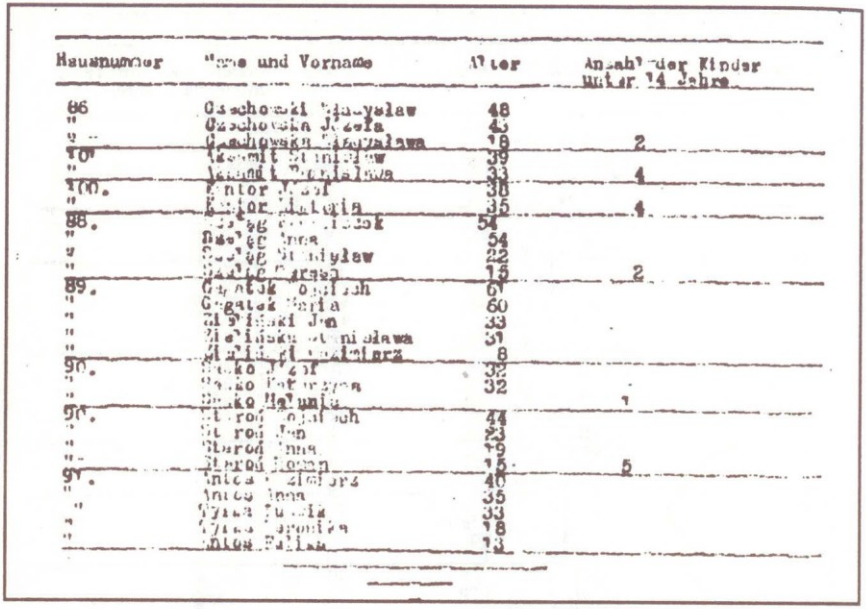
SPIS POWSZECHNY LUDNOŚCI – – –

Hausnummer	Name und Vorname	Alter - Anzahl der Kinder unter 14 Jahre
9.	Peca Barbara	70
"	Iwaniec Józefa	59
10.	Łatka Władysław	40
"	Łatka Zofia	40
"	Łatka Eugeniusz	18
"	Łatka Edward	16
"	Kozioł Joanna	72 3
11.	Piórkowska Katarzyna	59
"	Piórkowska Józefa	18
12.	Filar Zofia	42
"	Filar Dorota	18
"	Filar Władysław	15 2
13.	Lipka Adam	36
"	Lipka Bronisława	30
"	Lipka Karol	26 2
14.	Polak Władysław	30
"	Polak Bronisława	26
"	Polak Maria	65
"	Polak Jan	38 1
15.	Wójcik Bronisława	35
"	Wójcik Maria	37
90.	Salomon Franciszek	41
"	Salomon Anna	41 4
17.	Szałęg Ewa	41
"	Szałęg Jakób	45 -
"	Szałęg Zofia	17 1
18.	Szostacka Zofia	38 1
16.	Mytyś Katarzyna	58
"	Mytyś Anna	43
"	Mytyś Dorota	17
19.	Chwistek Stanisław	39
"	Chwistek Helena	35
"	Chwistek Hanna	10 5
20.	Salomon Marcin	66
"	Salomon Maria	60
"	Salomon Stanisława	32
"	Salomon Jan	30
"	Salomon Bronisława	23
"	Salomon Antoni	22
"	Salomon Władysław	19
"	Salomon Franciszek	16
21.	Filar Wojciech	69
"	Filar Józefa	72
"	Kulikowska Katarzyna	36 2
22.	Salomon Józef	84
"	Salomon Maria	66
"	Salomon Józefa	40
"	Salomon Michał	26
23	Kras Wojciech	39
"	Kras Bronisława	33
"	Kowalski Władysław	21
"	Kowalski Ludwik	18 4
24.	Piórkowski Henryk	35
"	Piórkowska Anna	30 4
25.	Filar Wojciech	30
"	Filar Zofia	43
"	Filar Anna	51
26.	Kras Józef	40
"	Kras Ludwika	30 4
27.	Piska Maria	65
"	Piska Michał	18

Nr.	Name und Vorname	Alter	Anzahl der Kinder unter 14 Jahre
28.	Różowski Jan	53	
"	Różowska Katarzyna	50	
"	Różowska Maria	14	1
29.	Siwak Anna	64	
"	Siwak Tadeusz	19	
30	Boroń Władysław	48	
"	Boroń Katarzyna	47	
"	Boroń Maria	15	3
31.	Twardowski Jan	75	
"	Twardowska Anna	65	-
"	Twardowski Karol	32	1
32.	Pyrda Antoni	45	
"	Pyrda Anna	19	2
33	Antos Maria	66	-
"	Usara Katarzyna	33	1
92.	Zaszutko Stefan	36	
"	Zaszutko Zofia	31	3
35.	Fortecki Stanisław	35	
"	Fortecka Antonina	32	4
36.	Pączkowska Julia	46	
"	Piotrowska Anna	37	2
37.	Filar Bronisław	37	
"	Filar Stefania	42	2
Nr.?	Wójcik Józef	45	
"	Zając Zofia	67	
"	Baran Anna	27	2
38	Iwaniec Ewa	19	
"	Iwaniec Jan	22	
"	Iwaniec Aleksander	16	
"	Krzemień Katarzyna	40	3
39.	Pawłowicz Piotr	35	
"	Pawłowicz Stefania	35	
"	Madeja Cecylia	20	-
"	Madeja Ludwik	15	1
40.	Szeląg Wojciech	52	
"	Szeląg Rozalia	60	
"	Szeląg Anastazja	22	
"	Szeląg Kazimiera	21	1
41.	Jeleń Piotr	77	
"	Jeleń Anna	65	
"	Jeleń Jan	50	
"	Jeleń Michał	34	
"	Jeleń Anna	25	2
42.	Krzemień Feliks	37	
"	Krzemień Zofia	40	4
43.	Wierzba Paweł	35	
"	Wierzba Anna	38	
"	Janus Katarzyna	46	3
44.	Filar Jakub	67	
"	Kapka Wojciech	49	
"	Kapka Kunegunda	36	4
45.	Potępa Anufry	37	
"	Potępa Anna	45	4
46.	Wójcik Jakób	35	
"	Wójcik Maria	70	
"	Wójcik Katarzyna	38	-
"	Wójcik Wiktoria	24	1
88.	Piątek Józef	52	
"	Piątek Agnieszka	37	4
Nr.?	Jasiak Jakub	47	5
47.	Chaim Jakub	73	
"	Zieliński Grzegorz	36	
"	Zielińska Maria	33	4
49.	Wsorek Józef	53	
"	Wsorek Zofia	42	
"	Wsorek Antoni	16	2

Hausnummer	Name und Vorname	Alter	Anzahl der Kinder unter 14 Jahre
48.	Bełzowski Paweł	40	
"	Bełzowska Anna	40	
"	Bełzowski Mieczysław	20	-
"	Bełzowska Franciszka	15	1
50.	Stańczyk Tyzuor	48	
"	Stańczyk Maria	45	
"	Stańczyk Jan	17	
"	Stańczyk Edward	20	
"	Stańczyk Józefa	15	3
51.	Salomon Andrzej	29	
"	Salomon Barbara	32	
"	Salomon Stefania	40	
52.	Baumra Józef	37	
"	Baumra Felicja	35	3
53.	Iwaniec Katarzyna	60	
"	Jękot Bartłomiej	42	
"	Jękot Maria	32	2
54.	Matug Wojciech	53	
"	Matug Katarzyna	54	
"	Matug Janina	23	
"	Matug Teresa	14	2
55.	Iwaniec Bronisława	52	
"	Iwaniec Szczepan	28	
"	Iwaniec Genowefa	22	-
"	Iwaniec Emilia	17	1
56.	Chaim Andrzej	48	
"	Chaim Maria	51	
"	Chaim Janina	18	
"	Chaim Roman	16	
"	Chaim Józefa	14	2
57.	Krzemień Jan	35	
"	Krzemień Genowefa	38	2
58.	Janus Wiesław	48	
"	Janus Maria	49	3
60.	Rus Leon	45	
"	Rus Józefa	42	
"	Rus Jadwiga	21	-
"	Pieradunkowa Maria	76	1
61.	Pilar Waleria	42	
"	Pilar-Zofia	45	
"	Fugial Jan	74	
62.	Rus Ludwika	80	
"	Rus Krystyna	57	
"	Rus Katarzyna	42	
89.	Piętak Stanisław	38	
"	Piętak Waleria	35	
"	Lyniwon Józef	17	4
63.	Piórkowska Maria	55	
"	Piórkowski Władysław	33	
"	Forteski Franciszek	33	-
"	Fortecka Zofia	26	1
60.	Sobara Jan	62	
"	Sobara Tekla	48	
"	Sobara Kazimiera	19	
"	Sobara Stanisław	17	
"	Sobara Franciszek	15	
"	Sobara Maria	30	3
65.	Patyk Józef	50	
"	Patyk Helena	47	2
66.	Krzemień Andrzej	70	
"	Krzemień Anna	65	
"	Krzemień Stefania	39	
"	Krzemień Barbara	23	
67.	Szostecki Franciszek	46	
"	Szostecka Stefania	47	
"	Szostecki Aleksander	19	
"	Szostecki Gustaw	16	3
68.	Jeleń Tomasz	37	
"	Jeleń Genowefa	28	2

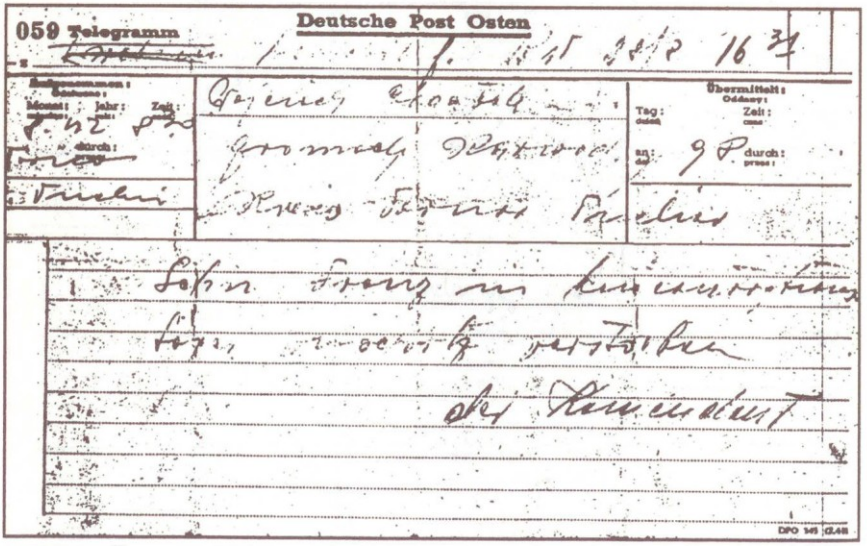
Hausnummer	Name und Vorname	Alter	Anzahl der Kinder unter 14 Jahre
6			
63.	Świętek Ewa	68	
"	Świętek Czesław	34	
"	Świętek Antoni	23	
"	Świętek Józef	19	
64.	Czymsenk Władysław	37	
"	Czymsenk Dorota	34	
"	Gilar Karol	45	2
65.	Kawa Zofia	40	
"	Kawa Antoni	19	
"	Kawa Stanisława	16	
"	Kawa Helena	14	
"	Kosiba Władysław	38	
68.	Baran Katarzyna	63	
"	Baran Maria	29	
"	Baran Karol	27	
"	Baran Tadeusz	17	
"	Baran Edward	15	
69.	Salomon Jan	54	
"	Salomon Stefania	50	
"	Salomon Maria	16	2
70.	Michalik Franciszek	52	
"	Michalik Katarzyna	46	
"	Michalik Helena	23	
"	Michalik Józef	18	3
71.	Osełog Jan	88	
"	Osełog Stanisław	42	
"	Osełog Katarzyna	36	4
72.	Kowalski Franciszek	45	
"	Kowalska Stanisława	30	3
73.	Mikos Michał	29	
"	Mikos Julia	30	
"	Michalska Katarzyna	69	2
78.	Świętek Maria	56	
"	Kacer Ewa	30	2
77.	Duraj Franciszek	47	
"	Duraj Maria	37	
"	Świątek Karolina	65	3
79.	Gajda Józefa	68	
"	Gajda Józef	27	
"	Gajda Tadeusz	28	1
80.	Krzemień Anna	66	
"	Krzemień Kazimierz	35	
81.	Prokop Karol	66	
"	Prokop Józefa	64	
"	Gwinoga Franciszka	22	
"	Gwinoga Jan	30	
82.	Piotrowski Józef	47	
"	Piotrowska Zofia	47	
"	Piotrowski Władysław	15	
"	Piotrowski Kazimierz	14	4
83.	Jaworcz Karol	40	
"	Jaworcz Maria	34	5
84.	Jaśkiewicz Michał	43	
"	Jaśkiewicz Elżbieta	39	
"	Jaśkiewicz Aleksander	17	2
75.	Krzemień Katarzyna	75	
"	Krzemień Adam	27	
"	Krzemień Janina	22	2
67.	Salomon Stanisław	37	
"	Salomon Franciszka	34	2
85.	Lipka Stanisław	40	
"	Lipka Maria	39	
"	Lipka Stanisława	14	1



Hausnummer	Name und Vorname	Alter	Anzahl der Kinder unter 14 Jahre
86	Czechowski Władysław	48	
"	Czechowska Józefa	43	
"	Czechowska Sławomira	19	2
10	[illegible] Stanisław	39	
"	[illegible] Stanisława	33	4
100.	Kantor [illegible]	38	
"	Kantor Antonia	35	4
88.	[illegible]	54	
"	[illegible]	54	
"	[illegible] Władysław	22	
"	[illegible]	16	2
89.	[illegible]	61	
"	Gagatek Maria	60	
"	[illegible]	33	
"	[illegible] Stanisława	31	
"	[illegible]	8	
90.	[illegible]	32	
"	[illegible]	32	
"	[illegible]		1
96.	[illegible]	44	
"	[illegible]	23	
"	[illegible]	19	
"	[illegible]	15	5
97.	[illegible]	40	
"	[illegible]	35	
"	[illegible]	33	
"	[illegible]	18	
"	[illegible]	13	

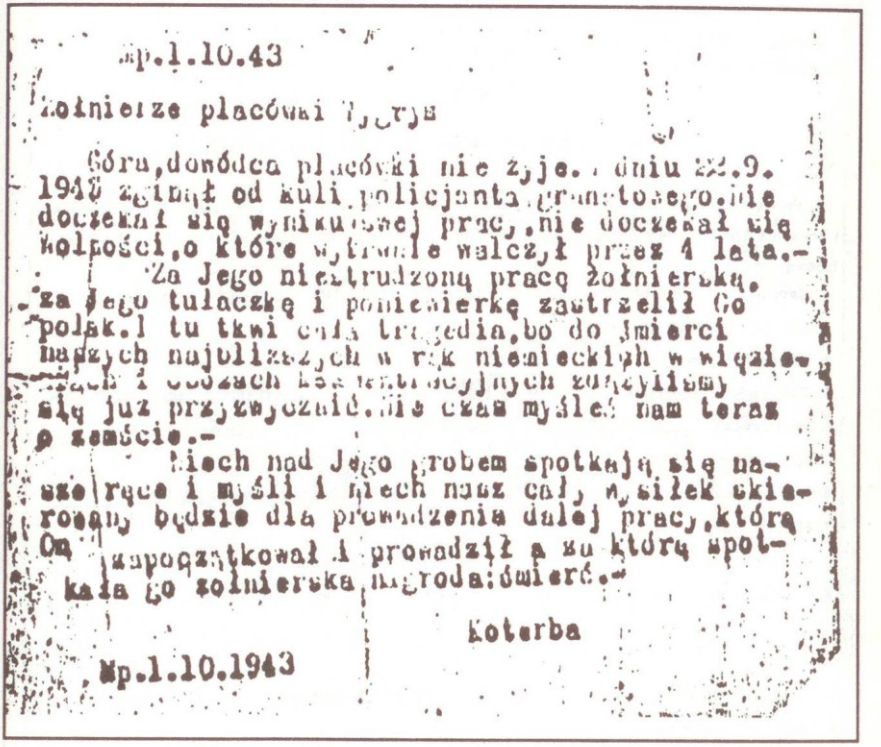
Aneks VI

Telegram informujący o śmierci Franciszka Gagatka w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu.



Aneks VII

Odezwa do żołnierzy placówki "Tygrys"



Kp.1.10.43

Żołnierze placówki Tygrys

Góra, dowódca placówki nie żyje. W dniu 22.9. 1943 zginął od kuli policjanta granatowego. Nie doczekał się wyniku swojej pracy, nie doczekał się wolności, o które wytrwale walczył przez 4 lata.-

Za Jego niestrudzoną pracę żołnierską, za Jego tułaczkę i poniewierkę zastrzelił Go polak. I tu tkwi cała tragedia, bo do śmierci naszych najbliższych w ręk niemieckich w więzieniach i obozach koncentracyjnych zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Nie czas myśleć nam teraz o zemście.-

Niech nad Jego grobem spotkają się nasze ręce i myśli i niech nasz cały wysiłek skierowany będzie dla prowadzenia dalej pracy, którą On zapoczątkował i prowadził a za którą spotkała Go żołnierska nagroda: śmierć.-

Koterba

Kp.1.10.1943

Aneks VIII

Kwestionariusz weryfikacyjny ZBOWiD Lipki Stanisława.

Związek Bojowników o Wolność i Demokrację

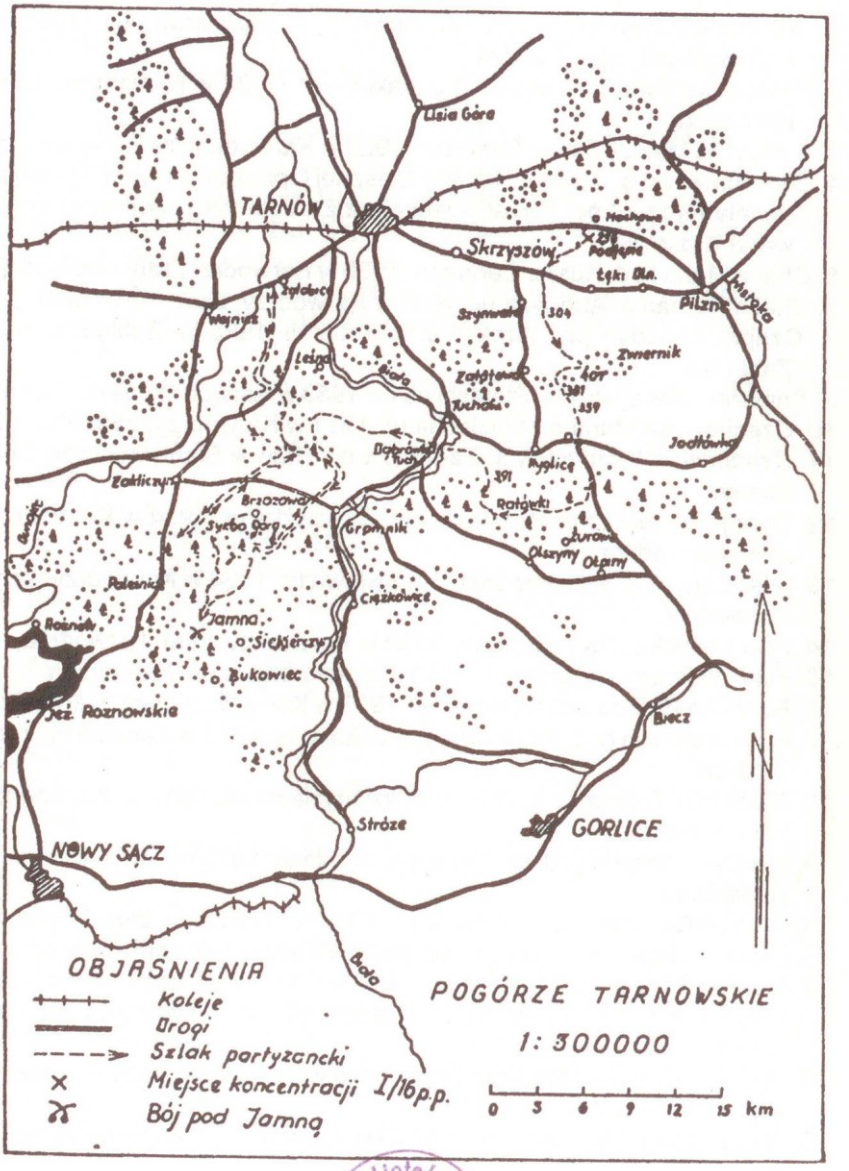
Kwestionariusz weryfikacyjny

Proszę o przyjęcie mnie w poczet członków Związku. Zobowiązuję się przestrzegać Statut Związku i polecenia Władz Związku, być czynnym członkiem organizacji, wprowadzając w życie jej Deklarację Ideową.

1. Nazwisko Lipka imię Stanisław pseudonim Lot
   Dla mężatek nazwisko panieńskie .....
2. Imiona rodziców Wojciech i Anna
3. Data i miejsce urodzenia 26.IV.1903r gm. Karnodrza pow. Tarnów
4. Stan cywilny żonaty zawód wykonywany rolnik
5. Wykształcenie 4 kl. szkoł. pow.
6. Miejsce zamieszkania Karnodrza poczta Tuchów pow. Tarnów
7. Miejsce pracy .....
8. Przynależność do org. polit. do 1939 r. Stronnictwo ludowe
9. Teren działalności i pełnione funkcje w org. do 1939 r. Karnodrza członek
10. Udział w pracy konspiracyjnej w latach od 1939 do 1945 (podać nazwę org. konsp., datę i miejsce wstąpienia, przebieg działalności i zajmowane stanowiska): Armia Krajowa d. wstąp 8.I.1940r. Tuchów do kompani Teresa. Organizowanie członków do A.K i zdobywanie broni i amunicji. Zajmowane stanowisko dowódca I plutonu: kom Teresa
11. Czy był więziony (tak — nie) nie
    przez kogo (władze carskie, sanacyjne, hitlerowskie) .....
    powód aresztowania .....
    gdzie, jak długo w jakim czasie był więziony (podać nazwę więzienia, obozu, numery obozowe i daty) .....

Aneks IX

Szlak bojowy batalionu "Barbara".



Gminna Biblioteka Publiczna w Tuchowie

Indeks osób, dzięki którym zostały przedstawione treści zawarte w książce, zdjęcia i inne dokumenty.

1. Abramowicz Halina (z domu Jacyna) c. Stanisławy ur. 1932 w Kożangródku, zam. Tarnów
2. Bełzowska Ewa (z d. Iwaniec) c. Jakuba ur. 1923 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
3. Bełzowski Mieczysław s. Gawła ur. 1923 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
4. Bień Benedykt s. Jana ur. 1919 w Mesznej Opackiej, zam. Kielanowice
5. Ciepiela Ryszard ps. "Orzeł" - sekretarz Zarządu Muzeum Armii Krajowej w Krakowie
6. Chaim Maria (z d. Kus) c. Leona ur. 1930 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
7. Chaim Roman s. Andrzeja ur. 1926 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
8. Czapla Tadeusz ps. "Sroka" s. Jakuba ur 1923 w Zabłędzy, zam Zabłędza
9. Chwistek Mieczysław s. Stanisława ur. 1933 w Karwodrzy, zam. Tarnów
10. Czechowska Maria c. Wojciecha ur. 1911 w Karwodrzy, zam. Kraków
11. Czechowski Władysław s. Tadeusza ur. 1926 w Stanisławówce zam. Londyn
12. Dunaj Teodora (z d. Szostecka) c. Franciszka ur. 1934 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
13. Filar Danuta (z d. Salamon) c. Stanisława ur. 1934 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
14. Filar Ludwik s. Bronisława ur. 1935 w Karwodrzy, zam. Katwodrza
15. Filar Wojciech s. Józefa ur. 1913 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
16. Fortecka Helena c Stanisława ur. 1933 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
17. Fortecka Łucja (z d. Piórkowska) c. Jakuba ur. 1915 w Karwodrzy, zam. Tuchów
18. Gdowska Teresa (z d. Boroń) c. Władysława ur. 1931 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
19. Iwaniec Edwarda (z d. Dudowicz) c. Adolfa ur. 1935 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
20. Iwaniec Genowefa c. Wojciecha ur. 1919 w Karwodrzy, zam. Wieliczka
21. Iwaniec Józefa c. Wojciecha ur. 1913 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
22. Iwaniec Stefan s. Wojciecha ur. 1915 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
23. Jania Maria (z d. Salamon) c. Jana ur. 1927 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
24. Janura Edward s. Władysława ur. 1928 w Karwodrzy, zam. Gorzesław woj. wrocławskie
25. Janura Jan s. Władysława ur. 1923 w Karwodrzy, zam. Gorzesław

25. Janura Stanisław s. Władysława ur. 1921 w Karwodrzy, zam. Gorzesław
27. Jeleń Elżbieta (z d. Krzemień) c. Jana ur. 1904 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
28. Jeleń Michał s. Piotra ur. 1908 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
29. Jękot Aleksander s. Bartłomieja ur. 1925 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
30. Kapka Franciszka (z d. Pyzdek) c. Jakuba ur. 1926 w Zablędzy, zam. Zabłędza
31. Karwat Zofia c. Jana ur. 1913 w Zabłędzy, zam. Zabłędza
32. Kasperczyk Emilia (z d. Kapka) c. Wojciecha ur. 1930 w Karwodrzy, zam. Kraków
33. Kawa Stanisława c. Jakuba ur. 1926 w Karwodrzy, zam. Tuchów
34. Klech Zofia (z d. Kosiba) c. Wojciecha ur. 1919 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
35. Kosiba Alfreda (z d. Piątek) c. Onufrego ur. 1924 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
36. Kosiba Władysław s. Wojciecha ur. 1915 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
37. Kowalski Józef s. Jana ur. 1914 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
38. Kowalski Józef s. Franciszka ur. 1930 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
39. Kowalski Ludwik s. Jana ur. 1925 w Karwodrzy, zam Karwodrza.
40. Kowalska Stanisława (z d. Zielińska) c. Antoniego ur. 1911 w Karwodrzy, zam. Tuchów
41. Krzemień Adam s. Wojciecha ur. 1916 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
42. Krzemień Aleksander s. Franciszka ur. 1923 w Karwodrzy, zam. Tarnów
43. Krzemień Edward s. Andrzeja ur. 1920 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
44. Krzemień Jadwiga (z d. Adamczyk) ur. 1920 w Tuchowie, zam. Karwodrza
45. Krzemień Józef s Franciszka ur. 1931 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
46. Krzemień Maria (z d. Świątek) c. Władysława ur. 1918 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
47. Krzemień Maria (z d. Siedlik) c. Jana ur. 1928 w Kozowej, zam. Karwodrza
48. Kszyński Jan s. Franciszka ur. 1912 w Krośnie, zam. Tarnów
49. Kus Alojzy s. Jana ur. 1914 w Karwodrzy, zam. Zalasowa
50. Kus Jan s. Leona ur. 1924 w Karwodrzy, zam. Sadków woj. wrocławskie
51. Leśniewicz Janina (z d. Matug) c. Wojciecha ur. w Karwodrzy 1919, zam. Wabienice

52. Lipka Bronisława (z d. Krzemień) c. Wojciecha ur. 1913 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
53. Lipka Karol s. Wojciecha ur. 1917 w Karwodrzy, zam. Elbląg
54. Lorek Maria (z d. Szostecka) c. Franciszka ur. 1923 w Karwodrzy, zam. Wrocław
55. Łątka Eugeniusz s. Władysława ur. 1925 w Karwodrzy, zam. Zabłędza
56. Madeja Ludwik s. Jana ur. 1928 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
57. Malicka Genowefa (z d. Matug) c. Wojciecha ur. 1923 w Karwodrzy, zam. Sydney
58. Malcher Elżbieta (z d. Kowalska) c. Izydora ur. 1927 w Uniszowej zam. Bierutów
59. Matug Józef s. Wojciecha ur. 1924 w Karwodrzy, zam. Pogorzela woj. Poznań
60. Mela Józefa z d. Matug c. Wojciecha ur. 1934 w Karwodrzy, zam. Wabienice woj. Wrocław
61. Mendera Franciszek s. Bartłomieja ur. 1911 w Siedliskach, zam. Dąbrówka Tuchowska
62. Michalik Franciszek s. Franciszka ur. 1929 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
63. Niżnik Zofia (z d. Czechowska) c. Marii ur. 1932 zam. Kraków
64. Nowińska Agnieszka (z d. Prokop) c. Pawła ur. 1921 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
65. Patyk Jan s. Józefa ur. 1930 we Francji, zam. Karwodrza
66. Pertkiewicz Jerzy ps. "Drzazga" - prezes Wojewódzkiego Zarządu Koła Żołnierzy Armii Krajowej
67. Piątek Jadwiga (z d. Stańczyk) c. Stanisława ur. 1903 w Zalasowej, zam. Karwodrza
68. Piórkowska Anna (z d. Iwaniec) c. Jakuba ur. 1913 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
69. Piórkowska Janina (z d. Piska) c. Józefa ur. 1923 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
70. Piórkowski Kazimierz s. Józefa ur. 1931 w Karwodrzy zam. Karwodrza
71. Pisek Teresa (z d. Iwaniec) c. Jakuba ur. 1929 w Karwodrzy, zam. Tarnów
72. Pyrda Józef s. Antoniego ur. 1928 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
73. Pyrda Zofia (z d. Iwaniec) c. Jakuba ur. 1933 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
74. Radwan Tadeusz s. Michała ur. 1924 w Zabłędzy, zam. Zabłędza
75. Sadko Józef s. Jana ur. 1910 w Zalasowej, zam. Tuchów
76. Sajdak Wojciech s. Wincentego ur. 1916 w Tuchowie, zam. Tuchów
77. Salamon Franciszek s. Marcina ur. 1927 w Karwodrzy, zam. Tuchów

78. Salamon Franciszka (z d. Czechowska) c. Władysława ur 1930 w Karwodrzy, zam. Tuchów
79. Salamon Jadwiga (z d. Kus) c. Leona ur. 1921 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
80. Salamon Józef s. Jana ur. 1924 w Karwodrzy, zam. Tarnów
81. Salamon Michał s. Józefa ur. 1919 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
82. Salamon Stanisław s. Franciszka ur. 1932 w Karwodrzy, zam. Lesko
83. Salamon Władysław s. Marcina ur. 1923 w Karwodrzy, zam. Tuchów
84. Sikorska Maria (z d. Boroń) c. Władysława ur. 1926 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
85. Siwak Jan s. Jana ur. 1913 w Dąbrówce Tuchowskiej, zam. Kraków
86. Solarz Tadeusz s. Jana ur. 1921 w Rozenbarku, zam. Karwodrza
87. Szeląg Aleksandra (z d. Skórka) ur. 1921 w Zakliczynie, zam. Karwodrza
88. Szeląg Franciszek s. Franciszka ur. 1930 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
89. Szeląg Józef s. Wojciecha ur. 1924 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
90. Szeląg Kazimierz s. Wojciecha ur. 1922 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
91. Szeląg Władysława (z d. Czechowska) c. Władysława ur. 1924 w Karwodrzy, zam. Wabienice
92. Szostecki Augustyn s. Franciszka ur. 1926 w Karwodrzy, zam. Kamienna Góra
93. Stańczyk Edward s. Izydora ur. 1922 w Karwodrzy, zam Piotrkowice
94. Stańczyk Józef s. Andrzeja ur. 1915 w Trzemesnej, zam. Karwodrza
95. Świątek Antoni s. Władysława ur. 1920 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
96. Świątek Bronisława (z d. Filar) c. Bronisława ur. 1930 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
97. Świerczek Dominika (z d. Szostecka) c. Franciszka ur. 1928 w Karwodrzy, zam. Tarnów
98. Szarek Michał s. Józefa ur. 1917 w Tuchowie zam. Tarnów
99. Truszkowska Michalina (z d. Gągola) ur. 1932 w Stanisławówce, zam. Katowice
100. Trzeciak Tadeusz ps. "Krasny" s. Józefa ur. 1922 w Czarnokońcach pow. Czortków, zam. Tarnów
101. Ustianowski Adam s. Józefa ur. 1915 w Uherce, zam. Tuchów
102. Walaszek Stanisława (z d. Lipka) ur. 1928 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
103. Wilczkowska Maria (z d. Berké) c. Jana ur. we Lwowie, zam. Kraków
104. Wilczyńska Rozalia (z d. Iwaniec) ur. 1916 w Karwodrzy, zam. Tarnów
105. Wójcik Józefa c. Stanisława ur. 1906 w Karwodrzy, zam. Tarnów

106. Wójcik Maria (z d. Zając) c. Stefana ur. 1905 w Radlnej, zam. Karwodrza
107. Wzorek Antoni s. Józefa ur. 1927 w Karwodrzy, zam. Karwodrza
108. Wylegała Genowefa c. Jakuba (z d. Iwaniec) ur. 1922 w Karwodrzy, zam. Czarnków
109. Zając Józef s. Stefana ur. 1915 w Radlnej, zam. Kraków
110. Zielińska Stanisława (z d. Gagatek) c. Wojciecha ur. 1911 w Okocimiu, zam. Karwodrza
111. Zieliński Władysław s. Grzegorza ur. 1932 w Karwodrzy, zam. Łękawica
112. Salamon Zofia c. Jana ur. 1927 w Karwodrzy, zam. Tarnów



BIBLIOGRAFIA

I. Źródła archiwalne

1. Archiwum Państwowe w Tarnowie
   Spis powszechny ludności (Karwodrza) z dnia 1 marca 1943 r.
2. Archiwum parafialne w Piotrkowicach
   Kronika parafialna (od 1749 do 1945)
3. Archiwum Zakładów Mechanicznych w Tarnowie
   Książka ewidencyjna byłych pracowników Warsztatów Kolejowych w Tarnowie w okresie okupacji (Ostbahn)
4. Archiwum ZBOWiD w Tuchowie (Radwan T)
5. Zbiory prywatne prof. J. Aleksandrowicza (obecnie Tadeusza Radwana) - "Goniec Krakowski" - wydawnictwa z lat okupacji
6. Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Krakowie

II. Artykuły, maszynopisy, rękopisy

1. E. A. Borowski, kapitan "Leliwa", Bój pod Jamną, WTK nr 41578 (II. X. 1964)
2. W. Kowal, ps. "Rola" b. adiutant I Baonu 16 pp AK, Czterech z Halifaxa, WTK nr 13/1967
3. W. Kowal, Na szosie pod Lubinką, WTK nr 29/1967
4. W. Kowal, Zasadzka pod Rzepiennikiem, WTK nr 26/70
5. "Krótki opis mojej pracy podczas okupacji hitlerowskiej Jana Siwaka ps. "Szyszka". b. żołnierza AK 16-tego pułku piechoty batalionu "Barbara", 3-ciej kompanii "Regina" od 1939 do dnia 6. I. 1945 r." (maszynopis).
6. B. Bień, Wspomnienie o działalności kompanii Regina (rękopis)
7. Oświadczenie świadka - Kosiba Władysław i Salamon Władysław - niezbędne do uzyskania legitymacji Światowego Związku Żołnierzy AK przez Zająca Józefa.
8. M. Szarek, Z kroniki "Bogdana" - st. strzelca Michała Szarka (maszynopis).
9. Wycinek z gazety Dziennik Chicagowski z dnia 21. 01. 1971, informujący o nabożeństwie żałobnym za ś. p. Władysław Szeląga.
10. Listy do autorki i rękopisy wspomnień wojennych.

III. Literatura pomocnicza

1. Armia Krajowa w dokumentach, Warszawa 1990, t. I, III.
2. W. Anders, Bez ostatniego rozdziału, Bydgoszcz 1989.
3. E. A. Borowski ps. "Leliwa", Bój pod Jamną (w): Z dziejów ruchu oporu w Polsce południowej, Dynamit (2), Kraków 1969.
4. M. Karaszewicz-Tokarzewski, U podstaw tworzenia Armii Krajowej, Kraków 1991.
5. J. Pabich, Niezapomniane karty, Kraków 1984.
6. A. Pietrzykowska, Region tarnowski w okresie okupacji hitlerowskiej, Kraków 1984.
7. K. Pindel. Obrona Narodowa (1937-1939), Warszawa 1979.
8. W. Pobóg-Malinowski, Najnowsza historia pilityczna Polski, Gdańsk 1990, t. III.
9. W. Pronobis, Świat i Polska w XX wieku, Warszawa 1990.
10. K. Skrzypek, Podkarpackim szlakiem, września, Katowice 1986.
11. W. Steblik, Armia Kraków, Warszawa 1989.
12. J. R. Szaflik, Historia Polski 1939-1947, Warszawa 1987.
13. H. Witkowski, Kedyw Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej w latach 1943-1944, Warszawa 1984.
14. R. Zieliński, Wrzesień pod Karpatami, Warszawa 1969.

Gminna Biblioteka Publiczna w Tuchowie

ZDJĘCIA FOTOGRAFICZNE



Ukryci bohaterowie przed wojną - 1937 r.
Siedzą (od lewej): Solarz Tadeusz, Krzemień Edward, Zając Józef, Janura Stanisław, Gawryał Feliks
Stoją: Kowalski Józef, Janura Andrzej, Krzemień Stanisław, Szeląg Jan, Kawa Józef, Gagatek Franciszek, Salamon Józef, Krzemień Adam, Kosiba Władysław

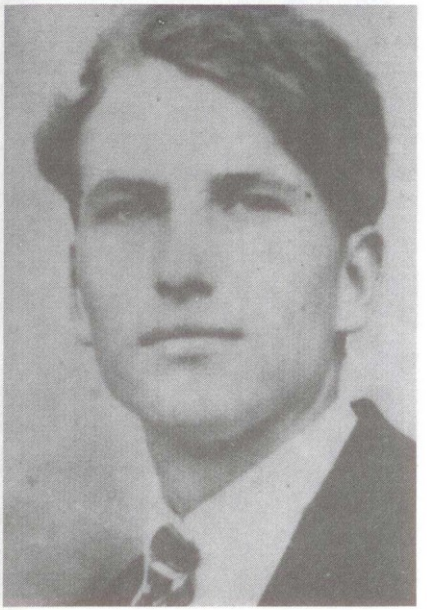


Kosiba Władysław ps. "Lis"

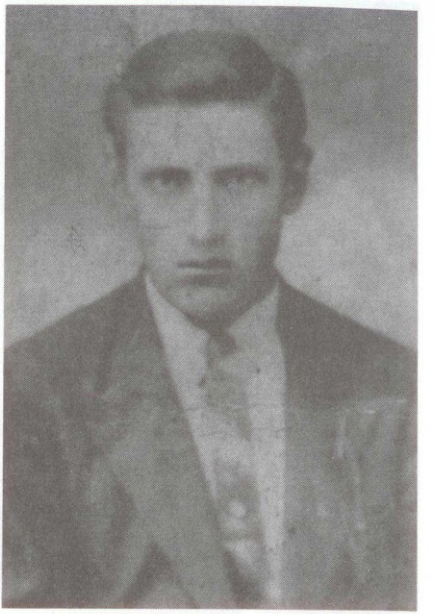


Zając Józef ps. "Kukułka"

Gminna Biblioteka Publiczna w Tuchowie



Stańczyk Józef



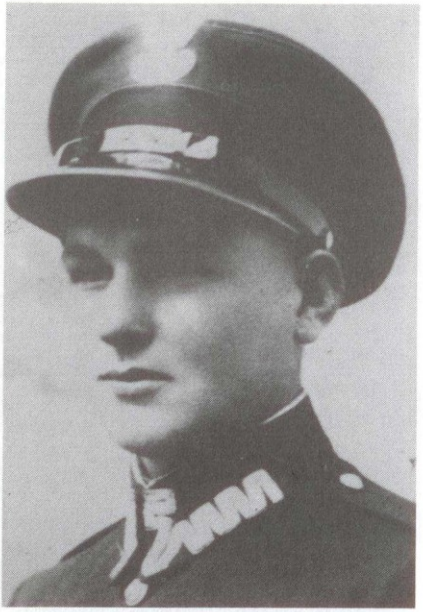
Kapka Zygmunt



Salamon Jan



Filar Józef i Wojciech (1928)



Lipka Adam



Baran Franciszek



Gawryał Feliks



Czechowski Władysław

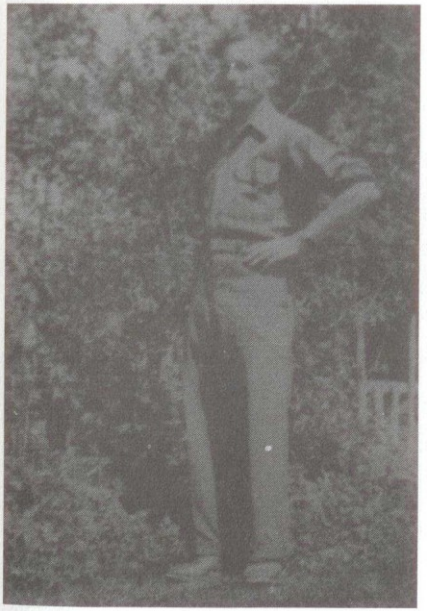
Gminna Biblioteka Publiczna w Tuchowie



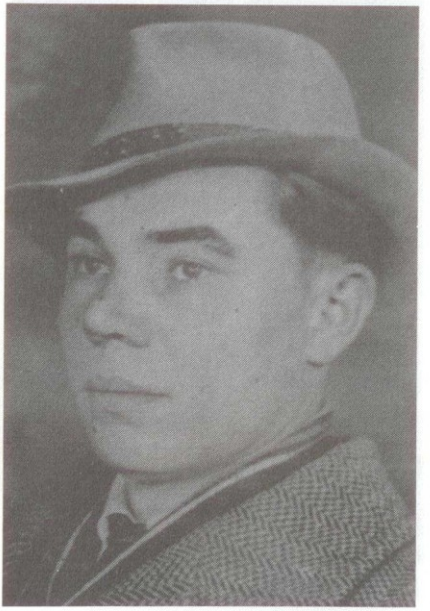
Klech Jakub



Kowalski Stanisław



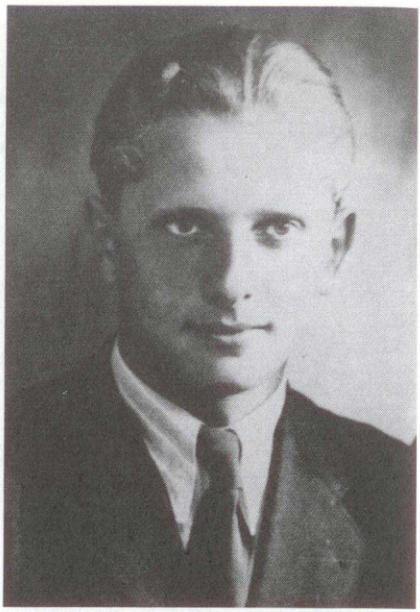
Kowalski Józef



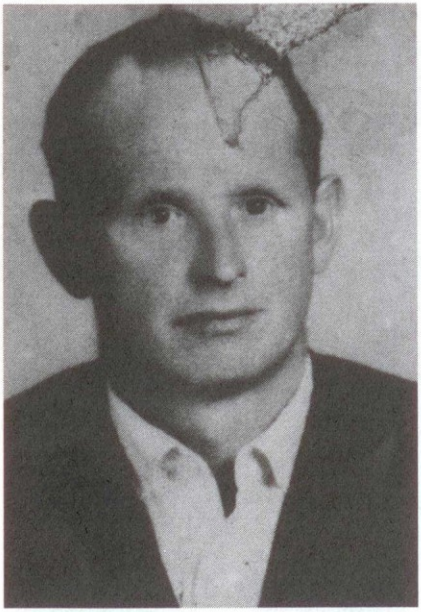
Szeląg Władysław



Kowalski Władysław ps. "Orzeszek"



Salamon Władysław ps. "Saba"



Szeląg Stanisław ps. "Szampan"



Czechowska Władysława

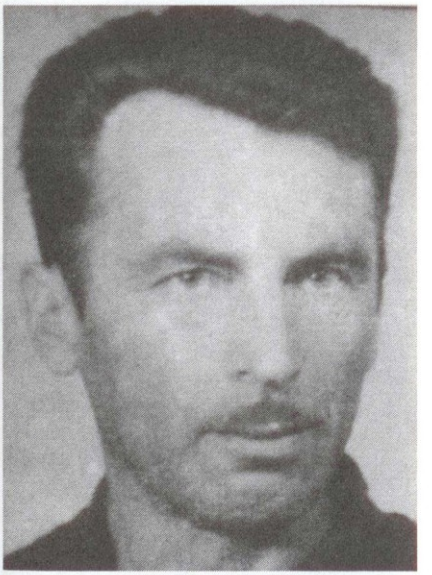
Biblioteka Publiczna w Tuchowie



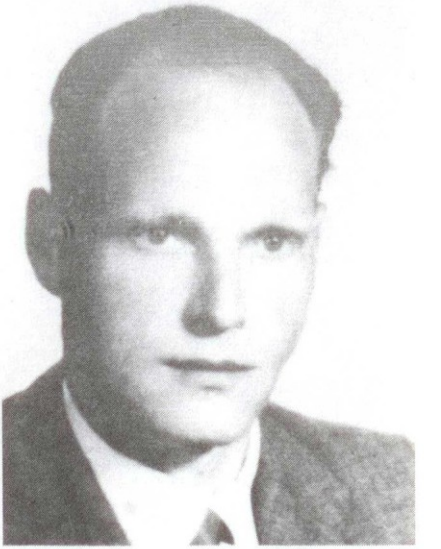
Lipka Karol



Lipka Stanisława



Świątek Antoni ps. "Sokół"



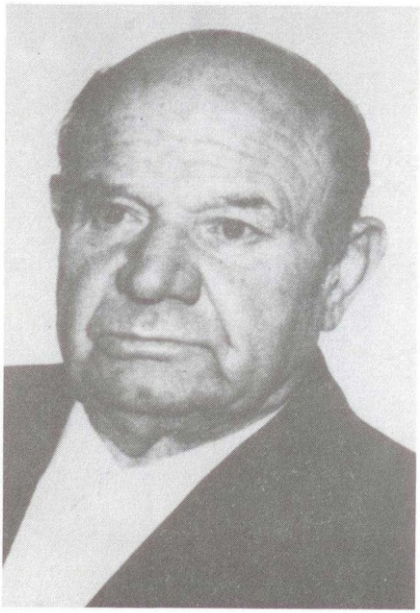
Janura Jan ps. "Sowa"



Przedział Jan ps. "Śmiga"



Stańczyk Edward ps. "Skała"



Siwak Jan ps. "Szyszka"



Salamon Marcin

Gminna Biblioteka Publiczna w Tuchowie



Salamon Stanisław



Krzemień Feliks



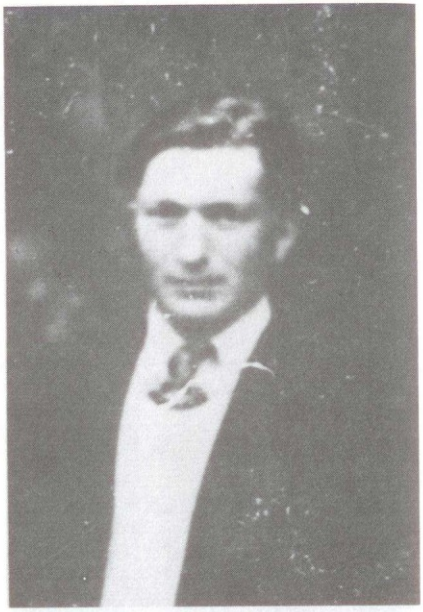
Krzemień Adam ps. "Filipek"



Czechowska Maria



Matug Józef



Kus Jan

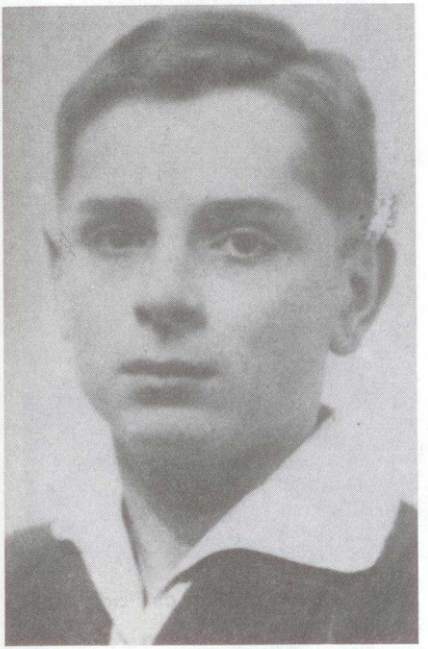


Janura Stanisław



Salamon Józef s. Jana

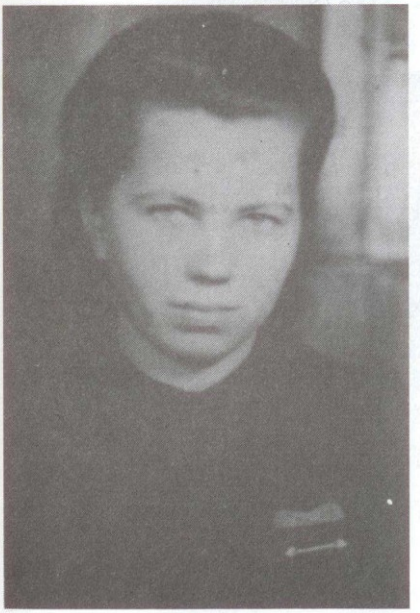
Gminna Biblioteka Publiczna w Tuchowie



Szelag Józef



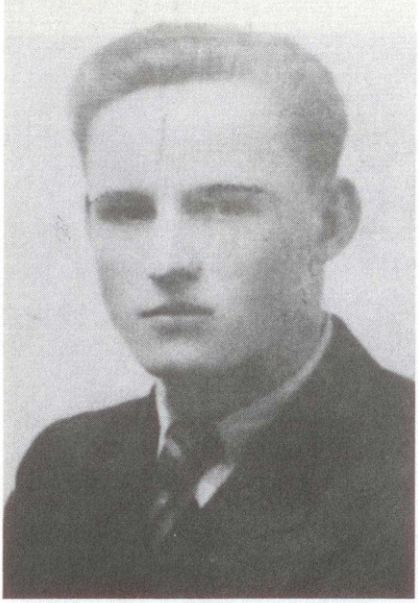
Solarz Tadeusz



Solarz Janina



Maria Wiczkowska zd. Berké



Solarz Kazimierz



Bełzowski Mieczysław ps. "Brzózka"



Przeprawa przez Rabę. Ćwiczenia 16 pp wiosną 1939 r.
Kosiba Władysław na pierwszym planie.

Biblioteka Publiczna w Tuchowie



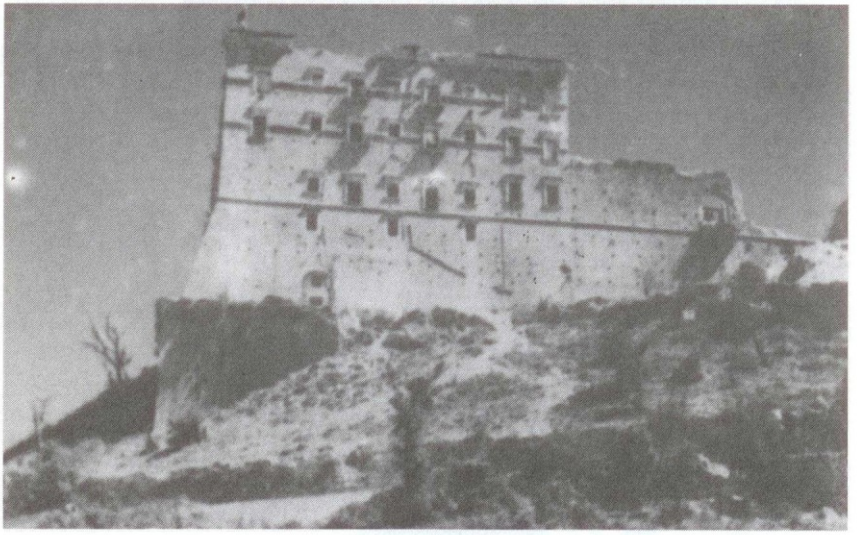
Żołnierze z 16 pp internowani na Węgrzech w 1939 r. Kosiba Władysław II rząd od lewej (siód my).



W niemieckiej niewoli - Tyrol zimą 1939/40. Kowalski Józef (pierwszy po prawej u dołu)



Piska Maria (po prawej na terenie Niemiec 17.06.1944.

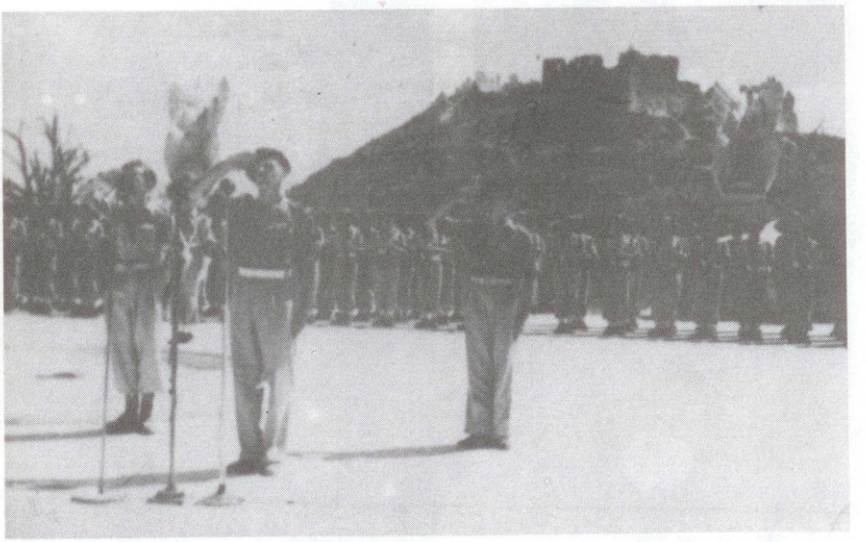


Monte Cassino po zdobyciu przez II Korpus Polski. Polska flaga zatknięta na najwyższym szczycie.

Biblioteka Publiczna w Tuchowie Gminna



Ochotnicy z armii gen. Andersa w Palestynie. Klech Jakub stoi.



Poświęcenie cmentarza na Monte Cassino 1.IX.1946



Stańczyk Józef pracuje kombajnem w czasie żniw 1942 r.
w niemieckiej niewoli (pierwszy od lewej)



Piątek Alfreda (pierwsza od lewej)
na terenie Niemiec 17.06.1944.



Mąż Genowefy Matug z synkiem w obozie przejściowym w Niemczech 1946 r.

Biblioteka Publiczna Gminna w Tuchowie



Józef Kowalski i Zofia Salamon w obozie przejściowym w Niemczech w 1945 r. (drugi rząd po prawej).



Genowefa Iwaniec (druga od prawej) przy żniwach.



Miasteczko niemieckie nad granicą francuską, którego mieszkańcy byli kulturalni, tolerancyjni dla obcokrajowców.

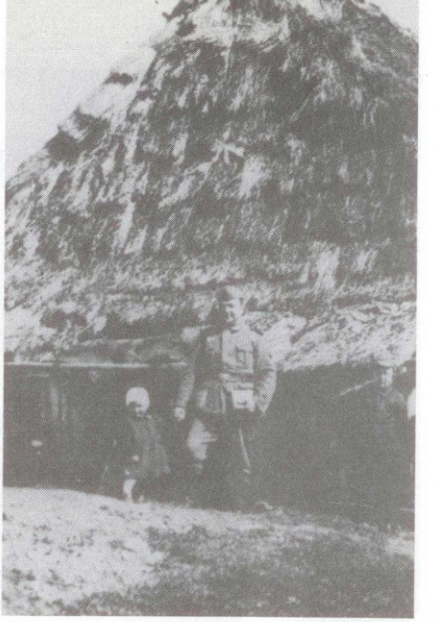


Junacy z Baudienstu na stacji kolejowej Wałki 1942.
Krzemień Aleksander na tle drzewa w czarnym berecie.

Gminna Biblioteka Publiczna w Tuchowie



Zofia Klech (siedzi) na tle swojego afrykańskiego domku w Tangeru 25.06.1945 r.



Herman - kulturalny Niemiec z Basią Wilczyńską przed domem matki Basi, maj 1941 r.



Zalasowianie przy kopaniu bunkrów w lesie w Karwodrzy 1944 r.

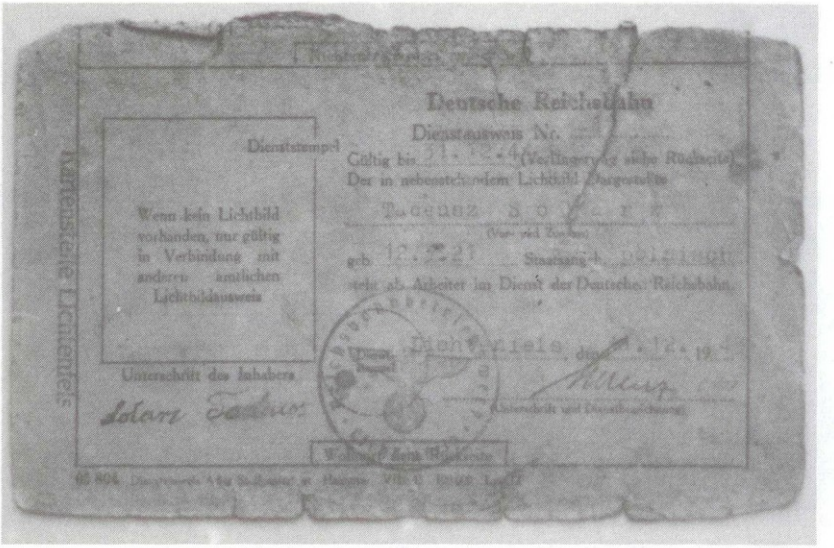


Jacyna Stanisława (pierwszy rząd od prawej) wśród kolegów nauczycieli tajnego nauczania w Majdanie.

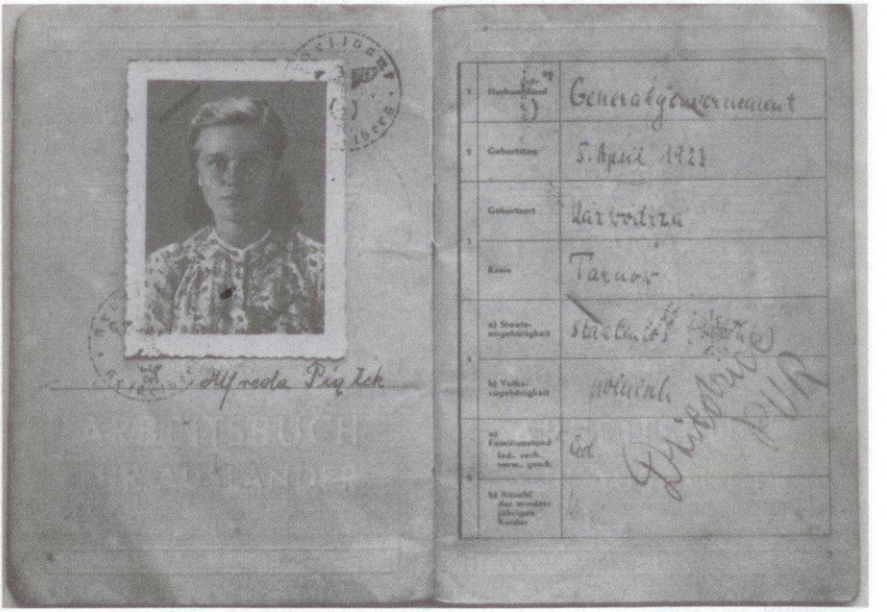


Pomnik zamordowanej rodziny Solarzy

Gminna Biblioteka Publiczna w Tuchowie



Karta pracy Solarza Tadeusza, zatrudnionego w Lichtenfels w latach 1940-1944.



Książeczka pracy Alfredy Piątek



Most kolejowy na Dunajcu. Styczeń 1945 r.



Partyzanci z baonu "Barbara" z okazji przekazania sztandaru ZBOWiD. Tuchów 1974. Od lewej stoją: Tadeusz Szczurek ps. "Orzeł" (I komp.), Michał Szarek ps. "Bogdan" (III komp.), mjr Kruczek (UB), Sergiusz Kapura ps. "Wilk" (dow. III komp.), Stefan Reczek ps. "Rekin" (III komp.), Benedykt Bień ps. "Wyrąb", (III komp), Władysław Salamon ps. "Saba" (III komp.).

Biblioteka Publiczna w Tuchowie Gminna



Partyzanci z baonu "Barbara" po 47 latach przy klasztorze oo. Redemptorystów w Tuchowie (1991) I rząd od góry (od lewej): Kosiba Władysław ps. "Lis", Szarek Michał ps. "Bogdan", Salamon Władysław ps. "Saba", Bień Benedykt ps. "Wyrąb", Pertkiewicz Jerzy, ps. "Drzazga", II rząd: Reczek Stefan ps. "Rekin", Szymaszek Alicja - pielęgniarka z II komp., Wzorek Jan ps. "Młot", Borowski Eugenisuz ps. "Leliwa", Sergiusz Kapura ps. "Wilk".



Żołnierze baonu "Barbara" po 49 latach przy klasztorze oo. Redemptorystów od lewej: Pazdur, Bień, Salamon, ks. Pycior, Ziemba, Śmiałek, Trzeciak.

LEGITYMACJA

Nr. 41530

upoważniająca do noszenia

KRZYŻA PAMIĄTKOWEGO

MONTE CASSINO

wydana na podstawie

Dekretu Naczelnego Wodza

L. dz. 3504/Pers. 44

z dnia 26 Lipca 1944

Rozkazem Dtwa 2 Korp. Kwat

Nr. 148/tjn/1945 z dnia 17 marca 1945

został nadany ssrcg

(stopień)

Hlech Jakub

(nazwisko i imię)

Polowy Szpital Ewakuac.3

(jednostka)

KRZYŻ PAMIĄTKOWY

MONTE CASSINO

Nr. 41530

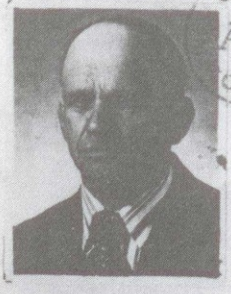
W polu, dnia 20. IV 1945

pieczęć KOMENDANT SZPITALA

(-) Dr. KEHLE

Legitymacja

nr ❋ 031577



OKRĘG AK OPOLSKA

podpis

Władysław Kosiba

Imię i Nazwisko

Wojciech, Zofia

Imiona rodziców

10.12.1915 r.

data urodzenia

Karwodrza

miejsce urodzenia

Tarnów

miejsce wystawienia

OKRĘG AK "MAŁOPOLSKA"

PREZES

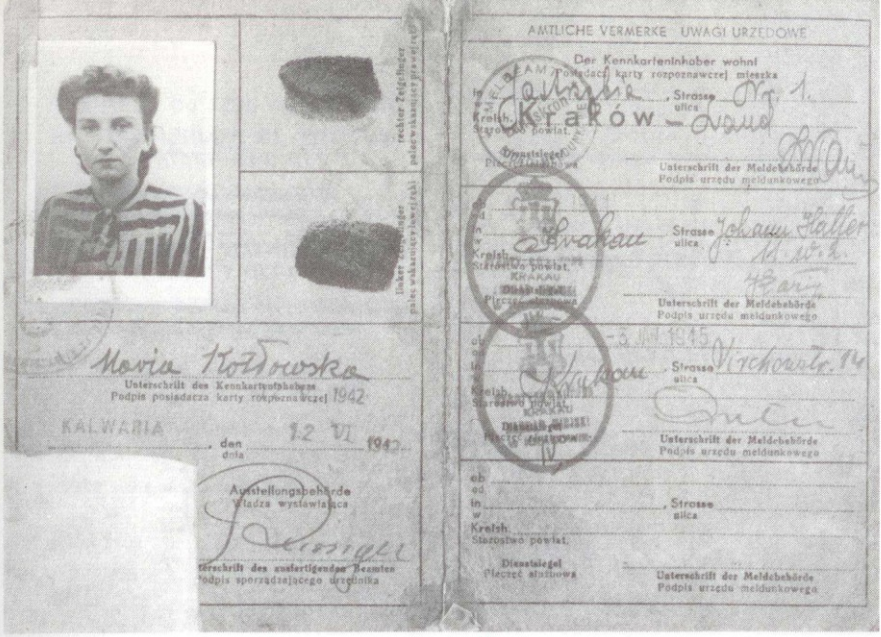
Zarządu Okręgu

„Małopolska"

27.01.1945 Rozwadowski

data podpis

Biblioteka Publiczna w Tuchowie



Karta rozpoznawcza Marii Kozłowskiej



POLOWY SZPITAL EWAK
[illegible] C. C. S.

UPRAWNIONY JEST DO NOSZENIA:
GWIAZDY ZA WOJNĘ 1939-45
(THE 1939-45 STAR)
~~GWIAZDY AFRYKI~~
~~(AFRICA STAR)~~
GWIAZDY ITALII
(ITALY STAR)
~~GWIAZDY NIEMIEC I FRANCJI~~
~~(THE FRANCE AND GERMANY STAR)~~

Stopień Szeregowiec
Nazwisko Klech
Imię Jakub
Rocznik 1903
Nr ewid. 56/III.

(Niepotrzebne skreślić)
Podstawa: Rozk. dz. 3 Pol. Szpit. Ewak. Nr. 146/45 z dnia 29. XI. 1945 r.
M.p. dn. 1. marca 1946 r.

DOWÓDZTWO 2 KORPUSU ★ H. Q. 2 POLISH CORPS

KOMENDANT SZPITALA
(-) Dr. KEHLE
ppłk

Bescheinigung
Poświadczenie

Name: Jeremień
Vorname: Aleksander
Geboren am: 19. März 1913
Geburtsort: Kurwodrza
Wohnort: Tarnów

Ausweis-Karte Nr. 904/06985
Tarnow, den 28 Mai 1942
Arbeitsamt Tarnow
— 904 —
Im Auftrage:
(Unterschrift — Podpis)

GENERALGOUVERNEMENT ARBEITSAMT

Nazwisko SALAMON
Imię Wladyslaw
Pseudonim "Saba"
Przydział Oddz. Partyz. 16. P.P.
Okr. Krakow.

Odznaczony został
KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ
ustanowionym dnia 1 sierpnia 1965 roku przez dowódcę A.K. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłku żołnierza Polski Podziemnej w latach 1939 — 1945.
Przewodniczący
Podpis:
Komisji Krzyża
K. Ziemski — "Wachnowski"
Londyn, dnia -2 DEC 1972

Gminna Biblioteka Publiczna w Tuchowie